www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 10 (1000)
4-10.03.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. ANDRZEJ CHWALBA:
JAK MOGŁY SIĘ POTOCZYĆ DZIEJE POLSKI

BŁĄD LEKARSKI
— ZRUJNOWANE ŻYCIE

NUMER 1000

GOMUŁKA ZAPŁACIŁ ZA MORAWIECKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
10 >
9 771509 311904

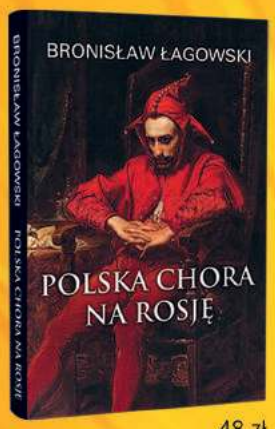

48 zł

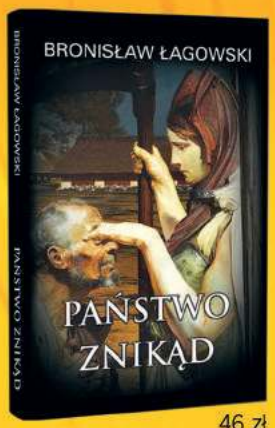

46 zł

41 zł

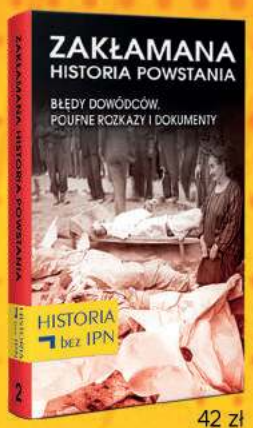

42 zł

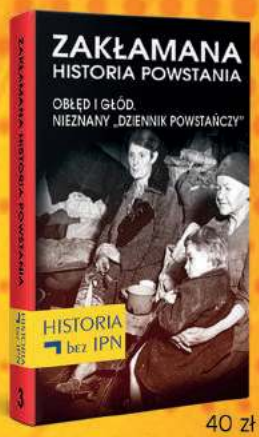

40 zł

Przegląd

1000 RAZY DZIĘKI WAM!

CZYTELNIKU, kupując nasze książki, wspierasz PRZEGLĄD

Pomóż nam działać!
Kup książkę lub przekaż darowiznę. Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie nowych projektów wydawniczych.

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska SA, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok.7, w przelewie wpisując tytuł książki lub Darowizna (dopisz swój adres e-mail, byśmy mogli przesłać podziękowania ☺).

Wpłat darowizny można dokonywać także on line, wchodząc na www.tygodnikprzeglad.pl.
Dziękujemy! Liczy się każda złotówka.

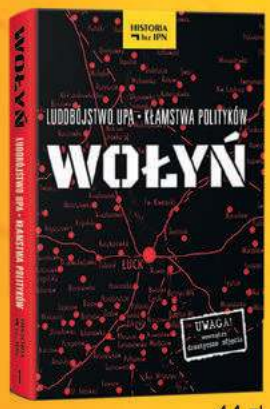

44 zł

52 zł

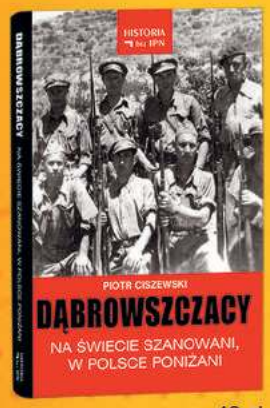

49 zł

42 zł
43 zł
44 zł

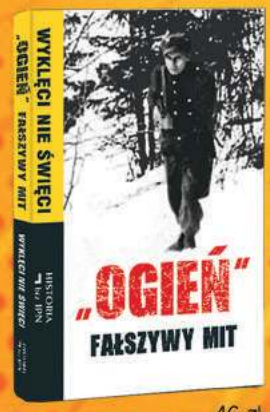

46 zł

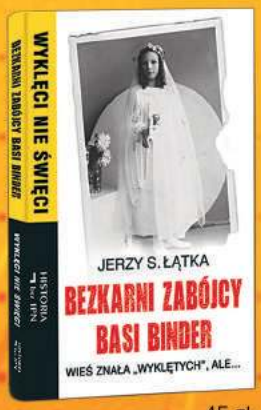

45 zł

19,99 zł

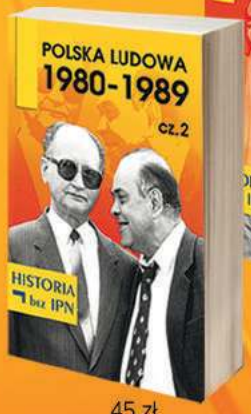

45 zł

eprasa.pl b97cc2f0f7

CYTATY

JERZY BACZYŃSKI,
redaktor naczelny
Opozycja musi się trzymać formuły „nie odbierzemy niczego, co PiS dał, oddamy to, co PiS zabrał". A będzie co oddawać.
„Polityka"

BEATA SZYDŁO,
wicepremier (PiS)
Wspaniała wiadomość, prezent Jarosława Kaczyńskiego dla wszystkich emerytów.
Konwencja PiS

JACEK BRACIAK, aktor
Na wybory pójdę, bo to, co się teraz odbywa, to kurestwo, świństwo i zaprzaństwo w każdej sferze.
„Wysokie Obcasy"

ILONA ŁEPKOWSKA,
scenarzystka
Nikt nie jest prorokiem we własnym domu.
„Viva!"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Prezydent z lasu

Macie Państwo w ręku numer szczególny. Tysięczne wydanie naszego tygodnika. Wspólnie z Izą Mierzejewską, naszą dyrektor artystyczną, wybraliśmy z tego tysiąca okładki naszym zdaniem najciekawsze.

Nawet sobie Państwo nie wyobrażają, jakie emocje towarzyszą wyborowi projektu okładki i pracom nad jej ostatecznym kształtem. Mamy zespół z temperamentem i każdy ma wewnętrzne przekonanie, że wie lepiej. Co oznacza, że mało kto uznaje przewagę głosu naczelnego. Najbiedniejsza jest Iza, która mając dyplom ASP i ogromne umiejętności, musi te nasze kosmiczne i sprzeczne oczekiwania ubrać w atrakcyjną formę plastyczną. I moim zdaniem robi to świetnie.

Gdy patrzę na naszą pracę, widzę, jak wiele trzeba jeszcze w Polsce zmienić. Jak kuleje klasa polityczna. Państwo jest łupem należnym zwycięzcy. Społeczeństwo wobec władzy stało się bezradne. Ma być klientem zadowolonym z władzy. Bo dostanie 500 zł. Czyli część własnych podatków.

PRZEGLĄDOWI nie brakuje odwagi. Choć bardziej cenimy rozum, rozsądek i fakty. Szczególnie gdy mowa o historii. Przeszłość jest teraz najbardziej załganym obszarem polityki. Tak masowego fałszowania historii, jakiego dopuszczają się środowiska związane z PiS, nie ma nigdzie we współczesnym świecie. Mamy prezydenta, który potrafi powiedzieć, że w każdym polskim lesie byli po wojnie „prawdziwi patrioci". Co jest oczywistym łgarstwem. Duda udaje, że nie wie, że ofiarami tych „patriotów" byli wiejscy nauczyciele, geodeci dzielący ziemię między bezrolnych chłopów, sołtysi, kobiety i dzieci. I że milicjant, wiejski chłopak pilnujący chłopów przed bandytami, był takim samym człowiekiem jak jego kolega ze wsi, któremu przełożeni wkładali do głowy, że za chwilę będzie III wojna światowa. Duda mówi o bohaterach z lasu, a w pogardzie ma miliony Polaków, którzy odbudowali kraj z ruin. W latach 40. znacznie więcej żołnierzy AK wybrało pracę niż las. Czy nie można by oczekiwać od głowy państwa choć trochę uczciwości?

Świętujcie z nami!
Przegląd nr 1000
e-wydanie gratis!
Zapraszamy na **www.tygodnikprzeglad.pl**

BĄKOWSKI

Nagroda za celną kreskę

Miło nam poinformować, że stale rysujący w tym miejscu **Grzegorz Bąkowski** otrzymał nagrodę główną w I Ogólnopolskim Konkursie na Rysunek Prasowy im. Aleksandra Wołosa, organizowanym przez Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich pod patronatem Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego. Wybrany przez jury w składzie: Elżbieta Laskowska, Zbigniew Piszczako i Tadeusz Burniewicz rysunek „Czytanie z listu Pana Prezesa" został opublikowany w 29. numerze PRZEGLĄDU 16 lipca 2018 r.

Gratulujemy!

eprasa.pl b97cc2f0f7

W NUMERZE

34 1000 RAZY DZIĘKI WAM

KRAJ

8 Polsko, nie daj się naciągać
Gomułka zapłacił za Morawieckiego
13 Brunatny marsz
Nacjonalistyczna hucpa w Hajnówce
14 Inspekcja bez zębów
PIP kontra umowy śmieciowe
18 Ofiary błędów lekarzy
Ile kosztuje stracone zdrowie
22 Dostali wędkę, dali radę
Program Fundacji Możesz i Ty
24 Oszukani niepełnosprawni
PiS rozdaje, ale nie najsłabszym
26 Taśmy prawdy Biziela
Spór w bydgoskim szpitalu
36 Gdyby nie było Piłsudskiego
– rozmowa z prof. Andrzejem Chwalbą

ZAGRANICA

30 Powrót księdza
Cofnięta kara Cardenala
32 Dilerzy mocniejsi od aptek
Czarny rynek marihuany kwitnie

HISTORIA

40 Trąd w Warszawie
Handel kobietami z Polski
44 Poznań dla bezdomnych
Osiedle Opieki Społecznej

KULTURA

46 Rozwoju trzymam się pazurami
– rozmowa z Jagodą Szelc
50 Qulturalia
66 Akt w malarstwie Józefa Wilkonia

OBSERWACJE

52 Abudża i król
Saudyjki za kierownicą
56 Najlepsze zdjęcia kobiet
58 Idy, Barbie i viagra
Wysyp marcowych rocznic

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Prezydent z lasu
17 Jan Widacki
Jeszcze raz o historii i polityce
29 Roman Kurkiewicz
Koniec sporu o cokolwiek
39 Tomasz Jastrun
Jakoś to będzie
45 Edward Mikołajczyk
Słowo o wyprawce Igora
49 Agnieszka Wolny-Hamkało
Homo neuroticus

18
KRAJ

OFIARY BŁĘDÓW LEKARZY
Ile kosztuje stracone zdrowie

46
KULTURA

ROZWOJU TRZYMAM SIĘ PAZURAMI
– rozmowa z Jagodą Szelc

56
OBSERWACJE

NAJLEPSZE ZDJĘCIA KOBIET

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

eprasa.pl b97cc2f0f7

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Polacy śmieją się, ale nie z siebie
MUMIO W ATENEUM

HISTORIA
Ukraińskie ofiary OUN i UPA

Jak władza postępuje z „nieposłusznymi" sędziami i prokuratorami

Apel do koleżanek i kolegów emerytów i rencistów

W związku z niespodziewaną i „bezinteresowną" decyzją PiS o przyznaniu nam ekstra 13. emerytury i renty proszę:

1. o odebranie tejże bez warunków wstępnych;
2. o zagłosowanie w wyborach 26 maja oraz jesiennych zgodnie z własnym sumieniem;
3. o podziękowanie wszystkim płatnikom podatków, opłat i innych danin do budżetu państwa, z którego będą wypłacone „trzynastki". Bo przecież nie z kasy PiS, a tym bardziej z prywatnej kasy „fundatora".

Stanisław Szachnowski, Brwinów

Przemoc uświęcona

Świat to nie piaskownica, trzeba utwardzać dzieciaki, bo wyrosną na mięczaków bojących się własnego cienia. Nie mówię, że należy je bić, ale oswajać z przemocą i nie chować pod kloszem.

Piotr Jaworowicz

•

Wychować dzieci na silnych ludzi można jedynie przez wspieranie, szacunek i wzmacnianie poczucia własnej wartości. Biciem upokarza się ludzi, co przynosi odwrotny skutek.

Beata Roman

•

Trzeba samemu mieć doświadczenie przemocy, by bić własne dzieci. Nie dziwię się norweskim praktykom i pochwalam ten kraj za to, że stosuje zasadę krótkiej piłki. Bijesz, nie masz prawa zajmować się dziećmi.

Marcin Kucharski

Złe doświadczenia z UPC

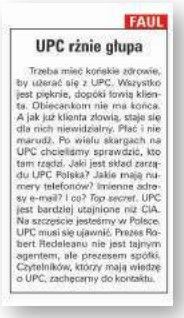
FAUL

UPC rżnie głupa

Trzeba mieć koriskie zdrowie, by użerać się z UPC. Wszystko jest pięknie, dopóki łowią klienta. Oliecankom nie ma końca. A jak już klienta złowią, staje się dla nich niewidzialny. Płać i nie marudź. Po wielu skargach na UPC chcieliśmy sprawdzić, kto tam rządzi. Jaki jest skład zarządu UPC Polska? Jakie mają numery telefonów? Imienne adresy e-mail? I co? *Top secret*. UPC jest bardziej utajnione niż CIA. Na szczęście jesteśmy w Polsce. UPC musi się ujawnić. Prezes Robert Redelearu nie jest tajnym agentem, ale prezesem spółki. Czytelników, którzy mają wiedzę o UPC, zachęcamy do kontaktu.

Nawiązując do notki „UPC rżnie głupa" (PRZEGLĄD nr 26/2018), pragnę podzielić się doświadczeniami klienta tej firmy od 2014 r. Obdarzyłem firmę zaufaniem, zlecając mojemu bankowi realizowanie płatności z tytułu faktur w formie polecenia zapłaty. Miało ono dotyczyć dwuletniego okresu umownego. Niestety, po upływie tego okresu UPC przez 60 miesięcy nadal pobierało opłaty miesięczne w wysokości 87 zł (łącznie 5220 zł), nie informując mnie o tym. Nie mogłem także dotrzeć do informacji o moich płatnościach przez stronę internetową. Setki prób zalogowania się w oknie „Moje UPC" uniemożliwiały „anonimowe cyborgi UPC". Z moich doświadczeń wynika, że jest to firma oszukująca naiwnych klientów.

Stanisław Skwierawski, Gdańsk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Tego świat jeszcze nie widział! Dawid Kubacki, który po pierwszej serii skoków zajmował dopiero 27. lokatę, wywalczył w Seefeld pierwsze miejsce i złoty medal Mistrzostw Świata. Kamil Stoch z 18. pozycji w połowie konkursu wskoczył na drugie miejsce i zdobył srebro.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b97cc2f0f7

Według analityków GfK Verein w Polsce **najbardziej ufamy: strażakom** (92%), **pielęgniarkom** (88%) i **ratownikom medycznym** (87%). Nauczyciele są na 10. miejscu (78%). A mocno powinni się zastanowić nad sobą dziennikarze (48%) i sędziowie (46%).

Piotr Wojtiuk, burmistrz gminy i miasta Jastrowie (woj. wielkopolskie), **stanął w obronie zwalczanych przez IPN mieczy grunwaldzkich** – pomników upamiętniających walki o Wał Pomorski toczone przez 1. Armię Wojska Polskiego z Niemcami. Miecze będą lokalnym symbolem, wykorzystywanym w promocji miasta.

56,2 mln zł to suma kredytów mieszkaniowych udzielonych **w Polsce w 2018 r.** Średnia wartość kredytu wyniosła 247 tys. zł.

Tomasz Zimoch, znany dziennikarz radiowy, **wygrał proces z Polskim Radiem,** które z powodu krytyki zmian w sądownictwie zawiesiło go w pracy i wycofało zgodę na wyjazd na mistrzostwa Europy i olimpiadę.

Reprezentacja Polski koszykarzy wywalczyła po 52 latach przerwy **awans do finałów mistrzostw świata w Chinach.**

274 kluby i 226 domów dziennego pobytu otworzono w 2018 r. w ramach programu „Senior plus". Połowa powstała w miejscowościach do 3 tys. mieszkańców.

Piotr Duda, przewodniczący NSZZ Solidarność, **złożył kwiaty pod pomnikiem ks. Henryka Jankowskiego, pedofila, antysemity i agenta SB.** Związek zawodowy honorujący taką haniebną postać to światowe kuriozum.

Joachim Brudziński, szef MSWiA, **nie udziela informacji** o tym, jak przebiega proces odwołań osób, którym zaniżono emerytury w wyniku ustawy dezubekizacyjnej. Wiadomo jednak, że **kilkanaście osób wygrało takie sprawy i otrzymują poprzednie emerytury.**

W 57 na 336 skontrolowanych przez Główny Inspektorat Weterynarii ubojniach **stwierdzono „niezgodność z przepisami obowiązującymi na terenie UE". Dwie ubojnie zamknięto, a niektóre zawiesiły działalność.**

Sędzia Robert Żak z Sądu Rejonowego w Wołominie **skazał** 24-letniego **Grzegorza W. za śmiertelne potrącenie trzech kobiet** na cztery lata więzienia i cztery lata zakazu prowadzenia pojazdów.

Ks. Andrzej Żuber, proboszcz parafii w Węgleszynie (woj. świętokrzyskie), **jest nieusuwalny.** Mimo że parafianie pięciokrotnie zwracali się do władz diecezji kieleckiej **o jego odwołanie z powodu chamstwa, niegospodarności i spartaczonego remontu XIV-wiecznego kościoła.**

PRZEBŁYSKI

W NBP coraz jawniej

Jeśli myślicie, że to kolejny etap jawności w NBP, jesteście w mylnym błędzie. A jeśli doszukujecie się na tym zdjęciu rentgenowskim podobieństwa do prezesa NBP Adama Glapińskiego, to możecie mieć troszkę racji. Ale tylko troszkę. Bo wprawdzie jest to zdjęcie mężczyzny, ale nie tego wszechwładnego, wszechmocnego, najmądrzejszego i najprzystojniejszego, tylko zwykłego, szeregowego pracownika NBP. Bez asystentek. I bez autka służbowego.

Mistrzowie kamuflażu

Już szron na głowie i nie to zdrowie. A tych dwóch ciągle nadaje – Marek Król i Wojciech Reszczyński. Najbardziej zakamuflowani antykomuniści w całym Układzie Słonecznym. Prawdziwy ruch oporu.

Marek Król, ekssekretarz Komitetu Centralnego PZPR, w latach 80. odpowiadał za propagandę. I jako komunista urzędował w gmachu przy Nowym Świecie. A jako antykomunista przeniósł się niedaleko. Na plac Powstańców Warszawy, do gmachu TVP Info. I wali w swoich ekskolegów komunistów jak w bęben. Ma dużą wprawę, bo kiedyś walił w Solidarność. Wojciech Reszczyński z kolei to sztandarowy propagandysta wiadomo jakiej telewizji. Tej z lat 80. Teraz zarabia na ośmiorniczki w mediach pisowskich. Kasa chyba się zgadza.

Dwaj panowie K.

Kamiński i Kwieciński. Łączą ich nie pierwsze litery nazwiska, ale pociąg. Silny pociąg do władzy. Michała Kamińskiego, ekspolityka PiS i tylu innych partii, że ta rubryka ich nie pomieści, ciągnie do TVP. A konkretnie? Ma pociąg do fotela okupowanego przez Jacka Kurskiego. Z kolei Jerzego Kwiecińskiego, pisowskiego ministra rozwoju, ciągnie dużo dalej. Do Brukseli. Chciałby być nową Bieńkowską. Czyli polskim komisarzem w Unii.

Brednie o „Ogniu"

Ledwo rok się zaczął, a w mediach sypnęło bredniami. W czołówce jest Piotr Subik z Krakowa, który w „Polska The Times" pochylił się nad losem syna „Ognia". Zbigniew Kuraś nie dostał miliona złotych, co Subikowi bardzo się nie spodobało. Bo wiedzę o „Ogniu" ma Subik z czytanek o „wyklętych". A tam nie piszą, że „Ogień" był komendantem UB w Nowym Targu. Że nigdy nie był majorem. I nie piszą o kilkudziesięciu cywilach bestialsko zamordowanych przez bandę „Ognia". Takie są fakty. Przerażające fakty. Paweł Siennicki, szef gazety, je zna. Chyba więc wie, że o sprawiedliwość walczą krewni ofiar „Ognia". I nie domagają się kasy od państwa, jak jego syn.

FOT. WWW.NCRG.COM, YOUTUBE, DEMOTYWATORY

eprasa.pl b97cc2f0f7

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy wszystkie zarobki i podatki powinny być jawne?

ADRIAN ZANDBERG,
partia Razem

Przykład Narodowego Banku Polskiego pokazał, do czego służy robienie wielkiej tajemnicy z wynagrodzeń. Przyboczne pana prezesa Glapińskiego otrzymują miesięcznie dziesiątki tysięcy złotych – więcej niż premier RP. W tym samym czasie NBP każe stażystom pracować za darmo. Tak się dzieje niestety w bardzo wielu polskich firmach. Robienie tajemnicy z wysokości pensji służy głównie krewnym i znajomym prezesów. Dzięki tajności łatwo ukryć ich wysokie apanaże. Wiemy, ile zarabiają prezydent, premier, sędzia Sądu Najwyższego czy wójt. I dobrze! Ich płace są jawne, by państwo działało sprawnie i uczciwie. Jawność wynagrodzeń z pewnością nie szkodzi gospodarce. Wręcz przeciwnie – pomaga w nagradzaniu za porządną pracę i faktyczne kompetencje. Takie rozwiązania działają na świecie – nie ma czego się bać.

DR MAŁGORZATA STARCZEWSKA-KRZYSZTOSZEK,
ekonomistka, UW

Polskie społeczeństwo nie jest gotowe na pełną jawność. Natomiast na pewno powinny zostać upublicznione wynagrodzenia wypłacane ze środków publicznych. Ale nie imiennie, tylko dla stanowisk. Tak, aby było wiadomo, w jakim przedziale mieści się pensja np. dyrektora departamentu w danym ministerstwie, jego zastępcy itd., a także na jakich zasadach przyznawane są premie i nagrody. Powinniśmy mieć absolutnie jasny system, według którego środki publiczne trafiają do osób, które wykonują pracę w naszym imieniu, chociażby w administracji publicznej.

FILIP GOŁĘBIEWSKI,
socjolog, Instytut Dyskursu i Dialogu

Ujawnienie wszystkich zarobków i podatków miałoby zarówno pozytywne, jak i negatywne skutki. Zmniejszyłoby możliwości malwersacji i wszelkiego rodzaju oszustw czy prób ukrywania majątku. Naraziłoby jednak wiele osób na działania przestępców czy naciągaczy. Ci, znając dochody potencjalnego „klienta", mogliby znacznie prościej dopasowywać do niego swoją „ofertę". Negatywnym skutkiem wspomnianego rozwiązania byłoby także to, że inni obywatele, mając możliwość sprawdzenia zarobków sąsiadów, mogliby stosować tzw. sankcje społeczne względem tych, którzy zbyt odbiegają od normy (w górę lub w dół). Obecne tendencje w polskim ustawodawstwie idą w przeciwnym kierunku – ilość publicznie dostępnej wiedzy na temat obywateli raczej się zmniejsza. Przykładem może być wprowadzenie RODO czy usunięcie adresów zameldowania z dowodów osobistych.

MARCIN T. MĄDRY,
czytelnik PRZEGLĄDU

W Polsce to nic nie da. Nie zadziała jak w Skandynawii, bo mamy inną mentalność. Tam bogaci, widząc różnicę, biorą odpowiedzialność za środowisko i innych, u nas będzie festiwal upokorzeń najbiedniejszych. Kolejny instrument do pośmiania się z nich przez rzeszę korwinowców, balceronów i innych. Spróbujmy zmienić mentalność poprzez edukację, a nie poprzez przepisy, bo będzie jeszcze gorzej.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl b97cc2f0f7

POLSKO, NIE DAJ SIĘ NACIĄGAĆ

Środowiska amerykańskich Żydów nie mają podstaw prawnych, by domagać się od Polski odszkodowań czy zwrotu utraconych majątków

Robert Walenciak

Czy Polska będzie musiała płacić odszkodowanie za mienie utracone w czasie II wojny światowej i po niej przez Żydów – obywateli polskich? Organizacje żydowskie w USA i pozostająca pod ich wpływem amerykańska administracja regularnie tego się domagają. Te apele i rezolucje długo można by wyliczać, ostatnio dołączył do ich autorów sekretarz stanu USA Mike Pompeo, który w Warszawie, w czasie konferencji bliskowschodniej, pouczył Polskę, że powinna „poczynić w restytucji mienia postępy".

Mamy więc regularny nacisk. Nie ma zresztą czemu się dziwić – różne wyliczenia wskazują, że wartość mienia pożydowskiego w Polsce to 60-90 mld dol. Jeżeli udałoby się wyrwać z tej sumy nawet niewielki procent, i tak byłyby to potężne sumy. Jest więc o co walczyć.

Słowo ministra

A co na to Polska? Od kilku lat odpowiada podobnie. „Sprawa jest zamknięta. USA otrzymały rekompensatę już w latach 60., tak jak inne państwa" – to słowa szefa MSZ Jacka Czaputowicza. Minister nawiązuje w ten sposób do polsko-amerykańskiej umowy indemnizacyjnej zawartej w roku 1960, na mocy której rząd Stanów Zjednoczonych bierze na siebie sprawę odszkodowań za mienie utracone w Polsce przez obywateli USA.

Wcześniej tę umowę w rozmowach z Amerykanami przypominał Radosław Sikorski. Pisze o tym zresztą w książce „Polska może być lepsza. Kulisy polskiej dyplomacji". Oto ten fragment: „Już podczas swej pierwszej podróży do Polski jako sekretarz stanu Hillary Clinton dała znać poprzez swego ambasadora, że będzie chciała poruszyć potrzebę uchwalenia ustawy restytucyjnej. Sprawa jest skomplikowana, bo z jednej strony Polska rzeczywiście – w odróżnieniu od większości państw regionu – nie uchwaliła takiej ustawy w odniesieniu do mienia prywatnego. A raczej uchwaliła, za rządów AWS, ale prezydent Aleksander Kwaśniewski ją zawetował. Z drugiej strony, własność prywatna nie była ani żydowska, ani aryjska, bo polskie księgi wieczyste i sądy nie stosują takich kategorii. Natomiast prawdziwa własność żydowska – czyli mienie przedwojennych żydowskich gmin wyznaniowych – została szczodrze zwrócona na zasadach podobnych co kościołom chrześcijańskim. (…)

Uważałem też, że akurat USA są ostatnim krajem, który powinien się w tej sprawie wypowiadać. Kazałem odgrzebać z archiwum MSZ oryginał umowy indemnizacyjnej, na której podstawie Stany Zjednoczone już w latach 60. otrzymały spore jak na ówczesne możliwości Polski kwoty – kilkadziesiąt milionów dolarów. Przejrzałem tekst i w duchu podziękowałem gomułkowskim dyplomatom. Umowa stwierdzała, że odtąd wszelkie roszczenia majątkowe obywateli USA wobec Polski powinny być kierowane do rządu Stanów Zjednoczonych, a ten uznaje sprawę za zamkniętą i zobowiązuje się do tego, że już nigdy nie poruszy sprawy w stosunkach dwustronnych. Aby stronie amerykańskiej uświadomić kategoryczność naszego stanowiska, powiedziałem w wywiadzie radiowym w poranek przylotu Clinton, że »jeśli Stany Zjednoczone chciały coś zrobić dla polskich Żydów, to właściwym momentem był okres 1943-1944, gdy większość z nich jeszcze żyła i gdy Polska, głosem Jana Karskiego, o to błagała«".

Eureka! Podziękujmy gomułkowskim dyplomatom! Okazuje się więc, że układ podpisany między Polską a USA 16 lipca 1960 r. w Waszyngtonie, a potem uzupełniony w listopadzie 1960 r. w Warszawie protokołem dotyczącym punktu 5., reguluje te wszystkie sprawy.

Ale to dopiero początek opowieści. Dowiadujemy się bowiem, że umowa była tajna, władze Polski Ludowej nie chciały, żeby lud pracujący o niej wiedział. Dlaczego? O tym za chwilę.

Skoro była tajna, jak dowiedział się o niej Radosław Sikorski? A wcześniej szefowa MSZ w rządzie PiS, Anna Fotyga? To z kolei zasługa jednego z wiceministrów z czasów rządu koalicji SLD-PSL, który ją odnalazł, a potem uporczywie, także korzystając z PRZEGLĄDU, przypominał o niej decydentom. Gdyby nie jego upór, nie można wykluczyć, że do dziś byśmy o niej nie wiedzieli, a Warszawa negocjowałaby wysokość odszkodowania za pożydowskie mienie.

Na mocy umowy indemnizacyjnej zawartej w 1960 r. rząd amerykański wziął na siebie sprawę odszkodowań za mienie utracone w Polsce przez obywateli USA.

Adwokat z USA

Urzędnikiem, który nagłośnił sprawę umowy Polska-USA, był dr Jan Bogutyn, w latach 1994-1997 wiceminister finansów. W ministerstwie podlegało mu m.in. Biuro Skarbu Państwa (później przekształcone w Departament Skarbu Państwa). Pewnego dnia przyszedł do niego dyrektor tego biura Janusz Ostaszewski (dziś profesor SGH, członek Rady Nadzorczej PKO BP) ze zdenerwowaną urzędniczką. Z ważną sprawą. – Panie ministrze, mamy problem – tak zaczęli. I mówią, że przychodzi do nich adwokat z Nowego Jorku w sprawie kamienicy w Krakowie,

eprasa.pl b97cc2f0f7

Sekretarz stanu USA Mike Pompeo (nz. z prawej, obok premiera Izraela Beniamina Netanjahu) w czasie konferencji w Warszawie pouczył Polskę, że powinna „poczynić w restytucji mienia postępy".

jako pełnomocnik spadkobierców, przychodzi i krzyczy – opowiada Bogutyn. – To były jeszcze czasy, kiedy do ministerstwa można było wejść z ulicy, tylko legitymując się przy wejściu, toteż urzędnik nawet nie za bardzo mógł przed takim adwokatem się bronić. Przyszli więc z pytaniem, co robić. I przynieśli plik materiałów, m.in. tę umowę z roku 1960. Zostawili mi to, a ja zacząłem zapoznawać się z materiałami. No i gdy przeczytałem tę umowę, wiedziałem już, co Ostaszewskiemu powiedzieć – że jak adwokat przyjdzie jeszcze raz, trzeba mu wskazać adres w Waszyngtonie. Był on zresztą podany w umowie. I tak się stało. Gdy adwokat przyszedł – pokazano mu umowę. I już więcej się nie pojawił.

Ale ta sprawa i tak miała ciąg dalszy. Bogutyn zainteresował się umowami indemnizacyjnymi, bo było ich więcej. Poprosił zatem, by mu je przekazano.

– To były czasy – mówi – kiedy nie było w ministerstwie komputerów, kiedy tzw. pamięć ministerstwa, pamięć departamentów, tkwiła w głowach urzędników. Oni wiedzieli, jakie są dokumenty dotyczące danej sprawy i gdzie się znajdują. Ale był to również czas gwałtownej wymiany urzędników, odsuwania starych, peerelowskich, i zastępowania ich nowymi. Czasami dochodziło więc do przerwania ciągłości pamięci. Bo już nie było urzędników, którzy przepracowali wiele lat, i ci nowi nie mieli od kogo nie tylko się uczyć, ale i dowiadywać, jak departament działa. Ostaszewski należał do nowego pokolenia, ale miał zmysł do odkopywania zapomnianych dokumentów i spraw. I to on dotarł do umowy Polska-USA, a potem mi ją dostarczył.

Umowa z USA zakładała spłatę 20 rat po 2 mln dol. Ostatnią ratę Polska spłaciła w roku 1981.

Można zatem powiedzieć, że w tej sprawie nastąpił korzystny zbieg okoliczności. Dobrze się stało, że egzemplarze umów znajdowały się w Ministerstwie Finansów. To było logiczne – umowy dotyczyły wypłaty przez Polskę odszkodowań. W ratach. Ta z USA zakładała spłatę 20 rat po 2 mln dol. Ostatnią ratę Polska spłaciła więc w roku 1981. Dobrze też, że był dyrektor departamentu, który nie lekceważył dokumentów sprzed lat i szybko docenił ich wartość. No i był wiceminister, który chciał się wgłębić w sprawę.

Jan Bogutyn: – Przeczytałem wszystkie umowy indemnizacyjne, które w tamtym czasie Polska zawierała. Jeszcze w latach 40. podpisano umowy z Belgią, Francją, Szwajcarią, Szwecją, Danią i Wielką Brytanią. Polska wtedy była w ruinie, w tych pierwszych umowach zobowiązywaliśmy się do spłat, ale w węglu. To była nasza jedyna waluta. Umowy przewidywały powołanie komisji mieszanych, które pomogłyby oszacować wartość mienia. Czytałem m.in. sprawozdanie z przyjazdu do Polski komisji brytyjskiej w 1949 r. I na co zwróciłem uwagę – już wtedy były dziwne sytuacje. Ktoś zgłaszał utracone w Polsce mienie, a na miejscu okazywało się, że takiego adresu w ogóle nie ma i nie było, nie ma takiej działki itd. Jeżeli więc próby różnych nadużyć były wtedy, to co dopiero może się dziać teraz?

Gomułka i 40 mln dolarów

Wszyscy, którzy czytają umowę z roku 1960, zwracają uwagę na jedno – jest sporządzona bardzo profesjonalnie, precyzyjnie chroni polskie interesy. Nie dziwi to prof. Andrzeja Werblana, biografa Władysława Gomułki. Przypomina on, że Gomułka przywiązywał wielką wagę do tego, by w administracji czy w szkołach wyższych pracowali ludzie wykształceni, najlepsi fachowcy. I ostro walczył z partyjnym układaniem kadr naukowych, czego próbowali niektórzy towarzysze. „Innych profesorów nie

eprasa.pl b97cc2f0f7

mamy", mawiał. W Ministerstwie Ziem Odzyskanych, którym kierował i które było jego oczkiem w głowie, kierownicze stanowiska zajmowali przedwojenni urzędnicy, działacze związanego z endecją Polskiego Związku Zachodniego, żołnierze Armii Krajowej.

Warta uwagi jest tu kariera Leopolda Glucka, w czasie wojny pracującego w Delegaturze Rządu na Kraj. W Ministerstwie Ziem Odzyskanych Gluck najpierw był dyrektorem departamentu, potem podsekretarzem stanu. Po powrocie Gomułki do władzy został mianowany zastępcą prezesa Narodowego Banku Polskiego, gdzie pracował do emerytury. Był także jednym z założycieli konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość.

Podobnie było z MSZ i umową indemnizacyjną. Widnieje na niej podpis Stanisława Rączkowskiego, z kolei nadzór nad negocjacjami sprawował wiceminister Józef Winiewicz. Stanisław Rączkowski to jeden z najwybitniejszych polskich ekonomistów, profesor, autor podręczników akademickich, a w czasie wojny komendant chorągwi krakowskiej Szarych Szeregów. Józef Winiewicz natomiast to ekonomista, przedwojenny redaktor naczelny związanego z endecją „Dziennika Poznańskiego". Po wojnie rozpoczął pracę w MSZ, w latach 1947-1956 był ambasadorem w USA, potem wiceministrem spraw zagranicznych.

Radosław Sikorski: Przejrzałem tekst umowy z lat 60. i w duchu podziękowałem gomułkowskim dyplomatom.

Umowę ze Stanami Zjednoczonymi negocjowali więc ludzie nieprzypadkowi i wykształceni. I na pewno nie z klucza partyjnego. Tacy – jeśli wierzyć dzisiejszej propagandzie – powinni być raczej w peerelowskim więzieniu niż w rządzie. A jednak administracja PRL zachowała ciągłość z poprzednią, przedwojenną, na ile to było możliwe.

Józef Winiewicz we wspomnieniach „Co pamiętam z długiej drogi życia" o umowie indemnizacyjnej wypowiada się półgębkiem. W zasadzie dowiadujemy się o niej więcej, gdy opisuje wizytę wiceprezydenta Nixona w Warszawie i jego rozmowy z Gomułką w sierpniu 1959 r. Dla Gomułki priorytetem było uznanie naszej granicy zachodniej (w tym czasie państwa Zachodu, z USA na czele, jej nie uznawały). Dopiero po sprawie granicy, kwestii egzystencjalnej dla ówczesnej Polski (Gomułka mówił Nixonowi, że każda próba jej zmiany oznacza wojnę), poruszono temat współpracy gospodarczej. Gomułka domagał się przywrócenia Polsce klauzuli najwyższego uprzywilejowania. „Stworzenie innych, lepszych warunków rozwoju handlu narysował jako problem drugi – pisze Winiewicz, który był obecny przy rozmowach. – Chodziło przecież nie tylko o zakupy konsumpcyjne, lecz również inwestycyjne. Za jedną z przeszkód w dojściu do tworzenia korzystniejszych warunków wymiany handlowej uznał zbyt wygórowane

TO BYŁ ROK 1960

Ponad 20 lat temu wiceminister Jan Bogutyn (na zdjęciu) odnajdywał umowy indemnizacyjne w archiwach Ministerstwa Finansów. Zapomniane, nieznane. Dziś ich skany możemy mieć na ekranie komputera, w domu, w ciągu paru sekund. Umowy są bowiem w elektronicznej bazie danych MSZ.

Ale i tak warto przypomnieć najważniejsze zapisy umowy z roku 1960.

Art. I mówi wyraźnie, że kwota 40 mln dol. przeznaczona jest „na całkowite uregulowanie i zaspokojenie wszystkich roszczeń obywateli Stanów Zjednoczonych, zarówno osób fizycznych, jak prawnych, do Rządu Polskiego z tytułu nacjonalizacji i innego rodzaju przejęcia przez Polskę mienia oraz praw i interesów (…), które miało miejsce w dniu lub przed dniem wejścia w życie niniejszego Układu".

Art. III stwierdza: „Suma zapłacona Rządowi Stanów Zjednoczonych (…) zostanie rozdzielona w sposób i zgodnie z metodą podziału, zastosowanymi wedle uznania Rządu Stanów Zjednoczonych".

Art. IV odsyła wszelkie żądania odszkodowawcze obywateli amerykańskich do rządu USA, stwierdzając: „Rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie przedstawiał Rządowi Polskiemu ani nie będzie popierał roszczeń obywateli Stanów Zjednoczonych do Rządu Polskiego (…). W przypadku gdyby takie roszczenia zostały bezpośrednio przedłożone przez obywateli Stanów Zjednoczonych Rządowi Polskiemu, Rząd Polski przekaże je Rządowi Stanów Zjednoczonych".

Polscy negocjatorzy przewidzieli też sytuację, gdy ktoś zrzeka się obywatelstwa amerykańskiego i przyjmuje np. obywatelstwo Izraela (ten kraj nie ma umowy odszkodowawczej z Polską), by tą drogą domagać się zwrotu mienia. **Art. V** mówi: „W celu zabezpieczenia Rządu Polskiego przed możliwym dochodzeniem za pośrednictwem krajów trzecich, lub w inny sposób, roszczeń uregulowanych niniejszym układem, Rząd Stanów Zjednoczonych dostarczy Rządowi Polskiemu kopii takich formalnych oświadczeń odnośnie roszczeń, jakie zostaną przedstawione przez wnoszących roszczenia oraz kopii decyzji dotyczących ważności i wysokości roszczeń".

•

Zapisy są więc bardzo precyzyjne, nie pozostawiają pola do interpretacji. Tak zresztą widzi to amerykański rząd – do tej pory nie popierał żadnych roszczeń swoich obywateli wobec Polski i brał ich realizację na siebie. A rezolucje Izby Reprezentantów? Mają znaczenie polityczne, jako forma nacisku, ale nie są wiążące.

Dlatego środowiska amerykańskich Żydów, obywateli USA, po części składające się z potomków tych, którzy utracili w Polsce majątki, nie mają podstaw prawnych, by domagać się od Polski ich zwrotu czy odszkodowań.

Dotyczy to zarówno osób fizycznych, jak i osób prawnych. Jeśli nie otrzymały odszkodowania od Niemiec, pozostaje im zgłosić się do Departamentu Stanu. To jedyna dla nich droga prawna.

RW

eprasa.pl b97cc2f0f7

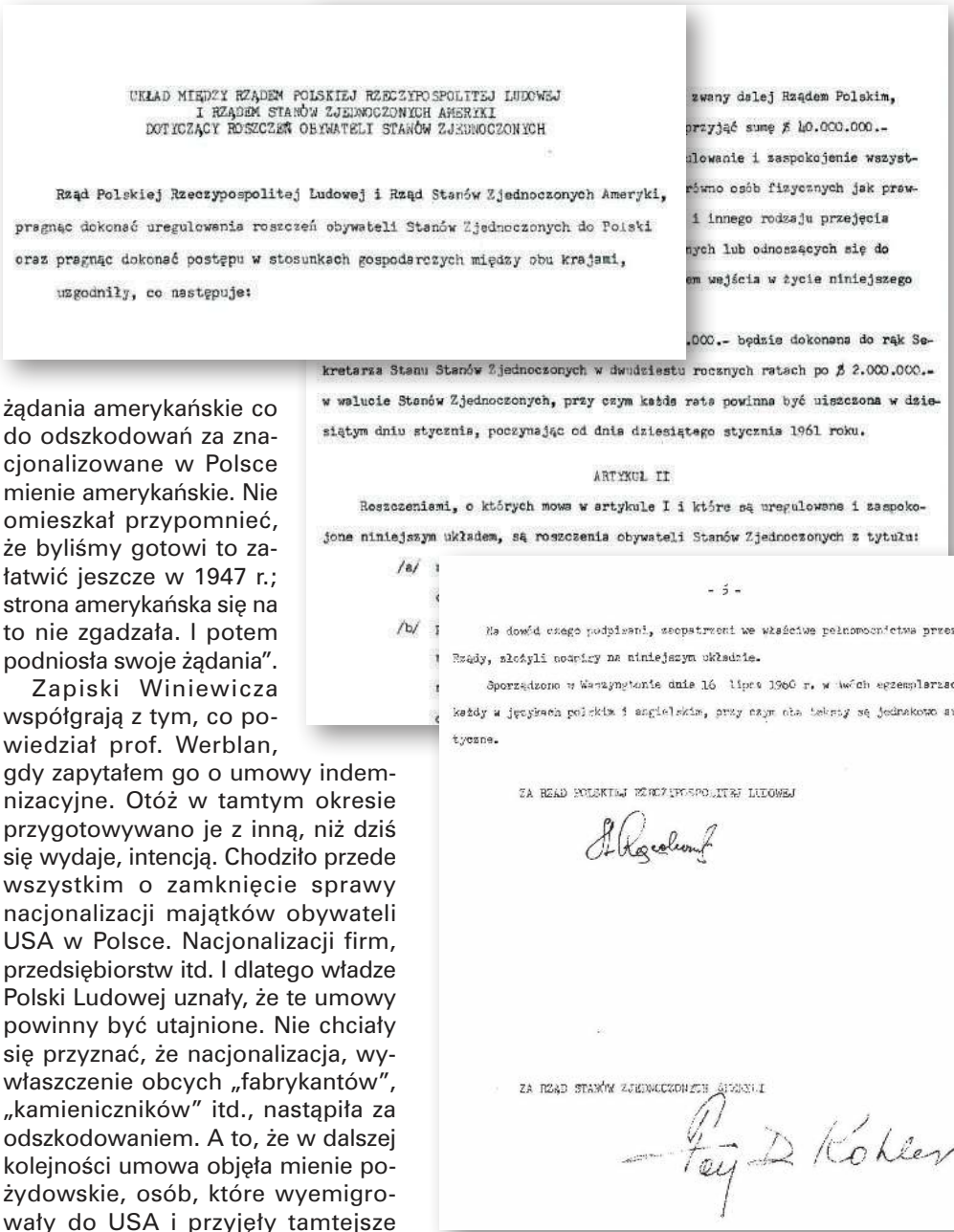

UKŁAD MIĘDZY RZĄDEM POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ
I RZĄDEM STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI
DOTYCZĄCY ROSZCZEŃ OBYWATELI STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, pragnąc dokonać uregulowania roszczeń obywateli Stanów Zjednoczonych do Polski oraz pragnąc dokonać postępu w stosunkach gospodarczych między obu krajami, uzgodniły, co następuje:

zwany dalej Rządem Polskim,
przyjąć sumę $ 40.000.000.-
ulowanie i zaspokojenie wszyst-
równo osób fizycznych jak praw-
i innego rodzaju przejęcia
nych lub odnoszących się do
em wejścia w życie niniejszego

.000.- będzie dokonana do rąk Sekretarza Stanu Stanów Zjednoczonych w dwudziestu rocznych ratach po $ 2.000.000.- w walucie Stanów Zjednoczonych, przy czym każda rata powinna być uiszczona w dziesiątym dniu stycznia, poczynając od dnia dziesiątego stycznia 1961 roku.

ARTYKUŁ II

Roszczeniami, o których mowa w artykule I i które są uregulowane i zaspokojone niniejszym układem, są roszczenia obywateli Stanów Zjednoczonych z tytułu:

/a/

/b/

- 5 -

Na dowód czego podpisani, zaopatrzeni we właściwe pełnomocnictwa przez swoje Rządy, złożyli podpisy na niniejszym układzie.

Sporządzono w Waszyngtonie dnia 16 lipca 1960 r. w dwóch egzemplarzach, każdy w językach polskim i angielskim, przy czym oba teksty są jednakowo autentyczne.

ZA RZĄD POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

ZA RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI

Pod umową indemnizacyjną z USA widnieje podpis Stanisława Rączkowskiego.

żądania amerykańskie co do odszkodowań za znacjonalizowane w Polsce mienie amerykańskie. Nie omieszkał przypomnieć, że byliśmy gotowi to załatwić jeszcze w 1947 r.; strona amerykańska się na to nie zgadzała. I potem podniosła swoje żądania".

Zapiski Winiewicza współgrają z tym, co powiedział prof. Werblan, gdy zapytałem go o umowy indemnizacyjne. Otóż w tamtym okresie przygotowywano je z inną, niż dziś się wydaje, intencją. Chodziło przede wszystkim o zamknięcie sprawy nacjonalizacji majątków obywateli USA w Polsce. Nacjonalizacji firm, przedsiębiorstw itd. I dlatego władze Polski Ludowej uznały, że te umowy powinny być utajnione. Nie chciały się przyznać, że nacjonalizacja, wywłaszczenie obcych „fabrykantów", „kamieniczników" itd., nastąpiła za odszkodowaniem. A to, że w dalszej kolejności umowa objęła mienie pożydowskie, osób, które wyemigrowały do USA i przyjęły tamtejsze obywatelstwo, było już tylko logiczną konsekwencją precyzyjnie sformułowanych zapisów.

Jak pokazują wspomnienia Winiewicza, polskie władze zabiegały o zawarcie tych umów. Ich brak utrudniał bowiem wymianę handlową i współpracę gospodarczą. Dlatego Warszawie tak bardzo zależało, żeby sprawy wyprostować, zlikwidować bariery we współpracy gospodarczej. Przy tym Gomułka twardo negocjował i podkreślał, że jeżeli odszkodowanie będzie przekraczać polskie możliwości spłaty, nie podpisze takiej umowy. „My podchodzimy do spraw zaciągania zobowiązań, indemnizacji i kredytów z punktu widzenia możliwości płatniczych – mówił. – Jeżeli nie będziemy mieli możliwości spłat przez rozszerzenie handlu (…), byłoby nam trudno wykonywać nasze zobowiązania. Takiej polityki nie prowadzimy".

Ostatecznie kilkanaście miesięcy po wizycie Nixona w Warszawie umowa została podpisana. Polska zobowiązała się zapłacić za przejęte mienie obywateli amerykańskich 40 mln dol. w 20 ratach.

Czy było to dużo? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że śmiesznie mało. Ale wysokość tej sumy określały okoliczności. Inna w tamtym czasie była wartość dolara, ale przede wszystkim inna wartość nieruchomości – zrujnowanych, często gruzowisk, w biednym, odciętym od światowej gospodarki kraju. I to kraju o gospodarce socjalistycznej.

Poza tym miejmy świadomość, że umowa z USA nie była jedyna. Polska w latach 1948-1971 podpisała umowy z 14 państwami: 12 krajami Europy Zachodniej (Danią, Francją, Szwajcarią, Liechtensteinem, Szwecją, Wielką Brytanią, Norwegią, Belgią, Luksemburgiem, Grecją, Austrią, Holandią) oraz Kanadą i USA. Osoby fizyczne i prawne z tych właśnie państw posiadały największe udziały w mieniu zagranicznym skonfiskowanym od 1944 r. przez PRL. Nie ma na tej liście państw uznanych za sojuszników III Rzeszy – Włoch, Hiszpanii i Finlandii, państw sojuszniczych Układu Warszawskiego i innych, mniejszych.

W sumie wartość odszkodowań przekazanych przez Polskę 14 państwom wyniosła w przeliczeniu ponad 250 mln dol. Żeby określić ich dzisiejszą wartość, trzeba pomnożyć tę kwotę przez pięć.

Umowę z USA warto zresztą widzieć w szerszym kontekście. Stany Zjednoczone, po dojściu Gomułki do władzy w październiku 1956 r., poczyniły gesty stawiające Polskę w wyjątkowej sytuacji. Podpisano np. umowę o przekazywaniu Polsce nadwyżek zbożowych. Była niezwykle dla naszego kraju korzystna. Płaciliśmy za zboże… w złotówkach, po kursie najkorzystniejszym z możliwych. Co więcej, złotówki te były lokowane na koncie w Polsce i wykorzystywane do finansowania badań z dziedziny medycyny oraz współpracy naukowej polsko-amerykańskiej. Innym elementem był program ▸

eprasa.pl b97cc2f0f7

stypendialny dla młodych polskich naukowców, który zaproponowały amerykańskie fundacje i z którego szeroko korzystaliśmy.

Gesty te wyróżniały Polskę na tle innych państw socjalistycznych. A Gomułka tej polityki nie hamował, tzw. polska specyfika zupełnie mu nie przeszkadzała. Z kolei dla Stanów Zjednoczonych możliwość różnicowania państw Układu Warszawskiego była cenna, otwierała pole do gry politycznej.

Niemcy zapłaciły

A środowiska żydowskie? Po pierwsze, w tamtym czasie nie były jeszcze tak silne jak dziś. A jeżeli ktoś domagał się odszkodowania za majątek pozostawiony w Polsce? W takiej sytuacji umowa indemnizacyjna była dla obywateli amerykańskich bardzo wygodna. Mogli ubiegać się o odszkodowanie od rządu amerykańskiego, co było znacznie mniej kłopotliwe (i tańsze) niż podróż nad Wisłę i kierowanie sprawy do polskiego sądu.

Donald Tusk, jeszcze jako premier, jeździł do USA i do Izraela i obiecywał, że ustawa reprywatyzacyjna zostanie uchwalona.

Dodajmy, że umowa przewidywała też wspólną komisję, która szacowałaby wartość utraconego majątku.

Tak więc z punktu widzenia polityki zarówno wewnętrznej, jak i globalnej, wobec państw bloku wschodniego, umowa indemnizacyjna była dla Stanów Zjednoczonych korzystna. W tym kontekście, a także w kontekście innych umów z Polską, suma 40 mln dol. odszkodowania była dla Ameryki sprawą trzeciorzędną. Zdecydowanie większe pieniądze Stany Zjednoczone angażowały bowiem w umowę zbożową i program stypendialny.

Po drugie, w tamtym czasie środowiska żydowskie chyba inaczej pojmowały sprawę powojennych odszkodowań. Adresatem ich żądań były Niemcy. Na mocy traktatu z 1952 r. między Izraelem a NRF państwo niemieckie przekazało ok. 3,5 mld marek jako zadośćuczynienie za Holokaust. Ponadto udzielało Izraelowi corocznej pomocy gospodarczej i finansowej. Łączną wartość wszystkich świadczeń z Niemiec na rzecz Izraela i jego obywateli oszacowano na prawie 60 mld marek.

Z prawnego punktu widzenia umowa ta zaspokaja roszczenia Żydów, którzy utracili majątki w Polsce podczas II wojny światowej. Odszkodowanie za skutki Holokaustu zostało wypłacone przez państwo niemieckie. To logiczne, bo przecież Niemcy napadły na Polskę, odebrały Żydom majątki, zorganizowały i przeprowadziły Zagładę.

Dodajmy, że te 60 mld marek najwyraźniej zostało uznane za wystarczającą zapłatę, bo dziś środowiska żydowskie nie zgłaszają żadnych roszczeń wobec Niemiec.

Dlaczego więc próbują zgłaszać, i to znacznie większe, pod adresem Polski? Odpowiedź wydaje się jedna – bo mogą. Bo polski rząd nie potrafi odpowiedzieć na to w sposób jednoznaczny, przekonujący i udokumentowany. A kolejnymi zapowiedziami wprowadzenia ustawy reprywatyzacyjnej ożywia nadzieje różnych amatorów spadków i odszkodowań.

To Donald Tusk, jeszcze jako premier rządu RP, jeździł do USA i do Izraela i tam, w rozmowach z przedstawicielami środowisk żydowskich, obiecywał, że ustawa reprywatyzacyjna zostanie uchwalona. Nawet przy tym się nie zająknął, że praktycznie wszystkie te roszczenia są regulowane przez ustawy indemnizacyjne. Wolał być fajnym Donaldem. Projekt ustawy reprywatyzacyjnej ma też rząd PiS. Choć na razie nie odważył się skierować jej do Sejmu.

Ale to wszystko daje nadzieję organizacjom żydowskim. Bo jeżeli ktoś otwiera drzwi, to dlaczego nie włożyć w nie nogi? Naciski trwają więc od lat. – Poprzednie rządy przymykały oko na sprawę własności ukradzionej przez nazistów i komunistów. To musi się zmienić – mówił w czerwcu 2008 r. Ronald S. Lauder, prezes Światowego Kongresu Żydów i honorowy prezes Światowej Organizacji ds. Restytucji Mienia Żydowskiego. – Odbieranie prawa do zwrotu zagrabionego majątku lub do odpowiedniej rekompensaty jest pogwałceniem podstawowych zasad demokratycznych. A w przypadku ofiar Holokaustu jest podwójnym upokorzeniem. Ludzie, którzy cudem przeżyli wojnę, aby się dowiedzieć, że wszystko, co posiadali, zostało im odebrane – m.in. przez państwo polskie – nie mogą dłużej czekać.

Zdaniem środowisk żydowskich projekt ustawy reprywatyzacyjnej powinien być konsultowany z zagranicznymi organizacjami dawnych właścicieli. A wnioski o zwrot mienia lub odszkodowanie można byłoby składać w języku angielskim, nie tracąc czasu w wielu urzędach, w sposób możliwie uproszczony, bez konieczności przedkładania zbędnych dokumentów.

A co z mieniem, którego spadkobierców nie można ustalić? Nie szkodzi, Polska powinna je zwrócić (w naturze lub gotówce) fundacjom żydowskim, upamiętniającym ofiary Holokaustu. Innymi słowy, mienie obywateli RP, utracone w zawierusze wojennej, powinno zostać przekazane fundacjom amerykańskim. Bo one upamiętniają.

Takie są efekty niewiedzy, zaniechania i miękkiego kręgosłupa.

Robert Walenciak

Premier Donald Tusk z wizytą w Izraelu w kwietniu 2008 r.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA, MSZ.GOV.PL (3), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DAREK REDOS/REPORTER

eprasa.pl b97cc2f0f7

Na czele marszu stanęła w tym roku 26-letnia Barbara Poleszuk.

BRUNATNY MARSZ

Nacjonalistyczna hucpa w Hajnówce

Arkadiusz Panasiuk

Podpalacz kukły Żyda, „historyk" Leszek Żebrowski i młoda kobieta skazana dwukrotnie za napaść na policjantów (pisaliśmy o niej w PRZEGLĄDZIE nr 7) symbolizują to, czym jest przechodzący od 2016 r. przez Hajnówkę marsz narodowców. Nacjonalistyczną hucpą, która prowokuje i depcze bolesną pamięć wyznawców prawosławia o krwawym rajdzie oddziału Romualda Rajsa „Burego" przez białoruskie wioski zimą 1946 r. W wyniku tej pacyfikacji śmierć poniosło 79 cywilów, w tym kobiety, starcy i dzieci.

Zanim ruszył marsz nacjonalistów, na skwerku w pobliżu urzędu miasta zebrali się ci, którzy chcieli uczcić pamięć ofiar z 1946 r. Wyczytano imiona i nazwiska wszystkich bestialsko zamordowanych, stawiając każdemu znicz przy znajdującym się tam pomniku. To pokojowe spotkanie ludzi różnych wyznań i poglądów, w tym liderów Razem i SLD, poprzedziło nabożeństwo w intencji ofiar w cerkwi pw. Narodzenia św. Jana Chrzciciela. Poprowadził je proboszcz ks. Jan Romańczuk. W emocjonalnym kazaniu wymienił przykłady „bohaterstwa" żołnierzy „Burego" – zamordowanie ciężarnej kobiety oraz zgwałcenie i zastrzelenie 20-latki.

Gloryfikowanie „leśnych" zaczęło się jak co roku przy kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Hajnówce. Z głośników umieszczonych na samochodowej przyczepce popłynął „Mazurek Dąbrowskiego", aby następnie, przy gromkich okrzykach anonimowego zapiewajły, który raz jechał przyczepką, a raz kroczył obok 26-letniej Barbary Poleszuk, przejść w znany repertuar: „»Bury« – nasz bohater", „Śmierć wrogom ojczyzny", „Wielka Polska Katolicka". I tak było prawie do końca marszu, idącego w otoczeniu dziesiątek policjantów, którzy, jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, byli dowodzeni z poziomu komendy powiatowej przez szefa podlaskiej policji gen. Daniela Kołnierowicza.

Uwagę mediów i nielicznych mieszkańców, którzy szli chodnikami wzdłuż trasy przemarszu, rzucając od czasu do czasu w stronę nacjonalistów słowa o wstydzie czy faszyzmie, przykuwał Piotr R., skazywany na więzienie za podpalenie kuły Żyda i mający obecnie zarzuty za antysemickie wypowiedzi pod bramą Auschwitz podczas tegorocznych obchodów wyzwolenia obozu. Piotr R. bardzo jednak się pilnował. Co prawda, na wysokości kościoła baptystów wykonał publicznie kilka gestów, które były czymś na pograniczu solidarnościowego zajączka i salutu rzymskiego, ale było to nic w porównaniu ze słowami jego młodego towarzysza z samochodowej przyczepki, który ryczał przez mikrofon o miłości do Kościoła, jednocześnie ostrzegając „protestantów", że w obronie ojczyzny „będziemy zmuszeni zabijać".

Przy rondzie abp. Mirona Chodakowskiego, ofiary katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem, na marsz czekało kilkadziesiąt osób z Obywateli RP. Trzymali białe róże symbolizujące ofiary „Burego". Zostali jednak zepchnięci na prawy pas drogi, a następnie szczelnie otoczeni przez funkcjonariuszy w pełnym rynsztunku bojowym. Pod ich adresem poleciały okrzyki o „czerwonej hołocie". Nieniepokojony marsz ruszył dalej, w stronę największej w mieście prawosławnej świątyni, soboru św. Trójcy. W jego pobliżu znajduje się dom kultury, gdzie wykład o „wyklętych" wygłosił ulubieniec skrajnej prawicy, ekonomista Leszek Żebrowski.

Salę na wywody Żebrowskiego wynajęło Stowarzyszenie Historyczne im. Danuty Siedzikówny „Inki", któremu szefuje kilkakrotnie opisywany na naszych łamach inicjator pierwszego hajnowskiego marszu „wyklętych", były katecheta, miejscowy radny powiatowy PiS i pracownik białostockiego IPN – Bogusław Szczepan Łabędzki. To on przed marszem w programie TVP Białystok usprawiedliwiał mordy na prawosławnych.

Łabędzki, który taktycznie od dawna nie bierze udziału w hajnowskich marszach, choć wspiera je anonimowo w mediach społecznościowych, znalazł godnych następców. To dwoje radnych PiS z hajnowskiej rady miasta – były solidarnościowy burmistrz Mieczysław Gmiter i Małgorzata Celina Zaborna. Gmiter, który partyjnie udzielał się już chyba wszędzie, nie widzi sprzeczności między marszem a dawną przyjaźnią z budowniczym i proboszczem soboru św. Trójcy, zmarłym w 1995 r. ks. Antonim Dziewiatowskim. Zaborna natomiast, nowicjuszka w radzie miasta, udostępnia na Facebooku okładki książek, które relatywizują zbrodnie antykomunistycznego podziemia, także te, za które odpowiedzialny jest „Bury". ■

UKARANI ZA BLOKOWANIE

75 osób zostało ukaranych wnioskami do sądu za blokowanie legalnego zgromadzenia, jedna przyjęła dobrowolnie mandat w wysokości 500 zł. Wobec trzech osób, które chciały uczestniczyć w hajnowskim marszu, policja prowadzi postępowanie o posiadanie symboli, które „mogą być kojarzone z symboliką nazistowską".

FOT. ANDRZEJ JANICKI

eprasa.pl b97cc2f0f7

INSPEKCJA BEZ ZĘBÓW

PIP nie ma wystarczających narzędzi, aby walczyć z patologią umów śmieciowych

Justyna Samolińska

Państwowa Inspekcja Pracy – młot na nieuczciwych pracodawców, strażniczka praw pracowniczych, wynagrodzeń i bezpiecznego zatrudnienia? Niestety, żeby stworzyć taką surową instytucję, trzeba wydać pieniądze. Tymczasem kolejne rządy dokładają Państwowej Inspekcji Pracy zadań, ale nie dają na nie pieniędzy.

– Jestem kierownikiem domu kultury. Kiedy zaczęłam tu pracować, często pojawiały się problemy – nie mieliśmy dostatecznie dużo wolnych dni, źle wyliczano nam urlop. Dzwoniłyśmy, ja oraz koleżanki z innych domów kultury, do PIP i za każdym razem dostawałyśmy tę samą informację, że to, co się u nas dzieje, jest niezgodne z prawem pracy. Pytałam, czy jeśli złożę skargę, pracodawca pozna moje nazwisko – usłyszałam, że nie są w stanie zagwarantować mi anonimowości. Nie chciałam stracić pracy, więc zrezygnowałam. Kiedy zaszłam w ciążę, poinformowałam o tym kadrową i poprosiłam, żebym nie musiała pracować przy organizacji wieczornych imprez, po godz. 22. Kadrowa odmówiła, poszłam do PIP jeszcze raz. Wtedy jakaś miła pani z inspekcji poradziła mi, żebym po prostu poszła na L4, bo zanim oni zdążą to sprawdzić, ja już urodzę. Byłam na samym początku ciąży, drugi miesiąc – opowiada Maria. Nigdy nie złożyła formalnej skargi na pracodawcę, jak mówi – nie miała zaufania, nie czuła, że PIP jakkolwiek mogłaby jej pomóc. Po porodzie wróciła do pracy, której nie chce stracić, dlatego nie podaje nazwiska.

W odpowiedzi na pismo zaplanowaliśmy kontrolę

Głównym zadaniem PIP jest „nadzór i kontrola przestrzegania przepisów prawa pracy, w szczególności przepisów i zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, przepisów dotyczących stosunku pracy, wynagrodzenia za pracę i innych świadczeń wynikających ze stosunku pracy, czasu pracy, urlopów, uprawnień pracowników związanych z rodzicielstwem, zatrudniania młodocianych i osób niepełnosprawnych".

– Budżet PIP nie pozwala zwiększyć liczby inspektorów pracy. W ostatnich dwóch latach odeszło na emeryturę ponad 230 osób, w większości inspektorów. Stąd konieczność nadrobienia braków kadrowych. Obowiązków przybywa – przyznaje rzeczniczka prasowa Państwowej Inspekcji Pracy Danuta Rutkowska. – Inspektorzy pracy realizują przeszło 40 zadań ustawowych, bardzo skomplikowanych i wymagających specjalistycznej wiedzy. Ten rok np. przyniósł PIP nowe obowiązki, wynikające ze zmiany ustawy o świadczeniach alimentacyjnych oraz z ustawy o pracowniczych planach kapitałowych. Weszły nowe zasady prowadzenia dokumentacji pracowniczej.

Innym problemem jest wysokość zarobków. Świeżo upieczony inspektor może liczyć na 3,5 tys. zł brutto, znaczących podwyżek nie było od 2008 r. – zdaniem Rutkowskiej ta pensja nie ma szans przyciągnąć wykwalifikowanych prawników i inżynierów, których potrzebuje PIP. Rynek oferuje im znacznie wyższe stawki za pracę, która nie jest obciążona tak dużą odpowiedzialnością.

Braki kadrowe to jedna z największych bolączek inspekcji. – Kiedyś mieliśmy pięć-sześć skarg do rozpatrzenia miesięcznie, teraz 20-25. Jest ich znacznie więcej, od kiedy PiS wprowadziło ustawę o godzinowej płacy minimalnej, której przedsiębiorcy masowo nie przestrzegają – opowiada Anna, warszawska inspektorka pracy. – Robimy po pięć kontroli miesięcznie, termin ustawowy rozpatrzenia skargi to 30 dni. W Warszawie mamy 100 inspektorów, w zeszłym roku było przeszło 10 tys. skarg. A prowadzimy też wynikające z harmonogramu kontrole tematyczne. Są plany zatrudniania nowych ludzi, ale nikt nie chce przyjść. Wymagania i odpowiedzialność są ogromne, a płace niskie. Po prostu nie ma kto pracować, więc kiedy dostajemy kolejną skargę, wysyłamy pismo: „W odpowiedzi na pana skargę zaplanowano kontrolę". Nie wiadomo, kiedy kontrola się odbędzie, problem nie został rozwiązany. Ale w statystyce sprawa wygląda pięknie – odpowiedzieliśmy na skargę w terminie – mówi ze złością.

Artur Suszka pracował w jednej z warszawskich restauracji, należącej do większej sieci. Miał umowę-zlecenie, co w gastronomii jest standardem, mimo że musiał przychodzić do pracy na określoną godzinę i pracował pod nadzorem przełożonego, czyli powinien mieć podpisaną umowę o pracę. Stawka – 5 zł za godzinę plus procent z utargu, znacznie poniżej ustawowej stawki minimalnej, wynoszącej 12 zł za godzinę. W umowie miał wpisaną niższą liczbę godzin, podobnie jak jego koledzy. Kiedy zdecydował się odejść, pracodawca odmówił wypłacenia mu ostatniej pensji. Suszka napisał skargę do PIP we wrześniu zeszłego roku, odpowiedź dostał w ciągu 30 dni; poinformowano go, że do 10 grudnia pozna datę kontroli, ale tak się nie stało. – Pieniądze udało mi się wydrzeć, bo znajoma prawniczka napisała pismo ponaglające do pracodawcy. Nigdy nie dostałem żadnej informacji o kontroli, nikt się nie skontaktował ze mną. Ja ze swoją sprawą nie zrobiłem niczego poza

Inspektor PIP: Sprawy mobbingu oznaczają długie, skomplikowane śledztwo. Nie mamy na to zasobów ani kompetencji.

eprasa.pl b97cc2f0f7

odzyskaniem ostatniej pensji, wyliczonej oczywiście według stawki 5 zł za godzinę. Nie miałem pieniędzy ani czasu, żeby iść z tym do sądu, znalazłem inną pracę.

Jego sprawa to oczywiste zaniedbanie, jednak nawet gdyby inspektor zjawił się w restauracji, być może nie mógłby pomóc Suszce. – Najtrudniej nam odpowiadać właśnie na skargi dotyczące zleceń, bo nie dotyczy ich prawo pracy – mówi Anna. – Jak mamy sprawdzić, ile godzin ktoś pracował, skoro nie prowadzono porządnej ewidencji, bo przy umowach cywilnoprawnych nie ma takich wymagań? Pracodawca zawsze może powiedzieć np., że pracownik miał się z nim rozliczyć z godzin i tego nie zrobił, a my nie mamy szansy tego sprawdzić, bo strony same ustalają zasady umowy, które mogą znacznie się różnić od standardowej umowy o pracę.

Inspektor to nie policjant

Problemem są też niewielkie uprawnienia inspektorów. – Wyobraźmy sobie sytuację, że jako inspektor dostaję skargę od pracownika, który był zatrudniony na umowę-zlecenie i za ostatni miesiąc pracy dostał połowę należnych pieniędzy – tłumaczy Anna. – Sprawdzamy adres firmy – to mieszkanie prywatne. Przychodzę na kontrolę, nikogo nie ma, nikt nie otwiera. Albo właściciel przedsiębiorstwa mówi: „Nie mam dokumentów tego pana czy pani, którzy się skarżą, zgubiłem". Jako PIP możemy wysyłać monity, prosić, ponaglać, ale nie możemy wejść do mieszkania z policją i szukać dokumentów. Wszystko, co mogę zrobić, to ukarać pracodawcę mandatem za utrudnianie postępowania – maksymalnie 2 tys. zł. Mogę też złożyć do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, ale ta zapewne odmówi wszczęcia śledztwa. Oszukany pracownik może oczywiście dochodzić swoich praw w sądzie, przy zleceniu – w sądzie cywilnym, co kosztuje i trwa, ale na wsparcie PIP w zasadzie nie może liczyć.

Większość spraw, którymi PIP się zajmuje, w ogóle nie trafia do sądu. – Przez prawie 10 lat pracy nie zdarzyło mi się iść do sądu, daję mandaty po 1-2 tys. zł. Z naszej strony skierowanie sprawy do sądu jest ryzykowne – jak wiemy, sądy działają powoli i zanim postępowanie się skończy, część zarzutów, np. te związane z nieterminowym wypłacaniem wynagrodzenia, po prostu się przedawnia. Mamy więc sytuację, w której dwie firmy, z których jedna zatrudnia 10 tys. osób i ma obroty liczone w milionach, a druga to warzywniak z jednym pracownikiem, dostają taką samą karę za takie samo przewinienie. Dla pierwszej nie ma to żadnego znaczenia, a dla drugiej jest realnym ciosem. To nieuczciwe, ale niewiele możemy z tym zrobić.

– Ludzie oczekują od inspektora, że będzie dochodził prawdy, organizował śledztwo. A my analizujemy dokumenty, które przedstawi nam pracodawca. Jeśli ktoś pracował do godz. 22, ale w ewidencji pracy ma wpisane, że był w zakładzie do godz. 16, i tej wersji trzyma się jego szef, dla nas ważne jest to, co na papierze. Nie możemy np. wystąpić o nagranie z monitoringu, które mogłoby wyjaśnić sprawę, nie mamy w ustawie zapisanych takich kompetencji – wyjaśnia. – Często zgłaszają się do nas ludzie ze sprawami mobbingu, co kompletnie przekracza nasze możliwości, bo oznacza długie, skomplikowane śledztwo. Nie mamy na to zasobów ani kompetencji. Wiele osób w inspekcji ma wykształcenie techniczne, a nie prawnicze, zresztą te funkcje należałoby rozdzielić – prawnicy powinni się zajmować zagadnieniami prawnymi, a inżynierowie technicznymi. Teraz osoby z technicznym wykształceniem udzielają np. porad prawnych, a prawnicy mają obowiązki związane z bezpieczeństwem pracy np. w budownictwie. Nikt nie bierze pod uwagę specyficznych kompetencji przy rozdzielaniu zadań, inspektor to inspektor.

PIP walczy ze śmieciówkami?

– Dzięki PIP ponad 17 tys. osób, które pracowały na podstawie umowy cywilnoprawnej lub bez żadnej umowy, otrzymało w 2017 r. umowy o pracę – mówi Danuta Rutkowska. – Ten efekt przyniosły głównie kontrole prawidłowości stosowania umów cywilnoprawnych. Inspektorzy pracy przeprowadzili ok. 18 tys. takich kontroli. Naruszenia prawa najczęściej stwierdzano w budownictwie, hotelarstwie i gastronomii oraz w handlu i naprawach.

Jednak sama rzeczniczka PIP przyznaje, że inspekcja nie ma dostatecznych narzędzi, aby walczyć z patologią umów śmieciowych. – Inspekcja pracy byłaby skuteczniejsza, gdyby otrzymała dodatkowe instrumenty prawne, np. możliwość wydawania decyzji w zakresie ustalania stosunku pracy. Znacznie ograniczyłoby to patologie – uważa Danuta Rutkowska. Ten postulat oznaczałby, że inspektor wchodzi do zakładu, stwierdza, że ktoś pracuje na umowie śmieciowej, a powinien mieć umowę o pracę, i może po prostu zmienić charakter umowy. Teraz w takiej sytuacji inspektor może co najwyżej wystąpić jako oskarżyciel posiłkowy.

Podobnego zdania jest Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. – Walka z patologiami na rynku pracy wymaga nie tylko większej liczby lepiej opłacanych

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl b97cc2f0f7

inspektorów, ale także dodatkowych narzędzi. Od lat apelujemy, zresztą wspólnie z Solidarnością i z całą Radą Ochrony Pracy, o umożliwienie inspektorom ustalenia stosunku pracy decyzją administracyjną. W tej chwili inspektor może być oskarżycielem posiłkowym w sądzie, ale wszystko trwa bardzo długo, prokuratura często takie postępowania umarza, sądy pracy działają opieszale. Skuteczność takich działań jest znikoma – mówi Renata Górna, ekspertka odpowiedzialna w OPZZ za współpracę z Państwową Inspekcją Pracy.

17 tys. osób, które dzięki PIP przestały pracować na śmieciówkach, to niezbyt imponująca liczba – szacuje się, że więcej niż 25% wszystkich pracowników w Polsce pracuje na podstawie umów cywilnoprawnych bądź umów o pracę na czas określony. I to nie tylko w niewielkich zakładach, ale także w zagranicznych gigantach. Z 14 tys. pracowników zatrudnionych przez AmRest, korporację gastronomiczną, która prowadzi m.in. sieci Pizza Hut, Starbucks czy KFC, aż 6,5 tys. pracuje na śmieciówkach. Z 26 tys. osób zatrudnionych przez LPP, giganta odzieżowego prowadzącego m.in. sklepy Cropp czy Reserved, tylko 10 tys. osób ma umowy o pracę na czas nieokreślony. W Providencie, dużej firmie pożyczkowej, 20 tys. konsultantów pracuje na umowach pozakodeksowych. Polska ma po Hiszpanii najwyższy w Europie wskaźnik osób zatrudnionych w taki sposób – średnia dla Unii Europejskiej wynosi 14% pracujących.

Powolna i zachowawcza?

– Państwowa Inspekcja Pracy w obecnym kształcie nie rozwiązuje najważniejszych problemów świata pracy – uważa Grzegorz Ilnicki, prawnik, specjalista od prawa pracy, który doradza firmom w zakresie wewnętrznych regulacji antymobbingowych, a także występuje jako pełnomocnik pokrzywdzonych pracowników. – Z mojego doświadczenia wynika, że inspektorzy nie wykorzystują posiadanych narzędzi do walki z takimi zjawiskami jak mobbing czy umowy śmieciowe.

– Najbardziej skrajnym przypadkiem zaniedbania, z jakim się zetknąłem, była śmierć mężczyzny w dość zaawansowanym wieku, który na umowie o dzieło zamiatał plac, w wyznaczonych godzinach, w wyznaczonym miejscu. W czasie pracy dostał wylewu i zmarł. W zakładzie była kontrola, nie zakwestionowano tej umowy o dzieło jako sprzecznej z Kodeksem pracy. Tymczasem inspektor powinien w imieniu pracownika wystąpić o ustalenie stosunku pracy. Mogłoby się okazać, że ten człowiek ze względu na stan zdrowia w ogóle nie powinien wykonywać pracy fizycznej, jednak przy umowie o dzieło nie ma wymogu badań lekarskich przed przystąpieniem do pracy, tak jak przy umowie o pracę. Gdyby miał taką umowę, jego rodzina mogłaby się domagać odszkodowania. Tego rodzaju sytuacji – oczywistych, w których inspektor widzi łamanie prawa i nie robi z nim absolutnie nic, znam znacznie więcej. Restauracja w Gdańsku, rozmawiam z właścicielem, który połowę ludzi zatrudnia na umowach o pracę, a połowę na zlecenie. Pytam go: „Nie boisz się, że wpadnie ci kontrola, a ty masz tutaj ludzi na umowie-zleceniu wpisanych w grafik? To niezgodne z prawem". „Całkiem niedawno była kontrola i nikt nie robił z tego problemu". Umowy cywilnoprawne czy umowy o pracę na czas określony stały się tak popularne, że inspektorzy po prostu je zaakceptowali. ZUS jest tu dużo skuteczniejszy, bo widzi swój interes w ustaleniu podlegania ubezpieczeniu społecznemu i konieczności zapłaty składek. Zaniedbania PIP dotyczą nie tylko umów śmieciowych. Mieliśmy w Olsztynie sprawę w sądzie – pracownik, którego reprezentowałem, był chroniony przez związek zawodowy i został przez pracodawcę zwolniony z pełnienia obowiązków służbowych, zanim jeszcze wręczono mu wypowiedzenie. To niezgodne z prawem, nie ma tu żadnych wątpliwości. Wysłaliśmy zgłoszenie do PIP, pani inspektor spotkała się z nami po miesiącu i prosiła, żebym jej opowiedział o sprawie, bo nie miała czasu się zapoznać ze skargą – mimo że liczyła ona niecałe trzy strony, a sprawa była jasna od samego początku. Jakakolwiek reakcja nastąpiła mniej więcej po pół roku, kiedy sprawa dawno już była w sądzie, a niedługo później zapadł wyrok przywracający zwolnionego do pracy. Odpowiednio aktywna postawa PIP mogłaby doprowadzić do tego, że do sprawy w sądzie by nie doszło – opowiada prawnik.

Polska ma po Hiszpanii najwyższy w Europie wskaźnik osób zatrudnionych na umowach śmieciowych.

W Warszawie jest 100 inspektorów, w zeszłym roku było przeszło 10 tys. skarg.

– Do naszej kancelarii zgłaszają się ludzie, którzy mają za sobą porady prawne w PIP – okazuje się, że udzielają ich często osoby bez znajomości prawa procesowego i realiów orzekania w sądach pracy. Doradza się składanie powództw, które nigdy nie powinny trafić do sądu, bo pracownik pozbawiony dowodów i wiedzy, jak prowadzić proces, jest skazany na porażkę. PIP może zapewnić reprezentację procesową pracownikowi, ale nie słyszałem o takim przypadku – mówi Grzegorz Ilnicki.

Z tak ostrą diagnozą nie zgadza się Renata Górna. – Brakuje specjalistów, zwłaszcza w budownictwie, edukacji albo opiece zdrowotnej. Dostajemy zgłoszenia z regionów, że inspektor nie nawiązał współpracy z naszą komisją mimo ustawowego obowiązku. Rozumiemy, że wynika to przede wszystkim z ogromnego obciążenia inspektorów. Nasza współpraca na szczeblu centralnym, dotycząca szkoleń czy współpracy ustawodawczej, układa się bardzo dobrze – tłumaczy.

Budżet Państwowej Inspekcji Pracy na rok 2019 to 1,7 mln zł, większość wpływów pochodzi z mandatów, inspekcja żyje też z wynajmu ośrodka szkoleniowego we Wrocławiu. Tyle wyniosła suma nagród dla ministrów obecnego rządu za rok 2018. Jak widać, państwo polskie ma ważniejsze zadania niż ochrona pracy i pracowników.

Justyna Samolińska

eprasa.pl b97cc2f0f7

Z Galicji

Jan Widacki

JESZCZE RAZ O HISTORII I POLITYCE

Rząd PiS pokazał, że niemożliwe jest możliwe. Na konferencji bliskowschodniej potrafiono za jednym zamachem zepsuć sobie stosunki z Iranem i Izraelem. Już wcześniej mając jak najgorsze relacje z Rosją, potrafiono zepsuć i te z Ukrainą. Z Rosją spieramy się o przyszłość, z Ukrainą o przeszłość. Naprawianie tego będzie trudne i zajmie nam zapewne wiele lat.

Stosunki polsko-żydowskie są szczególnie skomplikowane. Poza racjami moralnymi chodzi tu o to, że Izrael jest sojusznikiem USA, i to znacznie ważniejszym niż Polska. Poza tym lobby żydowskie jest w Ameryce nieporównanie ważniejsze i bardziej wpływowe niż Polonia amerykańska. W sytuacji, gdy boimy się Rosji, a równocześnie jesteśmy skonfliktowani z Unią Europejską i postawiliśmy tylko na USA, nie wróży nam to szczęścia.

Nasza polityka historyczna jest nie do pogodzenia z polityką historyczną izraelską. Z polityką historyczną ukraińską czy litewską także nie. Przekonani o słuszności naszej polityki historycznej i samej idei takiej polityki domagamy się, by wszyscy dookoła swojej polityki się wyrzekli. Brniemy w kierunku całkowitego osamotnienia, skłóceni z wszystkimi wokół. Nasza polityka historyczna, opierająca się na zmitologizowanej historii, prowadzi nas do katastrofy.

Alergicznie reagujemy na każde wspomnienie polskiego antysemityzmu. Za każdym razem oburzamy się, przypominając naszych sprawiedliwych wśród narodów świata. Słusznie ich przypominamy. Ale to tylko część prawdy. Całą prawdę wypieramy ze świadomości.

Chcemy, by Ukraińcy rozliczyli się ze zbrodni UPA. Byłoby dobrze, gdyby się rozliczyli. Ale czy mamy prawo tego się dopominać? Pomijam względy polityczne. Weźmy pod uwagę tylko względy moralne.

Czy nic nie mamy sobie do zarzucenia? W którym polskim podręczniku historii młodzież może przeczytać choćby o akcji burzenia cerkwi w 1938 r.? Za akcję „Wisła" odpowiedzialność zrzucamy na komunistyczne władze i ZSRR. Ale cerkwie w 1938 r. były burzone nie przez komunistyczne władze, tylko na polecenie polskich władz przez polskich żołnierzy i policjantów. Ci, którzy te decyzje podjęli, i ci, którzy gorliwie je wykonywali, byli przekonani, że służą polskiej racji stanu. Z perspektywy czasu wiemy, że nie służyli. Czy można z tego wyciągnąć jakieś wnioski na przyszłość? Aby wyciągnąć wnioski, trzeba by o tym wiedzieć. Wie o tym przeciętny Polak? Z podręczników do historii się nie dowie.

Czy w tych podręcznikach można coś wyczytać o traktowaniu Żydów w międzywojennej Polsce? Przeciętny polski inteligent nie wie, czym były n*umerus clausus* i *numerus nullus*? A skąd ma wiedzieć?

Wydawało mi się, że o obronie Lwowa wiem wszystko. Z literatury i z rodzinnych przekazów. O tym, że po zwycięskiej obronie bohaterscy obrońcy urządzili pogrom Żydom i spalili synagogę, dowiedziałem się zupełnie niedawno z książki Gaudena. Ile osób przeczyta tę książkę?

W podręcznikach do historii, podstawowym źródle wiedzy historycznej większości Polaków, ani słowa o tym wszystkim. Także o postawach znacznej części polskiego społeczeństwa wobec Żydów w czasie niemieckiej okupacji i, co gorsza, zaraz po wojnie. Pamiętam oburzenie oficjalnej propagandy w moczarowskiej Polsce, trafiającej na podatny grunt społeczny, na książkę Kosińskiego „Malowany ptak". Pamiętam reakcje społeczne na czystki, w ramach których wyrzucano Żydów ze stanowisk po 1968 r. Reakcje na ogół pozytywne, aby nie powiedzieć entuzjastyczne.

Po 1989 r. ukazało się wiele książek opisujących stosunek Polaków do Żydów w Polsce międzywojennej, w czasie okupacji i zaraz po wojnie. W tym książki Jana Grossa, ale nie tylko jego. Jaki procent Polaków je przeczytał? Jaki ślad tego znajdziemy w podręcznikach historii?

Brniemy w kierunku całkowitego osamotnienia, skłóceni z wszystkimi wokół.

Wydawało się, że przełomem były ujawnienie prawdy o Jedwabnem i stosunek ówczesnych władz do tej tragedii. Przypomnę, że na odsłonięcie pomnika do Jedwabnego przyjechał prezydent Kwaśniewski. Byłem dumny, że dojrzeliśmy jako naród do zmierzenia się z własną przeszłością. Jedwabne stało się niejako symbolem. Wiadomo było, że takich mniejszych Jedwabnych były w Polsce dziesiątki. Ale minęło nie tak wiele lat, a pani minister edukacji oświadczyła, że nie wie, kto mordował Żydów w Jedwabnem. Był film „Pokłosie", a później nagrodzona Oscarem „Ida". Za rolę w „Pokłosiu" podpadł prawicy nawet aktor Maciej Stuhr. „Idę" prawica w Polsce (w tym osoby prominentne w obozie władzy) uznała za film antypolski! Jak możemy być lepsi, jak możemy eliminować swoje błędy, jeśli nie chcemy do nich się przyznać, jeśli ich istnienie wstydliwie zatajamy?

Czy naprawdę nie potrafimy się zmierzyć z własną przeszłością? Przyznać do win? Jak bez tego możemy być lepsi i jakie mamy moralne prawo domagać się od Ukraińców, Litwinów czy Żydów, by rozliczyli się ze swoją przeszłością? A domagamy się tego ustawicznie.

Raz jeszcze przywołać wypada Józefa Szujskiego, który przestrzegał, że fałszywa historia jest przewodniczką fałszywej polityki. Fałszywej i nieskutecznej. Mało nieskutecznej – katastrofalnej!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b97cc2f0f7

OFIARY BŁĘDÓW LEKARZY

W zeszłym roku do sądów wpłynęło 857 spraw o odszkodowania za błędy medyczne

Ewa Rogowska

Grób jest cały w bieli. Biały krzyż, białe znicze przed białymi aniołami, białe kwiaty w wiązankach. Tylko miś uszatek szary. Paulina przychodzi codziennie, żeby zapalić kolejną świeczkę. Na tablicy nagrobnej Julii dzień narodzin zlewa się z dniem śmierci. Dziewczynka urodziła się martwa. Paulina uważa, że śmierć córki jest wynikiem błędu medycznego. Wspierana przez partnera i rodziców dochodzi sprawiedliwości.

CZASEM ZDROWE DZIECI UMIERAJĄ

Paulina była w 37. tygodniu ciąży. Córka była energiczna, ruszała się i kopała, szczególnie rano, kiedy kobieta wstała z łóżka. 3 grudnia ub.r. wieczorem Paulina zauważyła, że Julia – bo takie imię postanowili z partnerem dać dziewczynce – jest spokojna. Pomyślała: „A może śpi?". Ale rano było podobnie. Z mamą pojechała do przyszpitalnej przychodni w Gryficach. Lekarz zbadał tętno dziecka, stwierdził, że jest prawidłowe, ale uznał, że warto jeszcze zrobić USG. Paulina trafiła na oddział szpitalny, bo w przychodni nie było urządzenia. Na monitorze widziała, jak córka rusza rączką i jak bije jej serce. Lekarz ze szpitala zdecydował, że dodatkowo ma się poddać badaniu KTG, które umożliwia obserwowanie czynności serca płodu i skurcze macicy.

W czasie badania Paulina zauważyła, że pielęgniarka trochę się zaniepokoiła. Powiedziała, że zapis jest zbyt wąski jak na ten tydzień ciąży i tętno jest słabe. Wezwała lekarza. Stwierdził, że nic groźnego się nie dzieje. Że nazajutrz na wszelki wypadek powtórzą badania i Paulina wyjdzie do domu. Ale pacjentka, zaniepokojona informacjami o słabym pulsie płodu, poprosiła, żeby nie czekać z badaniami do następnego dnia. Jako pierwsze ponownie wykonano badanie KTG. Pielęgniarka miała problem z natrafieniem na tętno płodu. Poprosiła drugą o pomoc. Stwierdziły, że te kłopoty biorą się zapewne z tego, że dziecko obróciło się plecami. Powiedziały też, że Paulina przekona się o tym naocznie, bo to ułożenie będzie można zobaczyć w czasie badania USG.

Lekarka wykonująca USG nagle zmieniła się na twarzy. Wezwała lekarza, który wcześniej badał Paulinę. – Nie ma tętna, serduszko nie bije, dziewczynka nie żyje – usłyszała od niego Paulina. Była zszokowana. – Nie wiem, co się stało – przyznał lekarz. – Czasami tak się zdarza, że zdrowe dzieci umierają.

Paulina uważa, że kiedy stwierdzono słabe tętno płodu, powinna zostać natychmiast poddana cesarskiemu cięciu. Ale tego nie zrobiono. Nie może się pogodzić z tym, że dopuszczono do śmierci jej córki. Obiecała, że nie spocznie, dopóki nie wyjaśni, dlaczego zmarło jej dziecko. Okazało się, że dwie inne matki także mają żal do tego lekarza z powodu śmierci ich dzieci. Ma on już na koncie jeden wyrok w zawieszeniu. Paulina złożyła doniesienie do Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie, zgłosiła też sprawę do rzecznika odpowiedzialności zawodowej w Okręgowej Izbie Lekarskiej w Szczecinie. Mówi, że życia córce to nie zwróci, ale może ochroni przed lekarzem inne matki.

Usłyszała od lekarza, że powinien był zastosować dodatkowy materiał wzmacniający. Na pytanie, dlaczego tego nie zrobił, nie potrafił odpowiedzieć.

PACJENT CORAZ BARDZIEJ ŚWIADOMY

Świadomość pacjentów albo ich spadkobierców w kwestii dochodzenia praw staje się coraz większa. Mogą oni – jak Paulina – zawiadomić o możliwości popełnienia przestępstwa prokuraturę w ramach procedury karnej. Od niedawna w prokuraturach istnieją wyspecjalizowane jednostki zajmujące się tematyką błędów medycznych. Dlatego liczba spraw karnych dotyczących błędów medycznych rośnie. W 2016 r. było ich w całym kraju 4963, a w 2017 r. 5678, z tego 2367 nowych. Jednak zaledwie w 139 przypadkach prokuratorzy sporządzili akty oskarżenia. 60% spraw dotyczy śmierci pacjenta.

Liczba spraw sądowych o odszkodowania za błędy medyczne toczących się na drodze cywilnej w ostatnich latach waha się, nie przekracza jednak 200 rocznie. Niemal cztery razy więcej spraw trafia w pierwszej instancji do sądów okręgowych, co oznacza, że osoby zakładające sprawę domagają się odszkodowań powyżej 75 tys. zł. Gdy roszczenia są niższe, sprawy rozpatrują najpierw sądy rejonowe. Często chodzi nie tylko o odszkodowanie, ale także o zadośćuczynienie bądź rentę, tymczasową lub dożywotnią. W sumie w 2018 r. wpłynęło 857 spraw dotyczących roszczeń z powodu szkód wyrządzonych przez służbę zdrowia, z czego 182 sprawy skierowano do sądów rejonowych, a 675 do sądów okręgowych jako pierwszej instancji. Mniej więcej tyle samo spraw zostało załatwionych. Przeważająca większość dotyczyła publicznej służby zdrowia.

Dużym minusem jest opłata sądowa, która wynosi 5% kwoty dochodzonego odszkodowania. W przypadku odszkodowania w wysokości 100 tys. zł byłoby to 5 tys. Może więc się zdarzyć, że pacjent z powodu braku funduszy zrezygnuje z dochodzenia roszczeń.

Można również wykorzystać drogę postępowania dyscyplinarnego. A od

eprasa.pl b97cc2f0f7

Do popełnienia błędu medycznego może dojść nie tylko na sali operacyjnej, ale już na etapie diagnozy czy planowania terapii.

kilku lat sprawy o odszkodowania za błędy medyczne są też rozpatrywane przez wojewódzkie komisje ds. orzekania o zdarzeniach medycznych.

PRYWATNIE NIE ZNACZY LEPIEJ

Maria ma 79 lat, Waleria 32. Nie są spokrewnione, nawet się nie znają. Łączy je postać renomowanego ortopedy, któremu powierzyły swoje zdrowie. A teraz jeszcze batalia sądowa.

Ponad dwa lata temu Maria przewróciła się. Odczuwała silny ból. Myślała, że z czasem przejdzie, ale nie przeszedł. Zgłosiła się do kliniki, w której przyjmował renomowany ortopeda. Lekarz po badaniu stwierdził, że w wyniku upadku nastąpiło naderwanie mięśnia. Powiedział, że konieczna jest operacja, i wystawił skierowanie. Nie było mowy o żadnych zagrożeniach, problemach – to miała być rutynowa operacja. Maria zdecydowała się, zapłaciła kilkanaście tysięcy złotych. Tyle, ile żądała klinika. Renomowany ortopeda wykonał operację. Maria nie wie, dlaczego w klinice trzymano ją dłużej, niż zapowiadano. A potem wystawiono dodatkowy rachunek. Nie to jednak jest w tej historii najważniejsze, ale stan jej zdrowia po operacji. Po jakimś czasie bowiem zaczęła gorzej się czuć, odczuwała ból jak przed operacją. Zgłosiła się do tego samego lekarza. Okazało się, że pękł szew wykonany na mięśniu. Maria zdziwiła się i spytała dlaczego. Usłyszała od lekarza, że powinien był zastosować dodatkowy materiał wzmacniający. Na pytanie, dlaczego tego nie zrobił, nie potrafił udzielić rzeczowej odpowiedzi.

W piątym tygodniu po operacji stan zdrowia Marii znacznie się pogorszył. Miała biegunkę i wymioty – najprawdopodobniej w prywatnej klinice została zarażona groźną bakterią *Clostridium difficile*, która powoduje zapalenie jelita grubego. Stan jej był bardzo poważny, trzy razy była hospitalizowana w szpitalu zakaźnym, cudem uniknęła śmierci. Jak dowiedziała się później, rozwój tego zakażenia następuje, gdy pacjentowi – szczególnie w starszym wieku – przez dłuższy czas podaje się antybiotyki. Maria przyjmowała antybiotyki zapisane przez ortopedę. Niestety, nigdy nie uprzedzał on, że takie antybiotyki po operacji zastosuje lub będzie mógł zastosować. Nie informował również, że określony wiek i antybiotyki mogą doprowadzić do takiego zakażenia.

Po wyleczeniu zakażenia Maria mogła się poddać operacji mięśnia. Tym razem zgłosiła się do szpitala publicznego. Mięsień zszyto. Teraz Maria stara się zapomnieć o horrorze, jaki przeżyła po pierwszej operacji w prywatnej klinice.

Waleria miała 15 lat, kiedy w czasie zjazdu na nartach doznała kontuzji kolana. Rodzice zaprowadzili ją do sławnego ortopedy przyjmującego w prywatnej klinice. Po dokonanej przez siebie weryfikacji i badaniach zdiagnozował on zerwanie więzadła krzyżowego przedniego. Powiedział, że konieczna jest operacja. Według jego oceny dziewczyna nie mogłaby dalej normalnie funkcjonować. Operacja miała być wykonana z wykorzystaniem własnych tkanek Walerii, czyli własnych ścięgien lub więzadła. Kosztowała kilkanaście tysięcy złotych. Przez 10 lat z nogą nie było problemu. Ale po tym czasie kolano zaczęło boleć. Waleria ponownie zgłosiła się do lekarza, który wykonywał operację. Ortopeda stwierdził,

FOT. KUBA SUSZEK/REPORTER

eprasa.pl b97cc2f0f7

że wszczepione więzadło się zerwało i konieczna będzie druga operacja. Kobieta była w szoku. Lekarz zaproponował, że tym razem nie będzie pobierał jej własnego ścięgna, ale wykorzysta do operacji allograft, czyli więzadło pobrane ze zwłok. Waleria dopytywała się, czy to bezpieczne, skoro przeszczep pochodzi od innego człowieka, i czy nie zarazi się jakąś chorobą.

Ortopeda zapewnił, że jest to operacja w 100% bezpieczna, tkanki wykorzystywane do przeszczepów poddaje się radiacji, więc są sterylne i nie przenoszą żadnych chorób. Zaproponowana metoda jest najlepsza spośród dostępnych na rynku i gwarantuje sukces. Powiedział też, że wykonał już w klinice wiele operacji z przeszczepem więzadła pochodzącym od osoby zmarłej, więc ma doświadczenie. Później okazało się, że był to drugi tego rodzaju wykonany przez niego zabieg. Dziś Waleria mówi, że gdyby o wszystkim wiedziała, nie zdecydowałaby się na operację z wykorzystaniem allograftu. Wtedy jednak zaufała lekarzowi. Za operację zapłaciła kolejny raz ok. 20 tys. zł. Mając już złe doświadczenia, denerwowała się w dwójnasób, jakby przeczuwając, że i tym razem coś się nie uda. Nie udało się już na początku – okazało się, że zabieg będzie musiał być dwuetapowy, chociaż wcześniej była mowa tylko o jednokrotnym. Z niewytłumaczonych do dziś przyczyn w czasie operacji lekarz podjął decyzję, że będzie musiał operować pacjentkę dodatkowo. Po paru miesiącach od drugiej (a faktycznie trzeciej) operacji w czasie badania wyszło na jaw, że przeszczepione więzadło rozpadło się. Waleria przypomniała lekarzowi jego twierdzenie, że zabieg na 100% się uda. Wtedy usłyszała od niego, że nie wie, co się stało, i że na początku uprzedzał ją, że metoda, z której skorzystali, jest gorsza, a prawdopodobieństwo sukcesu mniejsze.

Waleria nie ryzykowała czwartej operacji u renomowanego ortopedy. W innej prywatnej klinice przeszła jeszcze dwie operacje mające naprawić to, co zostało naruszone w ramach poprzednich, i finalną rekonstrukcję. Zdecydowała się dochodzić odszkodowania od pierwszej kliniki.

Waleria, podobnie jak Maria, dochodzi zadośćuczynienia i odszkodowania na drodze cywilnej. Ich sprawy toczą się przed sądem pierwszej instancji. Sprawa Walerii już dwa lata, sprawa Marii – rok. Sprawy dotyczące błędów medycznych są zazwyczaj uciążliwe i trudne.

Marcin Maruszczak, radca prawny z Kancelarii Maruszczak & Partners, reprezentujący obie poszkodowane kobiety, zwraca uwagę, że najważniejsze jest zabezpieczenie materiału dowodowego, specyficznego i wymagającego szczególnego działania.

Lekarz zapewniał, że ma doświadczenie. Okazało się, że był to drugi tego rodzaju wykonany przez niego zabieg.

Do kategorii błędów medycznych należy bowiem bardzo szeroki krąg zdarzeń dotyczących diagnozy, propozycji leczenia, samej terapii, organizacji leczenia.

– Już na etapie diagnozowania przez lekarza i proponowania stosownego procesu leczenia konieczne jest utrwalenie tego, co i na jakiej podstawie proponuje lekarz – twierdzi Marcin Maruszczak. Dlatego radzi udać się na wizytę z osobą zaufaną. – Nie tylko zrelacjonuje ona w razie rozbieżności przebieg wizyty, ale może też na chłodno doradzić, wyrazić wątpliwości co do proponowanych form leczenia – podkreśla. – Warto także po zakończeniu wizyty poprosić lekarza o wydruk jej opisu, który powinien sporządzić. Trzeba ten opis od razu dokładnie przeanalizować i skorygować nieścisłości. Nie obawiajmy się potwierdzenia słów na piśmie i korzystania z praw, które nam zapewnia m.in. Ustawa z 6 listopada 2008 r. o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta – w tym prawa do informacji.

Kolejne problemy to udokumentowanie całego procesu leczenia. Oczywiście placówki mają obowiązek prowadzenia dokumentacji medycznej, ale w razie sprawy sądowej jest to materiał uzyskany od przeciwnika i należy podchodzić do niego krytycznie. Prawnik radzi, by od razu, np. po zabiegu, domagać się kopii całej dokumentacji. Lepiej mieć u siebie dokumentację, żeby potem w razie potrzeby móc się nią posłużyć i konfrontować z materiałem złożonym przez drugą stronę. Nawet gdy nie bierzemy pod uwagę sporu czy komplikacji, taka dokumentacja będzie niezbędna przy kontynuacji leczenia w innym miejscu. Waleria ma zapis zabiegu operacyjnego, który otrzymała po pierwszej operacji. Okazała go w sądzie, co wprawiło w zakłopotanie przedstawicieli kliniki, którzy wcześniej twierdzili, że operacja nie była nagrywana.

– Bardzo ważny w sprawach o błędy medyczne jest dowód z opinii biegłego, gdyż właśnie on pozwala ustalić, jakie powinny być procedury medyczne i jak mają się do nich działania lekarzy w konkretnej sprawie – twierdzi radca prawny. – Niestety, z różnych przyczyn sądy często spotykają się z odmową lekarzy czy też placówek, do których zwracają się o taką opinię. Powoduje to, że sprawnie prowadzony spór, w chwili gdy sąd zdecyduje o dopuszczeniu i przeprowadzeniu takiego dowodu, bardzo zwalnia. Pamiętajmy, że możemy sami składać opinie prywatne, wnosić o zobowiązanie np. przeciwnika do udzielenia informacji, złożenia dokumentów. Jest cała paleta możliwych działań. Oczywiście każdy przypadek wymaga odrębnej fachowej analizy prawno-medycznej i dobrania odpowiedniej

Oddział Rejonowy PCK w Morągu
zachęca do przekazywania
1% podatku
na zakup sprzętu rehabilitacyjnego, który będzie wypożyczany potrzebującym nie tylko z rejonu działania oddziału.
Oprócz **nr KRS 0000225587** w rubryce „cel szczegółowy" należy wpisać:
OR PCK Morąg – na sprzęt rehabilitacyjny.
POLSKI CZERWONY KRZYŻ

eprasa.pl b97cc2f0f7

strategii. Kiedy jest problem z uzyskaniem materiału dowodowego, czasami niemożliwe staje się udowodnienie pewnych kwestii. Sąd Najwyższy w takiej sytuacji wskazywał, że gdy nie da się w sposób pewny udowodnić związku przyczynowego między działaniem lekarza bądź zaniechaniem a szkodą na pacjencie, wystarczy, gdy ten związek jest ustalony z wysoką dozą prawdopodobieństwa.

ZAMIAST DO SĄDU

Od 2012 r. sprawy o odszkodowania za błędy medyczne są także rozpatrywane przez wojewódzkie komisje ds. orzekania o zdarzeniach medycznych, działające przy każdym urzędzie wojewódzkim. Składają się one z 16 osób: przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, Rzecznika Praw Pacjenta, organizacji zrzeszających zawody medyczne, organizacji prawniczych i działających na rzecz praw pacjentów. Można do nich składać jedynie wnioski dotyczące zdarzeń, które miały miejsce w szpitalach, a nie w przychodniach zdrowia. Wysokość roszczenia jest ograniczona: w przypadku uszczerbku na zdrowiu wynosi ono 100 tys. zł, a w przypadku śmierci – 300 tys. zł. Tymczasem w sądzie można uzyskać znacznie większe sumy – w jednej ze spraw zadośćuczynienie, odszkodowanie, koszty leczenia i renta sięgnęły razem 2,3 mln zł. Do wojewódzkiej komisji nie powinny zgłaszać spraw osoby, które chcą wystąpić o rentę od szpitala. To trzeba załatwiać na drodze sądowej.

Plusem składania wniosku do komisji jest niska opłata – jedynie 200 zł. Ale komisja stwierdza jedynie wystąpienie zdarzenia medycznego i nie podejmuje decyzji w sprawie odszkodowania. Wielkość odszkodowania określa się na drodze mediacji między osobą poszkodowaną lub jej spadkobiercami a szpitalem.

Komisje wojewódzkie miały ułatwić pacjentom dochodzenie roszczeń i odciążyć sądy. Niezupełnie to się udało. Pod koniec zeszłego roku NIK opublikowała raport dotyczący wyników kontroli ośmiu komisji. Okazało się, że ich prace trwają nawet dwa lata, choć powinny jedynie cztery miesiące. Z opóźnieniem była rozstrzygana ponad połowa spraw. Wynika to m.in. z poszukiwania biegłych lub oczekiwania na ich opinie. Tworząc komisje, zakładano optymistycznie, że skoro wśród członków są osoby wykonujące zawody medyczne, w wielu przypadkach będzie można podejmować decyzje bez opinii biegłych, ale tak się nie stało. Wyjątkiem jest komisja w Poznaniu, gdzie zaledwie w jednym przypadku korzystano z opinii biegłych.

Z punktu widzenia pacjenta dochodzącego roszczeń od szpitala dużym minusem drogi pozasądowej jest również to, że komisja nie ma możliwości wyegzekwowania odszkodowania. Tym musi się zająć pacjent. Szpitale zaś ociągają się z płaceniem albo proponują pacjentom jak najniższe odszkodowania. Zdarza się więc, że pacjent mimo korzystnego dla siebie werdyktu komisji i tak trafia potem do sądu.

Ewa Rogowska

eprasa.pl b97cc2f0f7

DOSTALI WĘDKĘ, DALI RADĘ

Dzięki bezpłatnym kursom programowania byli wychowankowie domów dzieckai rodzin zastępczych stają na nogi i nabierają wiary w siebie

Katarzyna Wierzbicka

Ojciec pojawiał się i znikał, ale przeważnie pił – zaczyna swoją opowieść 19-letni Piotrek. – Któregoś dnia, kiedy matka odbierała mnie z wyjazdu szkolnego, przywitała mnie zdaniem: „Ojciec się zabił". Miałem wtedy dziewięć lat.

Ciąg dalszy wydaje się do bólu przewidywalny: picie matki, zaniedbania, zabranie z domu, rodzina zastępcza. Ale potem uczący się w technikum Piotrek dostaje szansę udziału w kursie, który ujawnia jego ponadprzeciętne zdolności. Zdaje wszystkie egzaminy, a po dwóch i pół miesiąca dostaje propozycję pracy w dużej firmie. Historia jak ze współczesnej bajki.

Podobne wrażenie ma się, słuchając 23-letniej Ani, też wychowanki rodziny zastępczej. – Nie wierzyłam, że sobie poradzę. Bałam się, że ktoś się dowie, skąd jestem, i usłyszę, że to nie moje miejsce, że mi się to nie należy – mówi Ania, od niedawna pracująca jako programistka. – Teraz już tak nie uważam.

Choć opowieści Ani i Piotrka brzmią jak historyjki motywacyjne, ich bohaterowie są całkiem realni. A kurs, w którym uczestniczyli, jest inicjatywą Fundacji Możesz i Ty oraz firmy Coders Lab szkolącej programistów. Nie mówimy tu jednak o tym, że „chcieć, to móc", ale o tym, że chcącym, żeby mogli, warto tworzyć odpowiednie warunki.

Karolina Gadalska i Jakub Falczak: dajemy szansę tym, którzy są najbardziej zagrożeni wykluczeniem z rynku pracy.

WYRÓWNAĆ SZANSE

Pomysł polegał na zafundowaniu wychowankom domów dziecka i rodzin zastępczych kilkutygodniowego kursu programowania, żeby ułatwić im start. Cena podobnego kursu waha się od 4,5 tys. do kilkunastu tysięcy złotych od osoby.

– Coders Lab jest największą szkołą programowania w Polsce. Dwa i pół roku temu firma zdecydowała się podzielić trochę tym szczęściem z innymi i założyć fundację – opowiada Jakub Folczak z Możesz i Ty. – Skrzyknęliśmy się z innymi dużymi firmami, z którymi nasza współpracowała, i tak to się zaczęło. W poprzednich edycjach pula wynosiła 12 miejsc, prawie wszyscy pracują teraz w zawodzie. W tym roku chcielibyśmy, żeby kurs mogło skończyć 40 osób. Zależy nam, żeby o programie dowiedziało się jak najwięcej wychowanków.

W miarę przechodzenia kolejnych etapów kursu rozwijają skrzydła, zaczynają wierzyć, że zasługują na to samo, co każdy inny.

Program jest adresowany do wychowanków domów dziecka i rodzin zastępczych w wieku od 19 do 26 lat, którzy właśnie zaczynają samodzielne życie. Po przejściu wstępnych kwalifikacji, składających się m.in. z testów predyspozycji matematycznych, podopieczni fundacji dostają stypendium w wysokości 1,5-2 tys. zł na czas trwania kursu, laptopa, własnego tutora i wsparcie psychologiczne. Poza samą nauką programowania uczestniczą w warsztatach z tzw. umiejętności miękkich – uczą się m.in., jak prowadzić rozmowę o pracę czy pisać CV. Po ukończeniu programu fundacja pomaga im w znalezieniu pierwszej pracy w zawodzie programisty.

Karolina Gadalska, koordynatorka projektu: – Chodziło nam o to, żeby dać szansę tym, którzy są najbardziej zagrożeni wykluczeniem z rynku pracy. Wykluczenie wynika z tego, że wychowankom pieczy zastępczej

eprasa.pl b97cc2f0f7

jest trudniej niż osobom z pełnych rodzin: mają dramatyczne historie życiowe, najczęściej brakuje im wsparcia bliskiej osoby. To wszystko przekłada się na brak umiejętności i wiary w siebie. Dlatego tak ważne jest, żeby zapewnić im jak najbardziej wszechstronne wsparcie – sam kurs nie załatwiłby sprawy. W zeszłym roku mieliśmy uczestników, którzy na kurs do Warszawy przyjechali z mniejszego miasta, gdzie właściwie nie wychodzili samodzielnie poza placówkę. Nagle musieli sobie poradzić z poruszaniem się w dwumilionowym mieście. I dali radę.

usamodzielnienia nagminnie zostawały osoby przypadkowe.

W rezultacie wychowankowie domów dziecka i rodzin zastępczych są grupą szczególnie narażoną na bezrobocie, bezdomność czy konflikty z prawem. I, ostatecznie, na powielenie losu biologicznych rodziców, od których zostali zabrani. „Spośród blisko 1000 wychowanków, którzy podjęli próbę usamodzielnienia, 23% korzystało ze świadczeń pomocy społecznej, 31% zarejestrowało się w powiatowych urzędach pracy, 14% przerwało proces usamodzielnienia, a kolejne 14% wróciło do patologicznego środowiska, z którego wcześniej trafiło do pieczy zastępczej", podaje NIK.

Co roku pełnoletność osiąga prawie 6 tys. wychowanków domów dziecka i rodzin zastępczych.

– Beneficjenci programu uczestniczą w tych samych kursach, w których biorą udział klienci komercyjni. Jeśli sami tego nie powiedzą, nikt nie wie, że wysłała ich fundacja – mówi Jakub Folczak. – Kursy są bardzo wymagające, ale dają solidne podstawy przygotowania do zawodu.

Co roku prawie 6 tys. wychowanków domów dziecka i rodzin zastępczych osiąga pełnoletność. Część uczy się dalej – do ukończenia 25 lat dostają od państwa nie więcej niż 500 zł miesięcznie na kontynuowanie nauki. Ci, którzy decydują się usamodzielnić od razu, mogą liczyć na jednorazowe wsparcie finansowe w wysokości od 1,5 tys. do ok. 4 tys. zł i mieszkanie. W praktyce jednak wysokość wsparcia jest uzależniona od długości pobytu w placówce opiekuńczej, a na mieszkanie trzeba czekać. Powiatowe centra pomocy rodzinie (PCPR), które wydzielają te środki, nie mają możliwości wystarczająco nadzorować i wspierać wchodzenia w dorosłość. Z kolei tzw. opiekunowie usamodzielniania, którzy teoretycznie odpowiadają za nie, często nie mają wystarczających kompetencji do pełnienia tej funkcji. Z kontroli NIK przeprowadzonej w 2015 r. wynika, że rzeczywistymi opiekunami

Widać więc, że kontynuowanie nauki oznacza dla byłych wychowanków domów dziecka i rodzin zastępczych życie za głodową stawkę. Jednak bez podniesienia kwalifikacji nie mogą oni liczyć na pracę lepiej płatną niż zasiłek dla bezrobotnych. „Często oferta pracy za najniższą dopuszczalną prawem stawkę nie jest opłacalna dla osoby bezrobotnej, gdyż jest niewiele wyższa od dochodów uzyskiwanych z innych źródeł, głównie z pomocy społecznej", podaje raport. W efekcie ci młodzi ludzie pozbawieni realnego wsparcia państwa szybko przestają wierzyć, że mogą wyjść na prostą, i poprzestają na najgorzej płatnych pracach fizycznych, pozornie potwierdzając przekonanie, że są roszczeniowi.

Uczący się do skończenia 25 lat dostają od państwa nie więcej niż 500 zł miesięcznie.

– Panuje przeświadczenie, że byli wychowankowie domów dziecka i rodzin zastępczych to niewdzięczne, roszczeniowe osoby. My sami nie byliśmy na początku pewni, co z tego będzie – przyznaje Karolina Gadalska. – Ale okazało się, że kończą te kursy często z lepszymi wynikami niż klienci komercyjni. Wiedzą, że mogą nie mieć kolejnej takiej szansy.

WIARA

Osiągnięcie pierwszego zawodowego sukcesu – np. w postaci zdobycia nieźle płatnej pracy – nie tylko daje możliwość usamodzielnienia się, ale też zmienia myślenie o sobie. – Miałam poczucie, że jestem jakaś gorsza niż ci wszyscy inni, a to, co przeżyłam, mam wypisane na twarzy – mówi Ania. – Ale przeszłam przez wszystkie etapy, mimo że nie interesowałam się wcześniej programowaniem, a kurs był naprawdę trudny.

– Tego kursu nie przeszedłby każdy – podkreśla z satysfakcją Piotrek. – Nie można się poddawać.

„Było ciężko, ale ja dałem radę" i „nikt mi nie powie, że dostałem to za nic" – te zdania najczęściej pojawiają się w opowieściach beneficjentów projektu.

Karolina Gadalska: – Trafiają do nas wycofani, z poczuciem, że nic im się nie należy. A potem, w miarę przechodzenia kolejnych etapów projektu, rozwijają skrzydła, zaczynają wierzyć, że zasługują na to samo, co każdy inny.

Jest jednak jeszcze coś – historia Ani i Piotrka pokazuje nie tylko to, że warto inwestować w wyrównywanie szans, ale również to, że tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu nie musi się składać wyłącznie z wielkodusznych jednorazowych gestów.

Jakub Folczak: – Firmy, które z nami współpracują, wiedzą, że finansują kursy przyszłych pełnowartościowych pracowników, z których umiejętności skorzystają także ich przyszli pracodawcy. Kurs wybrany przez beneficjenta fundacji trwa od dwóch do ośmiu tygodni. To osiem godzin dziennie, z egzaminami, testami i projektem końcowym. Ukończenie go kosztuje wiele pracy. Zapewniamy wprawdzie naszym podopiecznym wszystko, czego sami zapewnić sobie nie mogą, ale przejście tych etapów to już wyłącznie ich zasługa. ■

Fundacja Możesz i Ty prowadzi właśnie nabór do trzeciej edycji programu. Żeby zgłosić siebie lub wychowanka, wystarczy wejść na stronę mozeszity.pl Zgłaszane osoby powinny mieć zaświadczenie o pieczy zastępczej i być w wieku między 19 a 26 lat.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b97cc2f0f7

OSZUKANI NIEPEŁNOSPRAWNI

Prezes rozdaje prezenty, a dla najsłabszych nie ma pieniędzy

Ewa Rogowska

Kiedy Jarosław Kaczyński na konwencji Zjednoczonej Prawicy zapowiedział pięć prezentów dla narodu, zaskoczeni byli nawet niektórzy członkowie rządu. A co dopiero naród. Jak obiecał prezes, będzie m.in. 500+ na każde pierwsze dziecko, 13. emerytura i zniesienie podatku PIT dla osób do 26. roku życia. Dorośli niepełnosprawni i ich rodziny poczuli się oszukani. Przypomnieli sobie, że w ubiegłym roku nie został spełniony postulat strajkujących w Sejmie, którzy prosili o 500 zł „na życie", bo – jak twierdził wówczas rząd – budżet by się zawalił. Tymczasem w nowym roku budżet okazał się z gumy. Ale mimo wielkiej jego rozciągliwości nie znalazły się w nim środki dla niepełnosprawnych.

Spin doktorzy uznali, że niepełnosprawni nie są elektoratem, o który warto zadbać.

Już nazajutrz po konwencji jedna z liderek sejmowego protestu, Iwona Hartwich, twardo stwierdziła: – Nie jesteśmy niewidzialni. Osoby niepełnosprawne nadal nie mają zapewnionego godnego życia w naszym kraju.

Zapowiedziała też, że 23 maja, trzy dni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, niepełnosprawni, ich rodziny i przyjaciele zjadą do Warszawy, by przypomnieć, że istnieją. Spotkają się pod Pałacem Prezydenckim, przejdą pod Kancelarię Prezesa Rady Ministrów, a na koniec pod Sejm. Czy to coś zmieni? Jakub Hartwich, syn Iwony, ma taką nadzieję. Ale niewielką. – Nie spodziewamy się, że pan Kaczyński nam coś da. Protest jest po to, żeby uświadomić społeczeństwu, jak rządzący traktują ludzi niepełnosprawnych, i sprawić, żeby społeczeństwo się opamiętało przed wyborami.

POGRĄŻAM SIĘ W CZARNEJ DZIURZE

Monika Cycling jest w zarządzie Fundacji Toto Animo. Od lat działa na rzecz osób z autyzmem, bo sama ma dorosłego syna dotkniętego tą niepełnosprawnością. Walczy o środowiskowe domy samopomocy typu D i E, które w grudniu zniknęły z nowego rozporządzenia minister Rafalskiej, co skazało dorosłych niepełnosprawnych – takich jak jej syn – na siedzenie w domu. Kiedy usłyszała o prezentach prezesa, wkurzyła się. – Będę patrzyła na zamożne sąsiednie domy, na drogie samochody na podjazdach i myślała, że do tych rodzin dodatkowo będzie wpływać 500 zł na pierwsze dziecko, a ja nadal będę się pogrążać w czarnej dziurze – mówi ze smutkiem. – Takie działanie jest antagonizowaniem społeczeństwa. Czujemy się pominięci. Marszałek Senatu Stanisław Karczewski powiedział, że planowany protest niepełnosprawnych będzie polityczny. Nie, to będzie protest przeciwko biedzie.

Monika Cycling uważa, że to przykre, kiedy się widzi, że nie było pieniędzy, a tu nagle się znalazły, akurat przed wyborami. Spin doktorzy uznali, że niepełnosprawni nie są elektoratem, o który warto zadbać. Dlaczego? Ona tego nie rozumie. Jej syn chodzi na wybory. Ale wielu niepełnosprawnych umysłowo jest ubezwłasnowolnionych i nie głosuje, bo system pomocy społecznej zmuszał rodziców do takiego kroku, żeby mogli za dziecko załatwiać sprawy związane ze świadczeniami. W Europie jest inna tendencja – kolejne cztery kraje uznały prawo do głosowania osób z niepełnosprawnością intelektualną, w tym ubezwłasnowolnionych.

– Mówi się o daninie solidarnościowej, która od tego roku ma być pobierana od najbogatszych – zwraca uwagę Monika Cycling. – Z tych pieniędzy mają być realizowane programy dla niepełnosprawnych, ale na razie nie wiadomo, jakiej wielkości ona będzie. Stworzenie Solidarnościowego Funduszu Wsparcia Osób Niepełnosprawnych i wymuszanie, by osoby zarabiające ponad milion rocznie wspierały osoby niepełnosprawne, to sytuacja, która nas upadla. A na razie borykamy się z podwyżkami, które napędził m.in. system 500+. Teraz, kiedy na rynku znajdzie się jeszcze więcej pieniędzy, ceny zapewne pójdą w górę. Coraz trudniej będzie nam opłacić terapeutę dla syna, wyjechać z nim na obóz czy zapłacić za prywatną wizytę u lekarza.

KOŁO W KOŁO

Dzień w dzień, przez 40 dni, od kwietnia do maja minionego roku

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSK

eprasa.pl b97cc2f0f7

Adrian Glinka (nz. z lewej) i Jakub Hartwich protestowali w Sejmie 40 dni. Najważniejszego ich postulatu – 500 zł „na życie" – rząd nie spełnił.

telewizje pokazywały obrazki z protestu niepełnosprawnych w Sejmie. Na pierwszym planie Jakub Hartwich i Adrian Glinka. Jeden obok drugiego, koło w koło. Wcześniej znali się luźno, z protestów. Ale te 40 dni ich zbliżyło. Wyrośli na trybunów ludowych. A potem obaj znaleźli się na listach Koalicji Obywatelskiej w wyborach do samorządów, Jakub w Toruniu, Adrian w Olsztynie. Jakub został radnym. Cieszy się, że on, sam wymagający pomocy przy wielu prostych czynnościach, może pomagać innym. I być blisko ludzi. Na jego dyżury zgłasza się wiele osób, nie tylko niepełnosprawni.

Adrian stara się o pracę w szkole, którą ukończył – w Zespole Placówek Edukacyjnych w Olsztynie. Przez kilka dni przyuczał się do pełnienia funkcji ochroniarza – na monitorze obserwował obrazy przesyłane z kamer. Próbę przeszedł pozytywnie i robi badania zlecone przez lekarza pracy. Niebawem podpisze umowę. Będzie zatrudniony na pół etatu. Cieszy się, bo dodatkowe pieniądze się przydadzą. Utrzymanie osoby niepełnosprawnej nie jest tanie. Renta socjalna, nawet podwyższona po ich ubiegłorocznym proteście do 1029,80 zł brutto i wynosząca od marca br. 1100 zł brutto, nie wystarcza. Jakub kibicuje Adrianowi. Wie, że pół etatu nie zmieni radykalnie jego życia, ale przynajmniej trochę je polepszy. Na przykład Jakub marzy o tym, żeby prowadzić samodzielne życie. – Dla 25-letniego mężczyzny to byłoby fajne, gdyby mógł się wyprowadzić od rodziców – rozmarza się. Ale zaraz wraca do rzeczywistości. – Niestety, nie ma systemu, który mógłby to zapewnić: nie ma pieniędzy na asystentów, nie ma mieszkań dla niepełnosprawnych.

Adrian uważa, że obietnice składane przez prezesa to sposób na zdobycie głosów wyborców. Nie ma żalu z powodu propozycji 500+ dla każdego pierwszego dziecka, szkoda jednak, że nie znalazło się w budżecie 500 zł dla niepełnosprawnych.

Jakub też widzi ścisły związek między obietnicami a wyborami. – Nasz program 500 zł na życie dotyczył 280 tys. niepełnosprawnych i kosztował ok. 1,5 mld zł rocznie. Rząd twierdził, że takiej kwoty nie ma. Teraz padły propozycje, które podobno mają kosztować 30 mld zł. Nasze środowisko jest rozżalone. Nawet mam taką tezę, że to jest robione z premedytacją, bo rząd PiS nie akceptuje i nie lubi ludzi niepełnosprawnych. Innego logicznego wytłumaczenia nie widzę. Ten protest 23 maja to będzie nasz krzyk rozpaczy.

Iwona Hartwich odbiera dziesiątki telefonów dziennie. Dzwonią niepełnosprawni i ich rodzice. – Nasze środowisko jest oburzone, że kolejny raz o nas zapomniano, pominięto nas – mówi. – Wywalczyliśmy w ubiegłym roku podwyżkę renty socjalnej, ale do marca wynosiła ona zaledwie 878 zł na rękę. Czy za taką kwotę osoba niepełnosprawna jest w stanie się utrzymać? Nam się wydaje, że ten rząd nie toleruje osób niepełnosprawnych, że wręcz brzydzi się nimi. Pamiętam taką scenkę z naszego protestu: pani wicepremier Szydło późnym wieczorem wyszła z sali plenarnej i szła niedaleko nas. Wołałam do niej zza barierki, która nas otaczała, aby do nas podeszła, ale nawet się nie zatrzymała. Potem powiedziała, że rodziny osób niepełnosprawnych korzystają z wielu udogodnień. To nieprawda. Na przykład turnus rehabilitacyjny kosztuje 6 tys. zł i nie ma dofinansowania. W MOPS mówią, że na modernizację łazienki nie ma pieniędzy. Minister Elżbieta Rafalska i rzeczniczka rządu Joanna Kopcińska twierdziły, że każda rodzina zaoszczędzi miesięcznie 520 zł dzięki udogodnieniom, które wprowadził ten rząd. Nie słyszałam, żeby jakakolwiek rodzina taką kwotę zaoszczędziła. Rehabilitacja miała być realizowana w ciągu siedmiu dni, a mój syn zapisał się dwa tygodnie temu i ma termin na 25 marca, więc to ponad pięć tygodni. Jest danina solidarnościowa. Ale po co niepełnosprawnym programy, skoro nie mają za co żyć? Osoby niepełnosprawne powinny być godnie zabezpieczone. A tymczasem nie zostało obliczone minimum socjalne dla takich osób. Ja nigdy nie mówiłam, że nie mam na chleb. Ale są rodziny, które mają bardzo ciężko. Niepełnosprawni są

Na program 500 zł na życie dla niepełnosprawnych zabrakło 1,5 mld zł. Obecne propozycje prezesa mają kosztować 30 mld zł.

RZECZNIK UMYWA RĘCE

Lesław Nawacki, dyrektor Zespołu Prawa Pracy i Zabezpieczenia Społecznego w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, mówi, że do zespołu nie trafiły sygnały od niepełnosprawnych, którzy by się oburzali, że ich pominięto w zapowiedziach złożonych na konwencji. Uważa, że na pewno niepełnosprawni nie czują się dobrze z tym, że ich postulat dotyczący 500 zł na życie nie został zrealizowany, a teraz proponuje się pieniądze innym grupom społecznym. Rzecznik jednak nie jest od tego, żeby zabrać dzieciom, a dać niepełnosprawnym.

eprasa.pl b97cc2f0f7

traktowani jak gorący kartofel, nie tylko przez ten rząd, ale i poprzednie.

PREZENTY OD LUDOWCÓW

Na rządzących zapowiedź protestu nie zrobiła wrażenia. Ale zapewne z większą uwagą odpowiednie służby monitorowały Facebook i Twitter, by na bieżąco śledzić nastroje społeczne. Okazało się, że kosztowne obietnice prezesa, które całkowicie pomijały niepełnosprawnych, wzbudziły duże oburzenie tego środowiska. Nie wiadomo jednak, jak duże będzie poparcie majowego protestu.

– W ubiegłym roku poparliśmy postulaty osób protestujących w Sejmie – wspomina Ewa Suchcicka ze Stowarzyszenia Rodzin i Opiekunów Osób z Zespołem Downa Bardziej Kochani. – Ale trudno mi ocenić, jak wiele organizacji weźmie udział w proteście. Faktem bezspornym jest, że znowu zostaliśmy kompletnie zignorowani. Wydaje mi się, że informacja o proteście spowodowała, że propozycję 13. minimalnej emerytury, która miała dotyczyć tylko emerytów, nieoczekiwanie rozszerzono na osoby biorące renty i renty socjalne. Taka jednorazowa wypłata daje miesięcznie ponad 70 zł, więc jest znacznie mniejsza od kwoty, o jaką walczyli niepełnosprawni w zeszłym roku. Czy jednak środowisko niepełnosprawnych pójdzie tłumnie na protest, tego nie wiem. Każda organizacja startuje w konkursach, korzysta ze wsparcia z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, od wojewody, od władz miasta. Myślę, że organizacje, które mają roczne umowy, będą się bały, że podpadną i stracą dofinansowanie.

W ostatni czwartek lutego do licytacji na prezenty, zapoczątkowanej przez prezesa PiS, włączyło się PSL. Prezes tej partii, Władysław Kosiniak-Kamysz, poinformował, że jego ugrupowanie złoży 4 marca w Sejmie propozycję pakietu społecznego, w którym znajdzie się m.in. 500 zł dodatku na rehabilitację niepełnosprawnych. Szef ludowców stwierdził, że niepełnosprawni to grupa najbardziej potrzebująca. Stronnictwo zapowiedziało, że poprze propozycje prezesa PiS, które padły na konwencji, ale liczy na to, że pakiet PSL zostanie poparty przez PiS. Notowania niepełnosprawnych idą w górę.

Ewa Rogowska

Bartosz Fiałek: Walczyłem – jako związkowiec – nie dla siebie.

Taśmy prawdy Biziela

Szef związku zawodowego lekarzy kontra dyrekcja bydgoskiego szpitala. Czy ten spór musi skończyć się w sądzie?

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Przyczyn konfliktu w bydgoskim Szpitalu Uniwersyteckim nr 2 im. dr. Jana Biziela, przez bydgoszczan zwanym krótko Bizielem, trzeba szukać w przeszłości. – O problemach kadrowych i organizacyjnych na SOR, czyli na szpitalnym oddziale ratunkowym, słyszałem od początku pracy w Bizielu. A pracuję tu już piąty rok. Że lekarzy jest za mało. Że są przepracowani. Że się nie wyrabiają. Że taka organizacja pracy doprowadzi do groźnych dla pacjentów skutków. Można łatwo sprawdzić, jak często lekarze wpisywali w książce raportów, że dyżur bardzo ciężki, że nie byli w stanie zrobić tego czy tamtego. I przez lata domagali się zmian – twierdzi lekarz Bartosz Fiałek, lat 31, rezydent reumatologii bydgoskiego Biziela, przewodniczący przyszpitalnego terenowego oddziału Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy. Medycy z innych oddziałów również pisemnie informowali dyrekcję szpitala o problemach w funkcjonowaniu oddziału medycyny ratunkowej. Bezskutecznie.

– W listopadzie ub.r. ordynator SOR i jego zastępca nie wytrzymali i odeszli. Wcześniej poprosiłem pisemnie dyrekcję o spotkanie trójstronne (dyrekcja, związki zawodowe, szefowie oddziałów i rezydenci) w sprawie ciężkiej sytuacji kadrowej na oddziale medycyny ratunkowej. Zamiast tego spotkał się z nami dyrektor ds. lecznictwa Zbigniew Sobociński. Na kilkadziesiąt sekund. Tyle czasu potrzebował, żeby powiedzieć, że żadnych rozmów nie będzie, bo mamy działać zgodnie z nowym zarządzeniem z 22 października 2018 r., według którego od następnego dnia lekarze pracujący na oddziałach będą równolegle pracowali na SOR.

DYREKCJA NIE ROZMAWIA

W szpitalu zaczęło wrzeć. Szczególnie gorąco zaprotestowali, już i tak przeciążeni, lekarze rezydenci. Uznali, że równoległa praca w dwóch miejscach zwiększa ryzyko błędu, niedopilnowania swoich obowiązków, słowem nie można dobrze leczyć na dwóch frontach jednocześnie. Wsparł ich prawnik OZZL Marek Imiołczyk, zauważając, że już

eprasa.pl b97cc2f0f7

w 2015 r. Ministerstwo Zdrowia wydało komunikat, w którym napisano wprost: „Zobowiązanie rezydenta do pełnienia dyżurów w jednostkach niewymienionych w programie specjalizacji, np. w szpitalnym oddziale ratunkowym, jest niezgodne z (...) umową i wiąże się z koniecznością zwrotu środków finansowych przekazanych przez ministra zdrowia na jej realizację". Marek Imiołczyk ocenił, że działanie dyrekcji szpitala jest niezgodne z prawem.

„Bardzo prosimy o merytoryczne uzasadnienie skierowania nas do pracy w tzw. obszarze Izby Przyjęć w godzinach 7.30-15.05", zwrócili się do dyrektorki szpitala dr Wandy Korzyckiej-Wilińskiej lekarze rezydenci kliniki neurochirurgii i neurologii. W listopadzie Bartosz Fiałek w imieniu związku domagał się wskazania podstawy prawnej tej decyzji. Dyrekcja nie reagowała.

Wezwana na pomoc przez związki zawodowe Bydgoska Izba Lekarska umyła ręce, pisząc: „Okręgowa Rada Lekarska BIL nie jest podmiotem odpowiednim do dokonywania oceny zasadności i prawidłowości zarządzeń dyrektora danego podmiotu leczniczego oraz wewnętrznej struktury organizacyjnej". I poradziła skontaktować się z NFZ i ministrem zdrowia oraz Uniwersytetem Mikołaja Kopernika jako organem nadzorującym szpital kliniczny.

Napisali pisma, tak jak im poradzono, i dodatkowo na początku stycznia zawiadomili Państwową Inspekcję Pracy, mimo że na SOR w połowie grudnia zatrudniono nowych lekarzy. – Miałem informacje od rezydentów, m.in. ortopedii, że przed godz. 15 nadal schodzą na SOR. I tak jest zresztą do dzisiaj. Gdy w połowie stycznia PIP zapowiedziała kontrolę szpitala, 21 stycznia wezwał mnie na rozmowę dyrektor Sobociński – relacjonuje Bartosz Fiałek. – To nie była rozmowa, tylko monolog dyrektora, który zachowywał się bardzo niegrzecznie. Byłem obsztorcowywany jak dziecko, zastraszany, traktowano mnie nie jak przedstawiciela związków zawodowych, czyli partnera, ale jak podwładnego – ocenia.

mnie właśnie do pracy na SOR. Pytał, czy dam radę. Odpowiedziałem, że to raczej przełożeni powinni ocenić. Ale jak ja czuję, dopytywał. Odpowiedziałem, że powinienem dać radę. I tyle było tej rozmowy. Poza tym październikowe zarządzenie dyrektora Sobocińskiego mnie akurat nie dotyczyło, tak jak i pozostałych lekarzy na oddziale reumatologii. Walczyłem – jako związkowiec – nie dla siebie.

OZZL wykupił kilka billboardów w okolicach szpitala.

Fiałek zażądał przeprosin oraz wycofania się z gróźb. Nie wszyscy mu uwierzyli, no bo nie wiadomo, co tak naprawdę się zdarzyło za drzwiami gabinetu, spotkanie odbyło się w cztery oczy. Słowo przeciwko słowu. W lokalnych mediach szpital sugerował konflikt personalny między dwoma panami. Fiałek: – Jaki konflikt personalny? Wcześniej tylko raz rozmawiałem z dyrektorem Sobocińskim. Kilka lat temu, gdy kierowano

– Choć rozmowa mną wstrząsnęła – relacjonuje przewodniczący Fiałek – zachowałem spokój, bo nagrałem wszystko na telefon komórkowy. Pierwszy raz w życiu. Nie jestem z tego dumny. Ale musiałem jakoś się bronić. Byłem sam. Bez żadnego wsparcia. Rozmowy z panem dyrektorem, każdy to wie, zwykle nie są przyjemne. Czułem, że muszę jakoś się zabezpieczyć.

Być może o nagraniu dowiedział się również Zbigniew Sobociński, bo ponownie wezwał dr. Fiałka. Tym razem – jak okazało się później – to dyrektor potajemnie spotkanie nagrał i upublicznił na stronie szpitala. Ton rozmowy był już zupełnie inny, pojednawczy. „Jeżeli rzeczywiście użyłem wobec pana sformułowań niewłaściwych, to przepraszam i podaję panu rękę", zapewnił Sobociński. Przepraszał jeszcze dwukrotnie i tłumaczył: „Poniosło mnie, bo pan tyle instytucji powiadomił i w sposób niesłuszny, bo to uderza w zarząd szpitala". Zapewnił, że nikt nie zrobi Fiałkowi krzywdy w szpitalu.

Waldemar Adametz, zastępca okręgowego inspektora pracy w Bydgoszczy: – Kontrolowaliśmy szpital od 18 stycznia br. Badaliśmy głównie czas pracy i nie stwierdziliśmy rażących naruszeń, poza pojedynczymi przypadkami np. niezapewnienia etatowemu lekarzowi 11 godzin odpoczynku po 24-godzinnym dyżurze. W mojej opinii w szpitalu mamy do czynienia z problemami organizacji pracy, a nie z naruszeniem przepisów prawa pracy.

Bo przecież chodzi o to, że lekarze w czasie dyżurów na oddziałach nie chcą schodzić do SOR. Nie ma takich przepisów, które nakazują etatowemu lekarzowi w czasie pracy leczyć tylko w jednym miejscu. Choć to na pewno byłoby dla nich wygodne. Ale jeśli praca na dwa fronty uniemożliwia im dobre wykonywanie obowiązków, to oczywiście nie powinni tak pracować. Jednak analiza, diagnoza i naprawa tego nie leży w gestii PIP. To zadanie dla tego środowiska. Właśnie m.in. dla związków zawodowych.

FOT. MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ

eprasa.pl b97cc2f0f7

Przeprosiny zostały przyjęte, ale do zawieszenia broni nie doszło: – To były tylko słowa wypowiadane w zaciszu gabinetu, z których można łatwo się wycofać. Poza tym trudno mi uwierzyć w szczerość przeprosin podszytych groźbami. A ja chciałem mieć pewność, że nikt mi nie będzie utrudniał robienia specjalizacji. Chciałem przeprosin i wycofania się z gróźb na piśmie. A dyrektor chciał mnie za wszelką cenę zmusić do podpisania pisma, że sprawa jest pozytywnie zakończona i że odwołuję mojego pełnomocnika prawnego.

Mimo dyrektorskich zapewnień lekarze rezydenci z ortopedii nadal w ciągu dnia pracują na oddziale i na SOR.

Dopiero gdy przesłucha się taśmy z pierwszej rozmowy (upublicznionej w połowie lutego na internetowej i facebookowej stronie OZZL), łatwiej zrozumieć, dlaczego Fiałek tak upiera się przy pisemnych zapewnieniach. Rozmowa jest skandaliczna. Choć to właściwie monolog. Dyrektor nie pozwala dojść do głosu przewodniczącemu związków zawodowych, poucza, pokrzykuje, przerywa mu: „Ma pan się uczyć! Chce się pan tu jeszcze uczyć czy pożegnamy się zaraz?! (…) Dyrektora obowiązkiem jest zabezpieczyć ciągłość diagnostyczno-leczniczą pacjentów. I tyle! Pana gówno to interesuje, jakimi sposobami to robi. Nie! Panu pomyliło się być związkowcem! Pana chętnie pożegnam z tego szpitala! (…) Pan się wpier… nie w to, co potrzeba… A ja się zastanowię, jak panu ulżyć w specjalizacji. (…) Ja sobie nie życzę, żeby taki człowiek pracował w szpitalu i… kontrolował. Ja pana z paragrafu po prostu wyrzucę za dezorganizację pracy i próbę zaburzenia działalności szpitala, podważanie zarządzania szpitala! (…) Przegiął pan! (…) Czego się pan tu wtrąca! Wynoś się, człowieku, stąd! A ja się zastanowię, jak cię zwolnić! Możesz sobie napisać, do kogo chcesz. Ale po roku czasu to już rezydentury nie będzie. (Do sekretarki) Pani mi poprosi kadry (niezrozumiałe) z aktami dr. Fiałka. Pan się zapomniał! A ja panu pokażę, że specjalizację pan będzie robił we Wrocławiu… czy gdzieś…”.

Dr Wanda Korzycka-Wilińska, dyrektor szpitala, oraz dyrektor Sobociński odmawiają komentarza. Sekretarka odsyła do Kamili Wiecińskiej, specjalistki ds. PR szpitala, która tłumaczy: – Szpital wydał oświadczenie, które zamyka sprawę. Pani dyrektor je opublikowała, żeby nie rozmawiać z mediami.

W oświadczeniu, które powstało dopiero po ujawnieniu pierwszej rozmowy, czytamy: „Z uwagi na fakt, iż twierdzenia i oświadczenia, które stały się katalizatorem dalszych zdarzeń, nastąpiły w formie ustnej i miały miejsce w obecności jedynie lek. med. Bartosza Fiałka, dyrekcja szpitala uznała za odpowiednie i stosowne wyrażenie przeprosin w tożsamej formie i okolicznościach. (…) W ocenie szpitala (…) konflikt został zażegnany. Niestety, dalsze działania pana przewodniczącego, których motywy pozostają dla szpitala nieznane, powodują całkowicie zbędną eskalację i nagłośnienie konfliktu”.

– Tak stali się sędziami we własnej sprawie – ocenia Bartosz Fiałek. I zapowiada sądowy epilog. Oraz dalszą robotę związkową, bo mimo dyrektorskich zapewnień lekarze rezydenci z ortopedii nadal pracują na SOR przed godz. 15. Wszystko wskazuje, że młody lekarz miał rację, nie wierząc dyrektorskim zapewnieniom, że w szpitalu nikt mu krzywdy nie zrobi. Właśnie otrzymał SMS od szefa SOR, że od marca już nie będzie popołudniami dyżurował w szpitalnej izbie przyjęć. – Choć w pierwotnym grafiku byłem uwzględniony. No ale ostatecznie grafik zatwierdza dyrektor Sobociński. W ten sposób będę zarabiał jakieś 50% mniej – wylicza przewodniczący związku zawodowego przy bydgoskim Bizielu. – Zaczęli spełniać swoje groźby. Próbują, ale nie dam się zastraszyć – zapewnia.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

eprasa.pl b97cc2f0f7

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

KONIEC SPORU O COKOLWIEK

W ostatnich miesiącach Chiny zaprezentowały swój nowy patent medialny – wirtualnych prezenterów telewizyjnych (telewizyjnych czy internetowych – nieważne, audiowizualnych). Był mężczyzna, kilka dni temu pokazano kobietę. Na pierwszy, nieuprzedzony rzut oka niemal nie dostrzeżemy, że nie mamy do czynienia z realną istotą ludzką. Mówi, gestykuluje, zmienia intonację, reaguje mimicznie – miód malina; samego przekazu nie oceniam, może być wszak dowolny. Wiadomo od dawna, że kwestią czasu było, kiedy takie projekty ujrzą światło dzienne.

Pojawienie się wirtualnych rozwiązań prezenteropodobnych przynosi pakiet najrozmaitszych pytań i wątków do poruszenia. Z punktu widzenia właściciela, zarządcy wirtprezentera/wirtprezenterki – no po prostu raj. Mówi, ale nie zadaje pytań, nie choruje, może pracować 48 godzin na dobę albo dowolnie dłużej, nigdy nie ma kaca, okresu, nie jest w ciąży, nie ma innych obowiązków. Co najważniejsze, nie żąda jakichkolwiek wynagrodzeń, respektowania praw pracowniczych, ludzkich. Równocześnie wszyscy oglądający mogą go/ją autentycznie polubić, cenić za wyważony przekaz, za nieuleganie emocjom, za nieskazitelną dykcję i poprawność każdej wypowiadanej zgłoski, elegancję, umiar i profesjonalizm. Jednym słowem, za wszystko to, do czego przez ostatnie dekady szlifowano tysiące nieodróżnialnych od siebie ludzi, wykonujących tę pracę i pozornie mających: własne zdanie, emocje, zmienne stany ducha i ciała, poglądy polityczne, sympatie i, he, he, potrzeby. Są piękni, wymuskani i wygłaskani, nawet w niektórych krajach w różnym wieku.

Tyle pracy włożonej w unifikację, w ujednolicenie normy, w wyglądanie na identycznych, w opanowanie języka sztucznych napięć – i jednym cyfrowym ruchem Chińczycy mówią: szach mat, mamy COŚ lepszego, efektywniejszego, dowolnie efektownego lub niewyróżniającego się. Nawet przychodzi mi do głowy pomysł, który innym z całą pewnością przyszedł już dawno i trwają zaawansowane prace nad takim projektem – że wiedząc o nas to wszystko, co zbieracze metadanych z telefonów, komputerów, suszarek do włosów, lodówek i samochodów już o nas wiedzą, dostarczy się każdemu, kiedy tylko będzie odbierać całkowicie spersonalizowany przekaz (wiadomo będzie, że on to ogląda), prezentera/prezenterkę, jakich oczekuje, choć sam może tych oczekiwań nie być świadomy. Metadane wiedzą o nas więcej niż ktokolwiek inny i my sami.

Ach, rozmarzyłem się... czy przeraziłem? Jak podać w wątpliwość przekaz z ust (co z tego, że cyfrowych) kogoś, kto jest naszym ideałem, wzorcem, do bólu akceptowalnym jak bliźniak przez bliźniaka albo bliźniaczka przez bliźniaczkę? Czy te oczy mogą kłamać? Nie! Czy te usta mogą zmyślać? Nie. Czy te gesty mogą manipulować? Nigdy! Zostaniemy poprowadzeni przez ciemną dolinę globalnego marketu za rękę przez istotę najbliższą, najpełniej ziszczającą nasze oczekiwania wobec innej humanoidalnej istoty. Będziemy jej wierzyć, ufać, czekać na nią, wypatrywać, zwierzać się, prosić o radę. I, jak myślę, dostaniemy ją. I skorzystamy, a przynajmniej będziemy o tym przekonani. I ona nas osłoni od wieści złych, od obrazów dramatycznych, naruszających nasze spokojne tu i teraz, albo nam ich dorzuci, jeśli akurat to lubimy.

Co za piękna wizja – sama treść też zostanie dostosowana do każdego indywiduum odbiorczego, już nigdy nie będzie tego samego przekazu. Śmierć tego, co wspólne, niech żyje indywidualne zawsze i wszędzie. No i co zrobisz? Wyłączysz? Jakimi mocami trzeba by dysponować? No nieludzkimi, a to akurat niemożliwe. Rozmarzyłem się czy ogarnął mnie niewyobrażalny strach? I to tylko dlatego, że Chińczycy pochwalili się wirtualną Chinką? Poza tym w Polsce i tak się nie uda, coś się pomyli i dostaniemy obraz prezentera oczekiwany przez sąsiada albo żonę, szefa albo kanara z autobusu. I się zacznie.

> Prawda, fakty, realność staną się słowami z muzeum zabytków słowa.

Czy jest choć jeden powód, żeby chcieć słuchać ludzi, żyjących, czujących, marzących lub marznących? Jak wyartykułować potrzebę kontaktu z żywym człowiekiem, kiedy ten sztuczny spełnia wszystkie sny systemu? Nie wie, co mówi i dlaczego, nie zadaje sobie pytania, czy miałby tego nie robić. Nikt nie stanie mu pod studiem z transparentem i tubą, wrzeszcząc: kłamczucha! Prawda, fakty, realność staną się słowami z muzeum zabytków słowa. Będą tylko wersje. Wersje wersji w różnych wersjach. Dla każdego coś innego: dla tego wyniki badań opinii publicznej, że opozycja wygra, dla obrońców pomnika Jankowskiego niewzruszona hagiografia, dla leśników drewniany świat bez drzew, dla kierowców ulice bez przejść dla pieszych, dla rowerzystów drogi bez aut, dla chorych świat skutecznych leków, dla żołnierzy same wygrane wojny, dla nauczycieli wakacje i podwyżki, dla kobiet równe prawa i płace, dla wszystkich wszystko i jeszcze coś na deser. I komu by to przeszkadzało? Muszę kończyć, zaraz moje wiadomości, informacje, doniesienia.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b97cc2f0f7

Lech Miodek

POWRÓT KSIĘDZA

Po 35 latach papież Franciszek cofnął karę nałożoną przez Jana Pawła II na Ernesta Cardenala

Chociaż został odrzucony przez Kościół, ciągle powtarzał, że jest chrześcijaninem i księdzem. Żył w prostocie. Uwielbiali go ubodzy chłopi. Nawet sandinistowscy partyzanci nazywali Ernesta Cardenala ojcem. 17 lutego papież Franciszek anulował postanowienie Jana Pawła II z 1984 r. o pozbawieniu ks. Cardenala prawa do sprawowania sakramentów.

PUBLICZNIE UPOKORZONY

Jest marzec 1983 r. Jan Paweł II po wizycie w Meksyku, gdzie potępił teologię wyzwolenia, ląduje w Managui. Na lotnisku widzi napis: „Witamy w wolnej Nikaragui dzięki Bogu i rewolucji". Jak napisze towarzyszący głowie Kościoła w podróży dziennikarz hiszpańskiego „El País" Juan Arias, papież jest spięty i zirytowany. „Ojcu świętemu, który w Polsce poznał twardość komunizmu radzieckiego, trudno było zrozumieć, że rewolucja sandinistowska może być partnerem dla Kościoła", tłumaczy Arias.

Byłoby niesprawiedliwe, gdyby kapłani oskarżani o pedofilię mogli korzystać z pełni praw, a ks. Cardenal umierał odrzucony przez Kościół.

Prezydent Daniel Ortega wygłasza półgodzinny pean na cześć rewolucji. Kiedy, odpowiadając gospodarzowi, Jan Paweł II wyraża dezaprobatę dla Kościoła ludowego, tłum mu przerywa, skandując: „Między chrześcijaństwem i rewolucją nie ma sprzeczności!". Potem Ortega przedstawia papieżowi członków rządu. Jednym z nich jest minister kultury ks. Ernesto Cardenal. Ubrany w guayaberę, koszulę noszoną przez mężczyzn w regionie Karaibów, dżinsy i czarny beret, klęka przed papieżem, chcąc ucałować jego dłoń. Ten jednak wyrywa mu rękę i grozi palcem. Jest niezadowolony z postawy kapłana, który porzucił swoje obowiązki i zajął się polityką. Na prośbę Cardenala o błogosławieństwo odpowiada ostro: „Najpierw musisz pogodzić się z Kościołem". Rok później nakłada na kapłana suspensę.

ZBUNTOWANY KSIĄDZ

Ernesto Cardenal wycofuje się na Solentiname. Ten archipelag to zielony punkt na gorących wodach jeziora Nikaragua. Tamtejsze drewniane domy, pomalowane na intensywne kolory, są domostwami rodzinnymi i warsztatami dla miejscowych malarzy prymitywistów, którzy utrwalają na swoich płótnach tropikalne pejzaże. Pod koniec lat 60. ksiądz poeta Ernesto Cardenal przekształcił tę chłopską wspólnotę we wspólnotę artystów. W jego zamiarach miała to być wspólnota kontemplacyjna oddana pracy, medytacjom i rozważaniu Ewangelii.

Zbuntowany ksiądz nie chodził w sutannie. Nosił przepaskę na głowie, nie palił, jadał z chłopami, nakłaniał ich do czytania Ché Guevary i swobodnego wypowiadania się w sprawach Ewangelii. Nie pobierał od chłopów opłat za chrzty i śluby.

„Nie rozumieliśmy go – twierdzi Esperanza Guevara, zarządzająca Stowarzyszeniem Rozwoju Solentiname. – Dawniej księża podczas mszy zawsze powtarzali: musicie dużo się modlić, zawierać małżeństwa, nie przeklinać, nie palić, nie pić i dopiero wtedy pójdziecie do nieba. W innym przypadku po śmierci pójdziecie do piekła. Ernesto o tym w ogóle nie wspominał. Mówił, że chce być taki jak my, żyć z nami. Chciał być z Bogiem sam na sam. Jego zdaniem religia dzieli ludzi i narody, a nauka łączy".

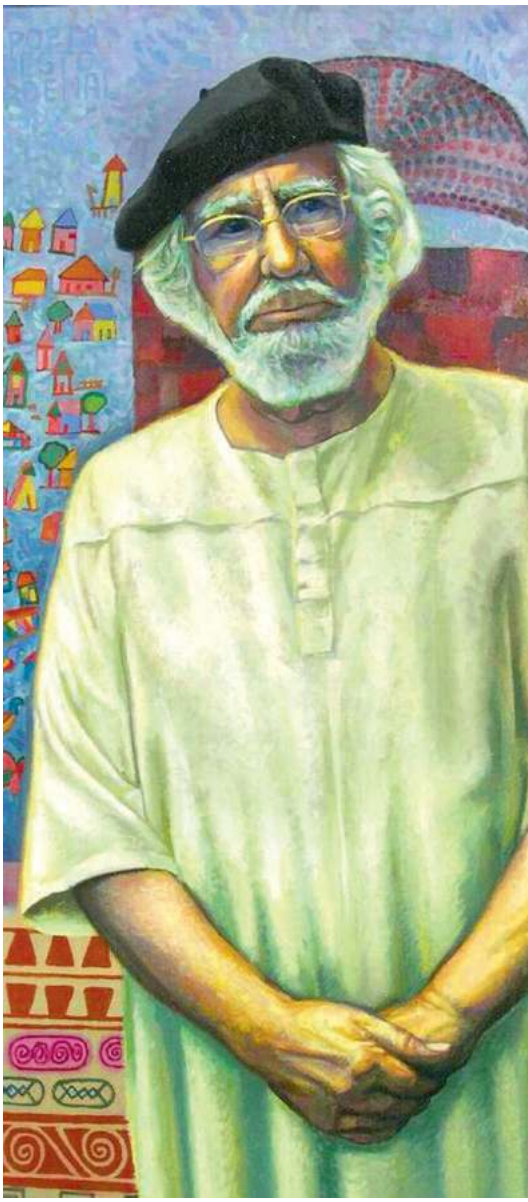

Portret Ernesta Cardenala wykonany w 2006 r.

Uważał siebie za chyba jedynego poetę uprawiającego poezję naukową. Na poparcie cytował dwóch angielskich naukowców – biologa Johna Haldane'a: „Nauka bardziej stymuluje wyobraźnię niż dzieła klasyków", i fizyka Paula Daviesa: „Nauka jest pewniejszą drogą do Boga niż religia". Cardenal w to wierzył. „Czytanie książek naukowych jest dla mnie modlitwą. Doszukuję się w nich nawet śladów twórczej działalności Boga", twierdził.

Ksiądz poeta nie tylko przekonywał chłopów, że religia nie jest

FOT. SERGIO MICHILINI

eprasa.pl b97cc2f0f7

więzieniem dla duszy, ale także zaszczepiał w młodych ludziach ducha sprzeciwu. „Chłopcy" z Solentiname włączyli się w walkę z dyktaturą Anastasia Somozy. Brali udział w akcjach bojowych przeciwko reżimowi, który nasyłał na nich oddziały Gwardii Narodowej, niszczące archipelag.

Po obaleniu Somozy w 1979 r. Cardenal został mianowany przez władze sandinistowskie ministrem kultury. Wśród jego wielkich projektów znalazły się odbudowa Solentiname i wsparcie dla malarzy prymitywistów. Asystentka Cardenala wspominała: „W latach 80. każdy turysta przybywający do Nikaragui kupował sobie na pamiątkę obraz z Solentiname". A nie były one tanie. Za mały pejzaż kupiony bezpośrednio od artysty trzeba było zapłacić 100 dol., ale były i obrazy, które autorzy wyceniali na 5 tys. dol. Solentiname stało się jednym wielkim atelier.

NADZIEJA WE FRANCISZKU

Śmierć Jana Pawła II w 2005 r. w sytuacji Cardenala niczego nie zmieniła. Benedykt XVI również był zdecydowanym przeciwnikiem teologii wyzwolenia. Cardenal nadal musiał dokonywać wyboru między wiarą w Boga a ideałami rewolucyjnymi. Czuł się księdzem, pisał poematy o tematyce mistycznej, rzeźbił ptaki w drewnie i krytycznie obserwował degenerację rządów prezydenta Ortegi.

Nadzieja na zmianę przyszła wraz z wyborem Jorge Maria Bergoglia. Jako biskup Buenos Aires popierał on bowiem ruch księży, którzy pracowali w biednych dzielnicach miasta. Na początku 2016 r., po bezowocnych próbach znalezienia kontaktu z Franciszkiem, Zingonia Zingone, włoska poetka, przyjaciółka Cardenala, przekazała Juanowi Ariasowi książkę księdza poety z dedykacją dla papieża. Chodziło o to, aby trafiła ona bezpośrednio do Bergoglia.

Taka okazja nadarzyła się w czasie podróży papieża do Meksyku; w lutym 2016 r. Arias wręczył Franciszkowi publikację ze słowami: „Ojcze święty, to książka z dedykacją i list od Ernesta Cardenala". „Jakiego kardynała?", miał zapytać papież, jakby źle usłyszał (*cardenal* to po hiszpańsku kardynał). „Nie, od Ernesta Cardenala", sprostował dziennikarz. „Dziękuję za list, natychmiast go przeczytam", odpowiedział Franciszek.

Ernesto Cardenal napisał w tej książce m.in.: „Myślę podobnie jak nowy papież. Niczego lepszego nie mógłbym sobie wyobrazić".

PAPIEŻ NAPRAWIA BŁĄD

2 lutego br. nuncjusz papieski w Nikaragui abp Waldemar Stanisław Sommertag odwiedził Ernesta Cardenala w jego domu w Managui i przekazał mu list od papieża Franciszka.

Po wizycie ksiądz podyktował sekretarce list do papieża. Franciszek nie zwlekał z decyzją, tym bardziej że stan zdrowia Cardenala zaczął się szybko pogarszać – 94-letni ksiądz trafił do szpitala z ciężką infekcją.

14 lutego nuncjusz papieski otrzymał decyzję Franciszka. Papież zniósł zakaz udzielania sakramentów nałożony na kapłana przez Jana Pawła II. Taką wiadomość abp Sommertag przekazał Ernestowi Cardenalowi, po czym koncelebrował z nim w szpitalu pierwszą od 35 lat mszę świętą. Natomiast biskup pomocniczy archidiecezji Managui Silvio José Báez odwiedził Cardenala w szpitalu i poprosił go o błogosławieństwo.

Decyzja papieża Franciszka jest pierwszym sukcesem teologii wyzwolenia na kontynencie latynoamerykańskim. Być może w ten sposób papież chce też naprawić swoją niesprawiedliwość. Kiedy bowiem kierował Kościołem argentyńskim, o poważne nadużycia na tle seksualnym oskarżanych było ponad 100 księży. Jorge Mario Bergoglio nie opowiedział się wtedy po stronie ofiar ani nie potępił przestępców.

Decyzja papieża Franciszka jest pierwszym sukcesem teologii wyzwolenia.

Co więcej, sfinansował wydanie książki, w której bronił jednego z księży, przebywającego obecnie w więzieniu.

W świetle związanego z pedofilią spadku wiarygodności Kościoła jest to akt symboliczny. Byłoby bardzo bolesne i niesprawiedliwe, gdyby kardynałowie, biskupi i księża oskarżani o pedofilię lub o jej ukrywanie mogli korzystać z pełni praw kapłańskich, a taki ksiądz jak Ernesto Cardenal miał umierać wykluczony z Kościoła. Czy jednak decyzja ta pomoże poprawić wizerunek Kościoła katolickiego? Wątpliwe. ■

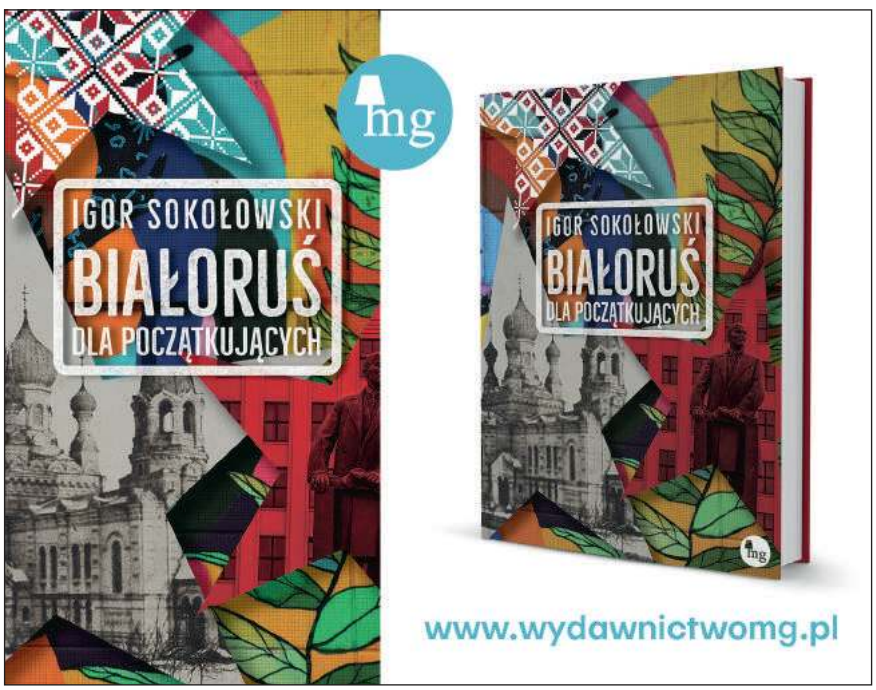

eprasa.pl b97cc2f0f7

DILERZY MOCNIEJSI OD APTEK

Pomimo legalizacji w 10 stanach USA czarny rynek marihuany kwitnie

Mateusz Mazzini

Gdy w 2013 r. prezydent Pepe Mujica uczynił z Urugwaju pierwsze na świecie państwo, w którym konsumpcja marihuany została w całości i bezwarunkowo zalegalizowana, światowa opinia publiczna uznała to raczej za egzotyczny eksperyment niż początek globalnego trendu. Od tego czasu jednak wiele się zmieniło. O marihuanie zaczęto mówić także w kontekście jej właściwości medycznych i zastosowania w leczeniu przewlekłego bólu oraz niektórych typów nowotworów. Przybyło badań naukowych pozwalających precyzyjniej określić skutki konsumpcji tej substancji. Ucywilizowanie debaty publicznej o marihuanie było możliwe również dzięki jej dekryminalizacji w kolejnych miejscach na świecie. Co prawda, jej użycie bez względu na cel jest dziś zgodne z prawem jedynie w Kanadzie, Urugwaju i 10 stanach USA, ale wręcz lawinowo wzrosła w ostatnich latach liczba państw, które konsumpcję i posiadanie marihuany zdekryminalizowały. W dużym skrócie oznacza to, że władze państwowe mają prawo zatrzymywać osoby konsumujące bądź posiadające tę substancję i ją rekwirować, jednak przyłapani nie podlegają karze więzienia ani grzywny. Tego rodzaju rozwiązania wprowadzono już praktycznie we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej, w Rosji, w Norwegii, w Hiszpanii i w części stanów Australii. Postępuje też depenalizacja marihuany do celów medycznych. Jako lek (lub substancję składową w farmaceutykach) można ją stosować w 33 stanach USA i wielu krajach Europy – m.in. w Niemczech, we Włoszech, w Holandii, a od 1 listopada 2017 r. w Polsce.

BIZNES JORDANA D.

Dekryminalizacja posiadania, konsumpcji czy handlu marihuaną nie oznacza, że wszyscy dilerzy przeszli na jasną stronę. Wręcz przeciwnie – w wielu miejscach, gdzie marihuanę można dzisiaj kupić zupełnie legalnie, czarny rynek rozwija się jak nigdy dotąd.

Jednym z takich miejsc jest stan Michigan na północnym wschodzie USA. Pomimo legalizacji konsumpcji marihuany w grudniu ub.r. jej sprzedaż poza oficjalnymi punktami handlowymi osiąga nieznane dotąd rozmiary. Jedną z osób, których status materialny dzięki temu zjawisku wydatnie się poprawił, jest Jordan D., 25-letni mieszkaniec Detroit. Na początku lutego opowiedział swoją historię reporterom „Detroit Metro Times". Zaczął od tego, że po legalizacji marihuany szybko zauważył ogromną niszę na rynku. Mieszkańcy jego miasta spodziewali się, że substancja stanie się powszechnie dostępna z dnia na dzień, skończą się czasy zapisywania w telefonie numeru do dilera pod fałszywym nazwiskiem i cichych transakcji w samochodzie czy na ulicy. Większość obecnych klientów Jordana przeżyła ogromne rozczarowanie – stan Michigan zalegalizował bowiem rekreacyjną konsumpcję marihuany i jej zastosowanie w terapiach medycznych, ale handel nią dla prywatnych celów pozostał poza granicami prawa. Na terenie całego stanu, mającego prawie 10 mln mieszkańców, znajdują się zaledwie 54 punkty sprzedaży medycznej marihuany autoryzowane przez lokalne władze. Ponadto aby robić w nich zakupy, potrzebne są recepty i udokumentowane wskazania lekarza. Podaż pozostaje zatem mocno w tyle za popytem. Właśnie ten proces trafnie ocenił Jordan, porzucając pracę kelnera i zatrudniając się jako „diler na telefon". „Jeśli mam dobry dzień, jestem w stanie zarobić nawet 1 tys. dol. na czysto", powiedział dziennikarzom. Dziś jest jednym z kilkuset dostawców marihuany w swoim stanie, ogłaszających się na portalu Weedmaps.com. Oficjalnie każdy z nich jest jedynie posiadaczem tej substancji, gotowym ją „odstąpić" – bo handel rekreacyjną marihuaną jest wciąż nielegalny. W praktyce jednak wszyscy wiedzą, o co chodzi, a władze pozostają bezradne. Jeśli nie złapią Jordana czy któregokolwiek z dostawców na gorącym uczynku, nie udowodnią im pogwałcenia prawa. A nawet jeśli raz na jakiś czas któryś zostanie przyłapany w czasie transakcji, policjanci najczęściej przymykają oko.

DŁUGA DROGA DO CERTYFIKATU

Przykład Jordana D. i stanu Michigan to znakomita ilustracja pierwszego problemu z dekryminalizacją marihuany. Bardzo często bowiem państwo nie nadąża za konsumentami. Słysząc informację o legalizacji, wielu użytkowników spodziewało się, że marihuana będzie po prostu kolejnym produktem spożywczym dostępnym na sklepowych półkach jak płatki owsiane czy cola-cola. Z oczywistych względów tak się nie stało. Częściowa dekryminalizacja marihuany wymaga bardzo złożonych i dokładnych, nieraz długotrwałych procesów. Ponieważ handlować nią można jedynie w celach leczniczych, ubiegający się o tę możliwość przedsiębiorcy muszą zostać przez władze dokładnie sprawdzeni, a oferowane przez nich produkty – uzyskać certyfikację. To wszystko trwa, nierzadko tygodniami czy miesiącami.

Druga sprawa: nie każdy wierzy w prognozy wielomilionowych zysków z handlu marihuaną. Co prawda, według branżowego portalu Marijuana Business Daily sam omawiany tutaj stan Michigan ma za chwilę zamienić się w rynek o wartości ponad 1,5 mld dol., jednak wielu jego potencjalnych uczestników pozostaje

Użycie marihuany bez względu na cel jest dziś zgodne z prawem jedynie w Kanadzie, Urugwaju i 10 stanach USA.

eprasa.pl b97cc2f0f7

Marsz zwolenników legalizacji marihuany w Nowym Jorku, maj 2018 r.

sceptycznych. Boją się inwestować w punkty sprzedaży marihuany z powodu wysokich kosztów wejścia w biznes (certyfikacja, biurokratyczny poślizg opóźniający otwarcie) i z obawy, że ludzie pozostaną wierni swoim dotychczasowym dilerom. Historia Jordana pokazuje, że przynajmniej po części mają rację.

CENA I SENTYMENTY

Innym czynnikiem decydującym o tym, że legalna marihuana przegrywa z czarnorynkową, jest kwestia najbardziej prozaiczna, czyli cena produktu. Tę rywalizację najlepiej widać na przykładzie Kanady, która jako pierwszy kraj z grupy G7, zrzeszającej najbogatsze gospodarki świata, zalegalizowała marihuanę w całości, w każdej formie. Skoro zniknęły wszystkie obostrzenia w handlu marihuaną, wszyscy powinni przejść na legalną ścieżkę. I w tym przypadku nie okazało się to prawdą. Wielu dilerów pozostało na czarnym rynku, bo dzięki niższym cenom wciąż są w stanie wygrać rywalizację z autoryzowanymi punktami sprzedaży. Ray (45 lat) i Gord (44), dwaj kanadyjscy dilerzy handlujący marihuaną od ponad trzech dekad (zaczynali jako nastolatki), opisali swoją pozycję na rynku w wywiadzie dla amerykańskiej edycji dziennika „The Guardian". Ich zdaniem utrzymują się w branży, bo bez konieczności opodatkowania swojej marihuany i dzięki długiej liście wiernych klientów mogą oferować ceny co najmniej 30% niższe niż w sklepach. Jak dodają, dużą rolę w ich sukcesie odgrywa również masowość konsumpcji marihuany bez względu na jej rodzaj. „Większość użytkowników to nie są koneserzy, nie umieją odróżnić odmian czy mieszanek. Nie mają też na ten cel przeznaczonych wielkich pieniędzy. Chcą po prostu kupić zioło, które ich nie zatruje, i zrobić to w miarę tanio", mówią dilerzy. W ten sposób doskonale ilustrują różnice między handlem marihuaną a np. alkoholem. W tym pierwszym przypadku dominuje zdecydowanie czynnik cenowy, a nie smakowy. Chociażby dlatego państwu trudno zapanować nad czarnym rynkiem marihuany. Nieopodatkowani dystrybutorzy z definicji będą tańsi od oficjalnych sprzedawców, a jakość, którą ci drudzy mogliby przebić tych pierwszych, nie jest na tyle ważna, by zapewnić zwycięstwo legalnemu biznesowi.

Ray i Gord wskazują jednak jeszcze jeden aspekt, być może najtrudniejszy do wyeliminowania w procesie legalizacji. Przez lata obaj stworzyli z klientami bliskie, niemal przyjacielskie relacje. Uczestniczyli w festiwalach muzycznych i wydarzeniach kulturowych, podczas których wiele osób konsumowało marihuanę, celebrując również dreszczyk emocji związany z nielegalnością tego aktu. Legalizacja zabrała im tę przyjemność, dlatego wracają poza ramy prawa, do stałych dilerów. Gord twierdzi nawet, że dla wielu jego starszych klientów to sposób na poczucie się młodszym, powrót do przeszłości czy nawet szansa na złapanie lepszego kontaktu z własnymi dziećmi. Tego typu sentymentów nie zgasi w nich żaden akt prawny. ■

W sprawie pedofilii w Kościele polscy biskupi nie są zbyt gadatliwi, **co sprawdził reporter tygodnika „NIE" i opisał w najnowszym wydaniu.**

FOT. SIPA USA/EAST NEWS

eprasa.pl b97cc2f0f7

1999

2000

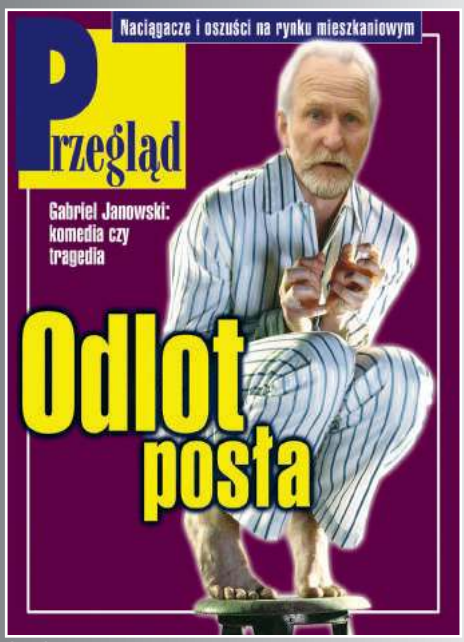

2002

2007

1000 RAZY DZIĘKI WAM

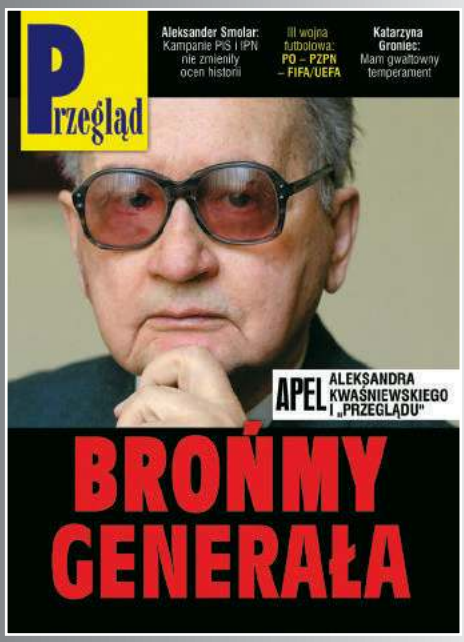

2008

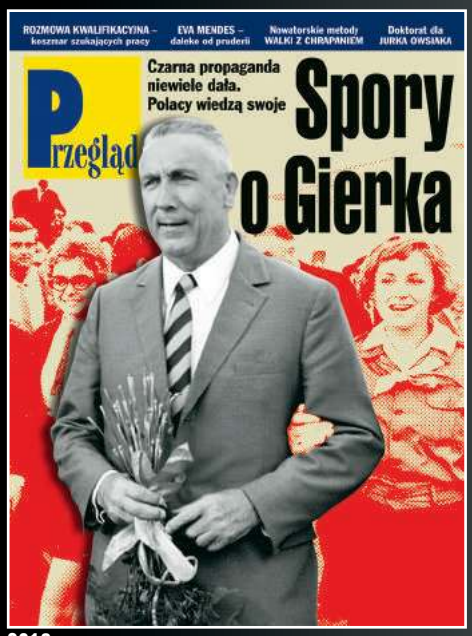

2013

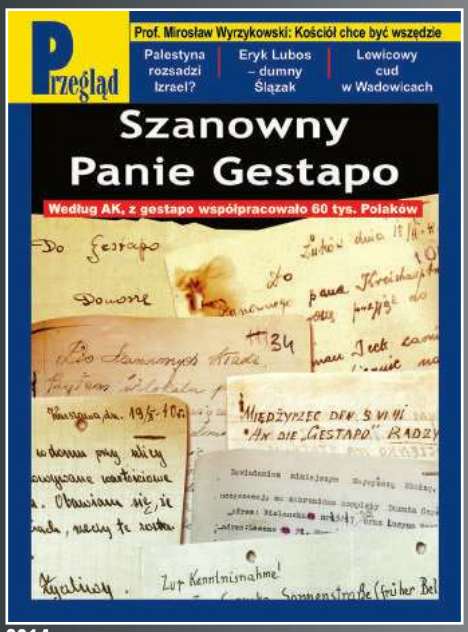

2014

2015

eprasa.pl b97cc2f0f7

2003

2004

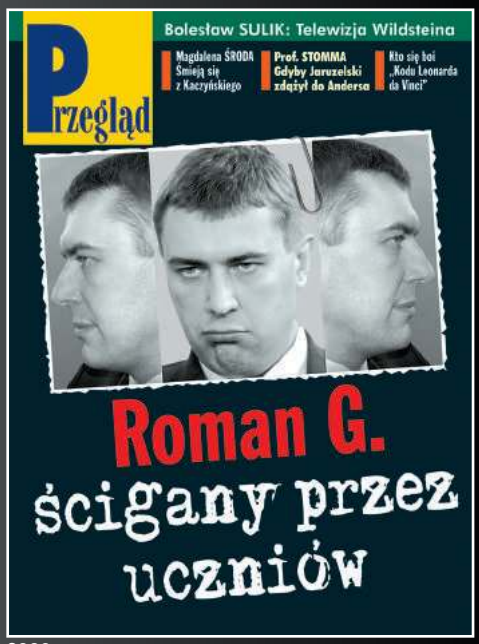

2006

2009

2010

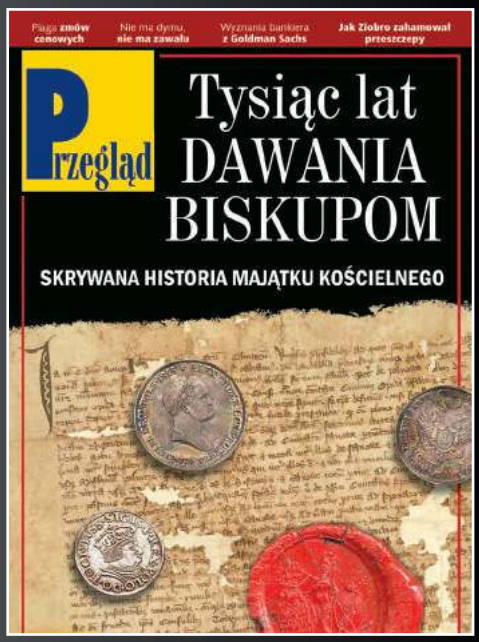

2012

2016

2017

2019

eprasa.pl b97cc2f0f7

Gdyby nie było Piłsudskiego

Historie alternatywne uczą, że kierowanie się w polityce emocjami, ambicjami i korzyściami finansowymi najczęściej kończy się źle

Rozmawia Rafał Pikuła

PROF. ANDRZEJ CHWALBA

– historyk i eseista, wykładowca UJ, współautor książki „Zwrotnice dziejów. Alternatywne historie Polski"

Próby przedstawiania odmiennej historii uchodzą za kontrowersyjne i przez długi czas spotykały się z silną krytyką, przede wszystkim w środowiskach akademickich. Czy poważnemu badaczowi wypada zajmować się takim gdybaniem?

– Książka „Zwrotnice dziejów" jest pomysłem redaktora Wojciecha Harpuli. Zgodziłem się na wspólne stworzenie tej publikacji, pod warunkiem że sztywno trzymamy się faktów, odwołując się do warsztatu naukowego historyka, racjonalnie i rzeczowo rozważając alternatywne scenariusze dziejów Polski. To nie jest książka naukowa, ale popularna, dla miłośników historii. Inna rzecz, że już wcześniej powstawały podobne publikacje.

Brak wyobraźni klasy panującej często był powodem nieszczęść.

Teksty z zakresu historii alternatywnej mają w dorobku tacy znakomici badacze jak profesorowie Janusz Tazbir czy Jerzy Strzelczyk. W krajach anglosaskich i w Niemczech prowadzone są warsztaty z historii alternatywnej dla studentów. Jest to zatem metoda społecznie akceptowana.

Czyli nie bawimy się w bajkopisarstwo historyczne?

– Umówiliśmy się z redaktorem Harpulą, że nie bawimy się w tworzenie *science fiction* czy *fantasy*, nikomu nie zmieniamy PESEL ani płci, pokazujemy, że niejednokrotnie przypadek sprawiał, że historia potoczyła się zupełnie inaczej – ktoś się spóźnił na spotkanie, ktoś się rozchorował, w jakimś momencie emocje wzięły górę nad kalkulacjami politycznymi... Wysuwanie alternatywnych hipotez dotyczących wydarzeń historycznych uzupełnia naszą wiedzę na temat tego, co faktycznie się stało. Konstruując alternatywne scenariusze, nie mnożyliśmy ponad potrzebę piętrowych hipotez. Chcieliśmy pokazać, że historia nigdy nie jest zaprogramowana, że to ludzie są aktorami dziejów.

Od kilku lat snucie hipotetycznych historii jest modne. Różni pisarze i publicyści zastanawiają się, co by było, gdyby Polacy poszli z Hitlerem na Moskwę. Takiej opowieści w książce nie ma.

– Sojusz Warszawy i Berlina w 1939 r. nie był możliwy. Nikt z ówczesnych elit politycznych nie brał go na poważnie. Stawiając pytania badawcze w książce, przyjęliśmy założenie, że trzymamy się wydarzeń możliwych i decydujących dla naszych dziejów i takich, których konsekwencje byłyby długotrwałe. Dlatego do książki ostatecznie nie trafiły rozważania, co by było, gdyby nie wybuchło powstanie warszawskie czy listopadowe i jakie byłyby konsekwencje klęski w bitwie warszawskiej.

Opisywane w książce scenariusze – nie dochodzi do rozbicia dzielnicowego, Zygmunt Stary włącza Prusy do Korony, Jagiellonowie nie zasiadają na polskim tronie, a Konstytucja 3 maja nie zostaje uchwalona – to historie, których skutki ciągną się przez wieki?

– Rzeczywiście, dlatego wydawca przed każdym rozdziałem dał dwie ilustracje: jedna nawiązuje do omawianych czasów, druga do możliwych konsekwencji po wiekach. W przypadku rozbicia dzielnicowego mamy wizerunek z czasów Bolesława Krzywoustego i zdobywanie Kołobrzegu przez wojsko polskie w 1945 r. To pokazuje, że tzw. testament Krzywoustego sprawił, że na prawie 700 lat utraciliśmy kontrolę nad Pomorzem Zachodnim. Gdyby nie było podziału dzielnicowego Polski, a dowodzimy, że nie musiał mieć miejsca, zapewne Konrad Mazowiecki nie sprowadziłby do Polski Krzyżaków, z którymi potem przez dwa wieki walczyliśmy o Pomorze Gdańskie.

I gdyby nie Krzyżacy, nie byłoby pruskiej potęgi. Być może nie byłoby też I i II wojny światowej?

– To już daleko posunięte hipotezy. W naszej książce skupiamy się na kluczowych momentach historii, na owych zwrotnicach dziejów, próbujemy szukać wyjaśnień. Jeszcze z czasów szkolnych pamiętam pytanie, dlaczego wybuchła rewolucja francuska. Tłumaczono ją głodem i biedą, ale przecież w innych momentach dziejów lud też był niezadowolony i rewolucje nie wybuchały. W rozważaniach na temat innego niż w rzeczywistości biegu wydarzeń historycznych ujawnia się czasem „efekt motyla" – drobne, niezauważalne zdarzenie, które miało wiekopomne skutki.

Pisząc o pana książce, Krzysztof Varga zauważył, że „jeśli mogło być dobrze, z bożą pomocą zrobiliśmy wszystko, żeby było źle".

Gdyby nie było Piłsudskiego, historia potoczyłaby się inaczej, ale sto lat temu Polska nie mogła nie odzyskać niepodległości.

Faktycznie w przełomowych momentach dokonywaliśmy najgorszych wyborów? Zamiast postawić na Piasta Ziemowita IV, związaliśmy się z Litwą, zamiast dobić Krzyżaków, hodowaliśmy polityczną żmiję na własnej piersi, zamiast związać się z Habsburgami, wdaliśmy się w niebezpieczne wojny prowadzące do upadku? Czy historia Polski

eprasa.pl b97cc2f0f7

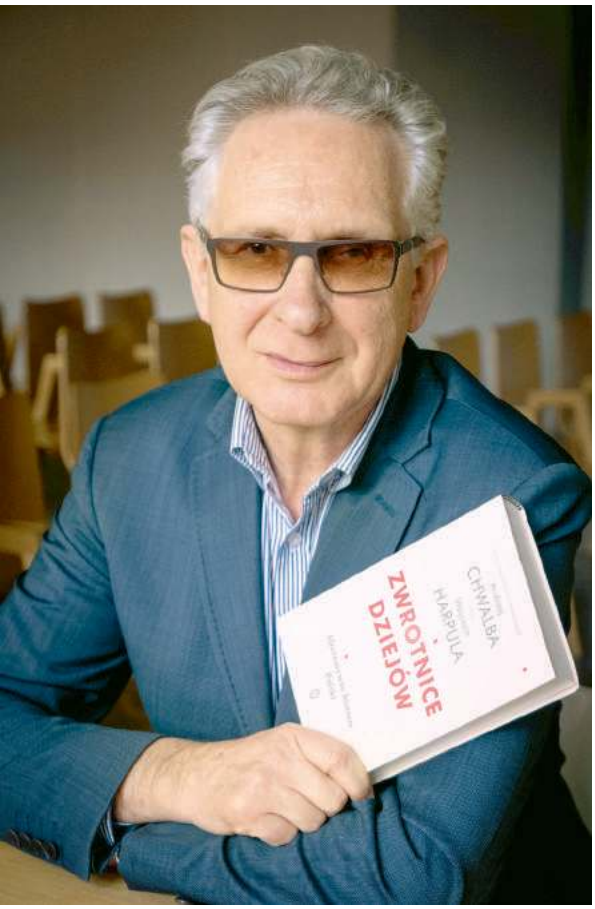

to historia pogrzebanych szans i błędów?

– Naszym zadaniem nie było wystawianie przodkom ocen ani sytuowanie się w roli prokuratora. Trudno jednak nie zauważyć, że niejednokrotnie polscy przywódcy zawiedli, że kierowali się egoizmem i partykularyzmem, a brak wyobraźni klasy panującej często był powodem nieszczęść. W decydujących momentach popełniano proste błędy, które miały tragiczne konsekwencje. Tak się działo chociażby z Konstytucją 3 maja, która była pięknym testamentem I Rzeczypospolitej, ale faktycznie nie weszła w życie, sprowokowała natomiast wrogów Polski do działania. Zauważmy, że do kwietnia 1791 r. w Polsce udało się wiele zmienić: nadano prawa mieszczanom, odebrano głos wyborczy gołocie, która była korumpowana przez rody magnackie, wprowadzono podatki, zaczęto rozbudowę armii. Uchwalenie konstytucji było krokiem idącym za daleko, jego konsekwencją były II i III rozbiór Polski, co w tekście szerzej wyjaśniamy. Zwolennicy konstytucji znaleźli sojusznika w Prusach, co było najgorszym z możliwych rozwiązań, gdyż Berlin w istocie parł do kolejnego rozbioru. To jakby wpuścić lisa do kurnika, by kur pilnował.

Zawiodła dyplomacja?

– Polscy politycy tamtego czasu byli w istocie amatorami bez międzynarodowego doświadczenia. Nasza dyplomacja – szczególnie w porównaniu z pruską czy rosyjską – okazała się łatwa do manipulowania. Dopiero uczyliśmy się prowadzić gry dyplomatyczne. Górę wzięły emocje, a nie realizm polityczny. Podobnie było z Janem Zamoyskim, wybitnym politykiem, myślicielem, strategiem, który z powodu małostkowości stracił szansę na polską koronę. Kierując się emocjami i osobistą zemstą, ściął Samuela Zborowskiego. To zabójstwo polityczne przekreśliło jego plany i ambicje. W moim odczuciu to wielka strata dla Rzeczypospolitej – człowiek z takimi horyzontami i zaradnością byłby świetnym królem!

Fatalna decyzja zaważyła na losach Zamoyskiego, ale ród Zborowskich to zabójstwo bardzo skutecznie zagospodarował politycznie.

– Dobrego polityka poznaje się po tym, że potrafi opanować emocje, a Zamoyskiemu, pomimo wielu zalet i cnót, to się nie udało. Chociaż był człowiekiem służby, dziś powiedzielibyśmy państwowcem, popełnił wielki błąd. Zamoyski jako jedyny cieszył się uznaniem i szacunkiem szerokich mas szlacheckich, ale po zabójstwie Zborowskiego szlachta od niego się odwróciła. Wszak zabił jednego z nich! Zborowscy obwozili zabalsamowane zwłoki po kraju, dokonali czegoś na kształt sakralizacji śmierci Samuela. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że było to udane zagranie PR-owe rodu.

Zabójstwo Zborowskiego jeszcze mocniej podzieliło brać szlachecką w Polsce. Podobnie było w 1922 r., gdy zabito prezydenta Narutowicza, ale wtedy wybuchowi wojny domowej zapobiegł autorytet Piłsudskiego.

– Trzeba pamiętać, że Gabriel Narutowicz był dalszym kuzynem Piłsudskiego. Zabicie pierwszego prezydenta II Rzeczypospolitej było szokiem dla marszałka. Na szczęście udało się wtedy zapobiec eskalacji przemocy.

Uchwalenie Konstytucji 3 maja było krokiem idącym za daleko, jego konsekwencją były II i III rozbiór Polski.

Jeśli mowa o Piłsudskim, to czy gdyby nie było tego wodza, Polska odzyskałaby niepodległość? Czy w ogóle była taka możliwość, że Rzeczpospolita nie odrodziłaby się w 1918 r.?

– Gdyby nie było Piłsudskiego, na pewno historia potoczyłaby się inaczej, ale sto lat temu Polska nie mogła nie odzyskać niepodległości. Tak naprawdę władza w Polsce dosłownie leżała na ulicy. Kraje zaborcze, Austria i Niemcy, przegrały wojnę, w Rosji trwała rewolucja bolszewicka. W interesie Polaków leżało zorganizowanie administracji i wojska po opuszczeniu kraju przez dotychczasowych gospodarzy. Przejęcie spuścizny po zaborach było zatem stosunkowo proste, problemem były budowa państwa i zabezpieczenie granic. Przecież niewiele brakowało,

Bądź wrażliwy, zadeklaruj 1%
podatku dochodowego za 2018 r.
i przekaż na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego
KRS nr 0000145140
albo wpłać darowiznę na konto 93 1020 1068 0000 1202 0001 6246
Fundacji Pomocy Weteranom LWP
Al. Ujazdowskie 6A/ lok. 28, 00-461 Warszawa.
Uzyskane środki pieniężne zostaną przekazane podopiecznym fundacji.
Przekaż 1%
Z żołnierskim pozdrowieniem Fundacja Pomocy Weteranom LWP

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b97cc2f0f7

by w 1919 r. doszło do wojny z Niemcami, którzy nie godzili się na oddanie Śląska, Wielkopolski i Pomorza. **Mieliśmy za to wojnę na wschodzie z bolszewikami.**

– Między Polską a Rosją sowiecką istniały obszary sporne. Wojna była nieunikniona, zaczęła się już w 1919 r., niemniej jednak pokój wiosną 1920 r. nie był wykluczony. W tym momencie Moskwa była gotowa na zawarcie pokoju nie tylko z Polską, ale także z Estonią, Litwą, Łotwą, Rumunią i Finlandią – i z tymi państwami, poza Polską, wówczas go zawarła. Bolszewicy chcieli umocnić władzę, odbudować gospodarkę, tabor kolejowy, planowali NEP (Nową Politykę Ekonomiczną – doktrynę gospodarczą Rosji Radzieckiej i ZSRR w latach 1921-1929 – przyp. red.). Oczywiście zawarcie pokoju nie oznaczało, że jeśli państwo radzieckie się wzmocni, to do wojny nie dojdzie. Gdyby w Europie ponownie doszło do wzmocnienia fali rewolucyjnej, co było wielce prawdopodobne, Armia Czerwona by uderzyła. Ale wyprawa na Kijów została uznana za inwazję na ziemie Rosji, co doprowadziło do mobilizacji Rosjan wokół partii bolszewickiej. Poprawiło się morale, zmalała dezercja, a na zachodzie Europy znów podniosły się nastroje rewolucyjne. Moskwa uwierzyła, że będzie w stanie pokonać Polskę i wtargnąć na obszary przynajmniej Europy Środkowej.

W 1918 r. władza w Polsce dosłownie leżała na ulicy.

Sejm odrodzonej Rzeczypospolitej nie chciał prowokować Rosji bolszewickiej, wyprawa na Kijów była osobistą decyzją marszałka. Być może analiza historii alternatywnych to doskonałe ćwiczenie intelektualne dla polityków?

– W Sejmie najsilniejsza była Narodowa Demokracja, przeciwna i wyprawie na Kijów, i sojuszowi z Ukrainą. Również politycy lewicy z reguły nie chcieli wojny. Myślę, że współcześnie polscy politycy, niezależnie od orientacji, mogliby się zapoznać z naszymi rozważaniami (śmiech!). Historie alternatywne uczą, że kierowanie się w polityce emocjami, ambicjami i korzyściami finansowymi najczęściej kończy się źle.

Dzisiaj polityka historyczna jest częstym narzędziem walki wyborczej. Czy można używać historii w tak instrumentalny sposób?

– Rzeczywiście, bywa takim narzędziem. Ale trzeba zaznaczyć, że powinniśmy rozróżniać politykę historyczną i politykę pamięci. Jest to niekiedy mylone. Politykę historyczną prowadzą władze danego państwa, a politykę pamięci także samorządy, stowarzyszenia, ruchy obywatelskie. Polityka historyczna odwołuje się, a przynajmniej powinna się odwoływać, do faktów, pomaga budować narrację o danym kraju, choć może prowadzić do manipulacji i Polska bynajmniej nie jest wyjątkiem. Lecz polityka historyczna nie musi pełnić funkcji propagandowych. Kiedy w 1992 r. wydawany był wspólny podręcznik historii Europy, Islandczycy domagali się wpisania, że to oni mają najstarszy parlament w Europie. Tłumaczyli, że jeśli parlament brytyjski jest matką parlamentaryzmu, to parlament islandzki jest jego babką. Z kolei polityka pamięci nieraz odwołuje się do emocji, co może prowadzić do zniekształcenia przekazu historycznego.

Rafał Pikuła

ŚLADAMI DĄBROWSZCZAKÓW

„Zamiast na odpoczynek, znowu do piekła, jak myśmy to nazywali. Guadalajara – tego nigdy się nie zapomina, jak się walczy na śmierć i życie. Tu niby gaje oliwne, ale deszcz ze śniegiem. Taki dziwny klimat. W błocie kopaliśmy okopy i obraliśmy nasze pozycje. U nas zawsze to było: nie cofamy się, *no pasaran*, takie było u nas zawsze zadanie", wspominał Wilhelm Zając spod Rybnika. To fragment filmu dokumentalnego „Pięść i dynamit. Gawęda o śląskich antyfaszystach w Hiszpanii" Dariusza Zalegi. Przedstawia on losy prawie 200 śląskich robotników – pochodzących z Górnego Śląska, podzielonego wówczas między Polskę, Niemcy i Czechosłowację, którzy spotkali się na polach bitewnych wojny w Hiszpanii. Niektórzy mieli za sobą epizod w powstaniach śląskich, większość musiała wyemigrować za chlebem lub z obawy przed niemieckimi represjami. Przedzierali się do Hiszpanii, by walczyć z faszyzmem, o godność i prawa robotników, z wiarą w lepszy świat. Wielu tam zginęło, wielu poczuło gorycz straconych złudzeń. Ten film to próba ocalenia pamięci o zwykłych, a tak niezwykłych ludziach. O Ślązakach z Szopienic, Karwiny czy Hindenburga, których historia rzuciła za Pireneje...

W filmie wykorzystano dziesiątki wspomnień, setki archiwalnych zdjęć, w tym dotąd niepublikowanych, sceny fabularyzowane nagrywane były zarówno na Śląsku, jak i w Hiszpanii. Specjalnie dla tego projektu pieśń „Ay Carmela" w polskiej wersji językowej nagrał Grzegorz Płonka, natomiast ścieżkę dźwiękową opracował Tom Axer z zespołu Düsseldorf.

Film przygotowany został także z napisami w języku angielskim, czeskim, francuskim, hiszpańskim i niemieckim.

Premiera: 4 marca, godz. 20.00 – kino Rialto w Katowicach
5 marca, godz. 20.30 – kino Muranów w Warszawie

Strona projektu: spain-silesia.eu
Projekt Zbuntowany Śląsk: www.facebook.com/slaskzbuntowany

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b97cc2f0f7

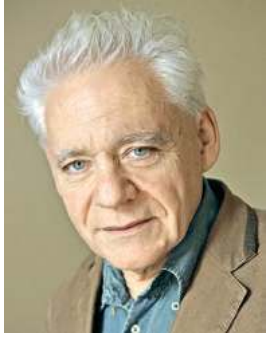

Oko w oko

Tomasz Jastrun

JAKOŚ TO BĘDZIE

Film „Roma" w kinie Iluzjon. Pięknie wygląda to kino po wielkim remoncie. Ciekawe, jak socrealistyczna architektura zyskuje z upływem lat, jeśli zadbana. A kiedyś socrealizm zdawał się karykaturą i brzydactwem. To jednak był styl, a styl w architekturze zawsze ładnie się starzeje, inaczej niż człowiek, który rzadko starzeje się ładnie. Film Alfonsa Cuaróna magnetyczny. „Zimna wojna" nie miała przy nim żadnych szans. „Roma" zasłużyła na Oscary. Dawno nie byłem na filmie, który tak nieubłaganie, ale bez przemocy wciąga w swój świat.

•

Jarosław Kaczyński na konwencji PiS o opozycji: „Jeśli zwyciężą, zniesiona zostanie demokracja". Mówi to człowiek, który niszczy demokrację w Polsce. Nie ma wolności i demokracji, mówi, kiedy pusta kieszeń i portfel. Gdybym, mając dzieci, nie wiązał końca z końcem, pewnie uznałbym, że ma rację. Ale jest faktem, że część demokracji Polacy sprzedali za 500 zł na drugie dziecko. Teraz jest szansa sprzedać całą, za pieniądze na pierwsze. Czy polskie dzieci zatopią polską demokrację i przyszłość ekonomiczną tego kraju?

Czy polskie dzieci zatopią polską demokrację i przyszłość ekonomiczną kraju?

„Jarosław Kaczyński dał wam prezent", mówi usłużna Beata Szydło. Rzeczywiście, 13. emerytura to jakby prezes wręczał każdemu emerytowi kopertę. Odruchowo wyciągam rękę. Ale wcześniej wyjął po kryjomu te pieniądze z naszej kieszeni. PiS da wszystko, byle nie oddać władzy. Można było tego się spodziewać, a jednak zaskoczenie. I opozycja nie ma dobrego ruchu. Skąd kilkadziesiąt miliardów? Znajdą się w budżecie, za to nie będzie pieniędzy na edukację, która leży, żałosne są pensje nauczycieli i selekcja negatywna w tym zawodzie, tak ważnym. A służba zdrowia, a nauka? Damy wam pieniądze i jakoś to będzie. Mickiewicz pisał w „Panu Tadeuszu": „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie, Ja z synowcem na czele i? – jakoś to będzie!". Bardzo to polskie. Jaroslav Hašek żartował: „Tylko idioci mogą wierzyć władzy, która wszystkich uważa za idiotów". Bardzo bym nie chciał, by się okazało, że prezes miał rację i że większość moich rodaków to idioci.

•

Obalono pomnik ks. Jankowskiego (już wrócił na swoje miejsce, pewnie nie na długo). Nigdy nie byłem za obalaniem pomników. Nawet zbrodniarzy. Powinno się je delikatnie zdejmować i przenosić do skansenu, to byłby taki park, muzeum osobliwości. Nie wykluczam, że niektóre wracałyby na cokoły, bo historia kołem się toczy. Wracając do ks. Jankowskiego, zawsze uważałem go za wyjątkowego buca. A tu okazało się, że nie dosyć, że był pedofilem, to był jeszcze agentem. Źle świadczy o Wałęsie, że się nim „otaczał" i nie wyczuł pisma nosem.

Jak to dobrze, że papież Franciszek walczy z pedofilią w Kościele. Powszechność nadużyć seksualnych, których dopuszczają się księża, przywołuje pytanie o celibat. Uważałem, że to błąd w doktrynie katolickiej. Tłumienie tej sfery musi prowadzić do wynaturzeń. Wielki sukces filmu „Kler" mówi, że Polska jest już gotowa na laicyzację. Radio Maryja, PiS i nasi biskupi też wytrwale na to pracują. Nie zgadzam się z głosami, że Polska bez religii popadnie w zupełną niemoralność. Tak myśli Kaczyński, tak myśli nasza prawica. Przy całej idealizacji narodu prawica nie wierzy w Polaka – jest głupi, zdemoralizowany, bez religii zupełnie podupadnie. W tym duchu mówił Piłsudski: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy". Sami Polacy w gruncie rzeczy myślą podobnie. Mają fatalną o sobie opinię jako o ludziach, idealizując zarazem siebie jako naród.

•

Obserwuję, jak wiele osób z powodu nienawiści do PiS popada w półobłęd. Niepokój, by mnie to nie dotknęło. Po tenisie z Ł., wybitnym malarzem, jak zawsze gadamy o polityce. Gramy od 1983 r. I nagle odkrywamy, że mamy teraz takie same emocje i słowa wobec władzy jak po stanie wojennym.

•

Grzegorz Schetyna przez te trzy lata pozbierał Platformę, która była w rozsypce. I sprawdził się przy tworzeniu Koalicji Europejskiej, więc sporo zasług. Ale ma poważną słabość. Nie skupia na sobie uwagi, gdy mówi. A polityk to przede wszystkim gadanie, uwodzenie głosem. To się też nazywa charyzmą. I ten lęk przed Tuskiem, który kiedyś go marginalizował, wiedząc o jego słabościach. Teraz, kiedy Tusk ma wrócić do polskiej polityki, staje się to problemem. Rozumiem, że politycy muszą mieć wielkie ambicje, ale sytuacja jest szczególna – w takiej sytuacji należy podkulić ogon ambicji. Ważą się losy Polski.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b97cc2f0f7

TRĄD W WARSZAWIE

Handel kobietami z Polski w XIX i XX w.

Tylko w 1928 r. w 25 specjalnie powołanych misjach i schroniskach dworcowych udzielono pomocy ponad 100 tys. kobiet, które uciekły od sutenerów.

Jarosław Górski

19 listopada 1937 r. rano tłumek reporterów otoczył warszawski żydowski szpital na Czystem. Od kilku dni było wiadomo, że specjalnie przystosowanym samochodem Zakładu Higieny Zarządu Miejskiego zostanie wtedy wywieziona do leprozorium niedaleko Tartu w Estonii 56-letnia Fajga Cwibusowa (Szwibusowa), jedyna w międzywojennej Polsce osoba, u której zdiagnozowano trąd.

Z POLSKI DO ARGENTYNY I Z POWROTEM

Siedem lat wcześniej Cwibusowa z mężem przyjechała do Warszawy z Buenos Aires. Zatrudniła się jako pomoc domowa i, jak to często bywało w tym zawodzie, w ciągu trzech lat kilkakrotnie zmieniła miejsce pracy. Ostatnia pracodawczyni zauważyła na rękach gosposi mocną, niegojącą się wysypkę. Ponieważ Cwibusowa zajmowała się także gotowaniem dla całej rodziny, została wysłana do lekarza. Kilku specjalistów nie rozpoznało choroby, ale w końcu odesłali kobietę do takiego, który nie miał wątpliwości. Cwibusowa została natychmiast pozbawiona wolności i zamknięta w specjalnie przystosowanej izolatce szpitalnej. Mający do niej dostęp personel lekarski i pielęgniarski poddano bezwzględnemu reżimowi: wszyscy musieli nosić fartuchy, maski na twarz i gumowe rękawiczki palone natychmiast po wyjściu od chorej, a także dezynfekować całe ciało specjalnym płynem. Wszyscy członkowie rodzin, którym posługiwała Cwibusowa, zostali poddani przymusowej kwarantannie. Władze sanitarne, aby nie dopuścić do wybuchu paniki, na czas kwarantanny utrzymywały sprawę w ścisłej tajemnicy, a tych, którzy o niej wiedzieli, zobowiązały do milczenia. Na szczęście po kilku miesiącach obserwacji i badań okazało się, że Cwibusowa nikogo nie zaraziła.

Wkrótce o warszawskiej trędowatej dowiedzieli się dziennikarze. Z gazet można było wyczytać, że Cwibusowa zaraziła się trądem przed wielu laty, pracując jako prostytutka w domu publicznym w Buenos Aires. Co prawda, w Argentynie nie było epidemii tej choroby, ale do jej stolicy przypływali marynarze z całego świata, także z siedlisk trądu: Indii, Indochin. A skąd Cwibusowa wzięła się w Argentynie? Jako 17-letnia dziewczyna z ubogiej żydowskiej rodziny u schyłku XIX w. została w Warszawie uwiedziona przez udającego wielką miłość alfonsa, który obiecał jej małżeństwo, wywiózł za ocean i sprzedał do lupanaru w Rio de Janeiro w Brazylii. Pracowała tam kilka lat, po czym została odsprzedana właścicielom podobnego przybytku w stolicy Argentyny.

POPYT I PODAŻ

Proceder wywożenia z ziem polskich młodych dziewcząt i sprzedawania ich do domów publicznych całego świata, mimo działań podejmowanych przez społeczników i policję, trwał w latach 20. w najlepsze. Rozpoczął się w latach 60. XIX w., kiedy wielkie porty oceaniczne zostały połączone liniami kursujących regularnie parowców. Obie Ameryki ściągały wtedy z Europy miliony poszukujących pracy imigrantów, wśród których przeważali samotni mężczyźni. W miastach Argentyny, Brazylii, Chile, Stanów Zjednoczonych czy Kanady powstawały niezliczone burdele wszelkich kategorii: od pośpiesznie skleconych bud i namiotów, w których niewykwalifikowani robotnicy płacili za kwadrans z dziewczyną, po wykończone marmurami, kryształami i czerwonym pluszem pałace rozpusty. Brytyjscy dżentelmeni wysyłani do miast kolonii imperium: Kalkuty, Bombaju, Johannesburga, a także do europejskich faktorii handlowych w krajach Dalekiego Wschodu: Szanghaju, Pekinu, Jokohamy, domagali się od przedsiębiorców oferujących usługi seksualne, aby w ofercie mieli przede wszystkim białe dziewczęta.

Otworzył się gigantyczny globalny rynek usług seksualnych, z ogromnym zapotrzebowaniem na pracujące niewolniczo lub półniewolniczo młode kobiety. Początkowo były zwożone przez alfonsów z całej Europy: z Anglii, Francji, Niemiec, Belgii i Holandii. Jednak w tych krajach protestancka i katolicka opinia publiczna bardzo szybko zaczęła się domagać od władz państwowych zdecydowanych działań, by ukrócić zamorski „handel

eprasa.pl b97cc2f0f7

dziewczęcym mięsem", jak ów proceder wtedy nazywano. Powstały liczne państwowe, wyznaniowe i społeczne organizacje, zazwyczaj sprawnie funkcjonujące, podpisywano międzynarodowe konwencje.

Jednak Rosja nie uczestniczyła w międzynarodowych działaniach zmierzających do ograniczenia zjawiska, Austro-Węgry zaś nie wykazywały specjalnego zaangażowania. Dlaczego? W Rosji porywaniem i wywozem dziewcząt zajęły się żydowskie szajki działające przede wszystkim na ziemiach polskich, gdzie władze rosyjskie ustaliły strefy osiedlenia dla Żydów przepędzanych z innych rejonów imperium. Urzędnicy i policjanci, zgodnie z oficjalną doktryną rosyjskiego państwowego antysemityzmu, nie widzieli powodu, żeby powstrzymywać gangi wywożące w siną dal, najczęściej już na zawsze, żydowskie dziewczęta. Austriacy również chętnie pozbywali się Żydów, niezależnie od płci i wieku. Wkrótce zresztą do żydowskich stręczycieli dołączyli polscy koledzy, pozyskujący dla zamorskich lupanarów katolickie dziewczęta (w Ameryce Południowej, Azji i Afryce najwięcej płacono za blondynki o jasnej skórze), lecz dla władz rosyjskich i austriackich wciąż nie było to powodem do podejmowania działań zapobiegawczych.

METODY PAŃ I PANÓW Z VARSOVII

W Polsce po odzyskaniu niepodległości powstało wiele chrześcijańskich i żydowskich organizacji mających na celu ratowanie dziewcząt przed porwaniami, ale zatrzymać rozpędzoną machinę nie było łatwo. Jeszcze w latach 70. XIX w. najwięksi argentyńscy stręczyciele, po krótkich i gwałtownych walkach o dominację w tym interesie, zawarli porozumienie i powołali do życia „integrujące środowisko" jawne Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Varsovia, które za zyski z handlu żywym towarem utrzymywało w Buenos Aires wspaniałą siedzibę, synagogę i żydowski cmentarz, przychodnie lekarskie oraz kilka instytucji charytatywnych. Tajne działania Varsovii polegały na korumpowaniu policji i władz w Polsce i krajach, przez które przewożono ofiary do portów, opłacaniu mieszkań i hoteli, w których je przetrzymywano, oraz pomocy prawnej i finansowej na całym świecie członkom organizacji, którzy popadli w kłopoty z prawem.

Alfonsi poszukiwali łupu wśród biednych dziewcząt przyjeżdżających w poszukiwaniu pracy do Warszawy i innych polskich miast ze wsi i żydowskich sztetli. Mieli wiele metod pozyskiwania przyszłych prostytutek. Na przykład modnie ubrani, umiejący zagadać, uwodzili dziewczyny, obiecywali im małżeństwo, które zawrą w Argentynie, niejeden u szemranych rabinów brał z ofiarą ślub i zabierał ją ze sobą za ocean jako legalną żonę. Byli tacy, którzy wybierali dziewczęta z najpobożniejszych rodzin. Uwodzili je, a czasem po prostu gwałcili, a potem szantażowali, że o wszystkim opowiedzą w ich miasteczkach. Ofiary czuły się tak zbrukane, że zgadzały się już na wszystko. Ale często ojcowie dziewczyn wiedzieli o wszystkim i dostawali od alfonsów solidne (jak na nędzę panującą w sztetlach) odszkodowanie za hańbę córki. Niektórzy stręczyciele przedstawiali się jako przedsiębiorcy poszukujący niań i gospoś dla bogatych żydowskich rodzin w Ameryce. Jeszcze inni występowali jako impresariowie poszukujący pięknych kobiet chcących zrobić karierę w rewii. Po I wojnie światowej, kiedy w odrodzonej Polsce publiczność waliła do kin drzwiami i oknami, pojawili się agenci z Hollywood rozglądający się za kandydatkami na gwiazdy filmowe. Interes kręcił się tak dobrze, że nie brakowało i takich alfonsów jak Aron Wiernik, który – o czym na podstawie akt policyjnych pisała w 1930 r. żydowska polskojęzyczna gazeta „Nasz Przegląd" z Warszawy – „sprowadził w zeszłym roku z Polski swą siostrę i odstąpił ją przyjacielowi do eksploatacji". O wielu podobnych sprawach donosiły polskie i żydowskie gazety, których jednak potencjalne ofiary nie czytywały.

Najwięksi argentyńscy stręczyciele powołali do życia jawną organizację Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Varsovia.

Oczywiście nie wszystkie wyjeżdżające do domów publicznych Buenos Aires, Kalkuty czy Johannesburga dziewczyny były podstępnie uwodzone lub liczyły na pracę gosposi. Część z góry wiedziała, czym będzie się zajmować za oceanem. Ale wolały pracę w burdelu niż nędzę rodzinnego domu bądź niedającą żadnej nadziei na odmianę losu harówkę dla rodzimych chlebodawców. Tak jak powieściowa 19-letnia Basia, z którą bohater „Szumowin" Isaaca Bashevisa Singera (przekład Łukasz Nicpan), Maks Barabander, prowadzi taką rozmowę:

„– Jeśli pojedziesz ze mną do Argentyny, nie będziesz tam rabinową, z góry cię uprzedzam.

– Tak, wiem.

– I mimo to chcesz jechać?

– Dłużej nie wytrzymam. Lata lecą i człowiek się starzeje. Bez posagu dziewczyna nie dostanie męża. Ta stara [pracodawczyni – przyp. J.G.] toczy mnie jak czerw i człowiek nie ma się do czego budzić. Wciąż tylko zmywanie garów, rozpalanie ognia, obieranie kartofli. Świątek-piątek haruję jak koń. Przyjdzie szabas i gapię się na kubeł ze śmieciami.

– Wolisz wylądować w piekle, niż prowadzić takie życie?

– Do piekła droga daleka…

– W książkach piszą, że piekła nie ma.

– O? To by było fajnie…".

Jednak nawet te, które wiedziały, że jadą do dalekich krajów nie po to, żeby być rabinowymi, z reguły nie miały pojęcia, co je tam czeka. Niektóre myślały, że zarobią tam sobie na posag, po kilku latach wrócą do kraju i będzie je stać na wyjście za mąż, urodzenie dzieci, prowadzenie życia żony i matki. W środowiskach ortodoksyjnych Żydów i chasydów częsty był zwyczaj, że młody mąż przez pierwsze lata nie pracował, lecz zajmował się czytaniem Tory i Talmudu, a rodzina była wtedy utrzymywana przez teściów lub żyła z posagu żony. Nie miały pojęcia, że przez wiele lat będą przyjmować po 30-50 klientów dziennie i zarabiać wyłącznie na odpracowanie biletu własnego i biletu alfonsa bądź stręczycielki towarzyszących im w podróży, a do tego kwoty, jaka została za nie zapłacona i jaką wydano na ich burdelowy strój, wyżywienie, marne utrzymanie. Plus oczywiście bardzo solidne odsetki od tych sum. Kiedy dług udawało się spłacić, były już zniszczonymi kobietami, za usługi których płacili grosze tylko najubożsi

eprasa.pl b97cc2f0f7

klienci, i zarobienie odpowiednika 200-300 dol. za bilet trzeciej klasy do domu było niemal niemożliwe. Większość zostawała w dalekich krajach na zawsze, na bardzo szybko zbliżającą się starość zatrudniały się jako robotnice na plantacjach lub pomoce domowe u gospodyń, przy których bardzo szybko zaczynały wspominać z sentymentem wyzyskiwaczki z Polski. Szczęściary wychodziły za mąż za dawnych klientów albo stawały się nadzorczyniami młodych koleżanek, których strumień wciąż napływał z Polski.

Do zakładu w Estonii Fajga Cwibusowa odjeżdżała specjalnie oznakowanym autem z czarną chorągwią.

LOS POLACAS

Już na początku XX w. dziewczęta z Polski stanowiły przeważającą większość prostytutek w Ameryce Południowej, do tego stopnia, że w tamtejszych odmianach hiszpańskiego i portugalskiego na prostytutki zaczęto mówić *los polacas* (Polki). W Argentynie mówi się tak do dziś.

Jaka była skala zagranicznego „handlu żywym mięsem"? W 1930 r. w broszurze „Handel kobietami i dziećmi" Stefan Raczyński szacował, że co roku z Polski wywożono w celu zarabiania na ich nierządzie kilkanaście tysięcy kobiet. Było to już w czasach niepodległości, a więc przestrzegania przez Polskę międzynarodowych traktatów o zwalczaniu handlu kobietami. Można ostrożnie szacować, że z II RP wywieziono do zamorskich domów publicznych ponad 100 tys. kobiet. W całym okresie prosperity handlu żywym towarem, a więc od lat 60. XIX w. do końca lat 20. XX w., wywieziono z ziem polskich wiele setek tysięcy.

Co roku z Polski wywożono kilkanaście tysięcy kobiet, by zarabiać na ich nierządzie.

Oczywiście eksport zamorski niewolnic seksualnych był tylko częścią owej gałęzi gospodarki. Znacznie więcej kobiet było zmuszanych do prostytucji na rynku wewnętrznym. Ten sam Stefan Raczyński podaje, że tylko w 1928 r. w 25 specjalnie powołanych misjach i schroniskach dworcowych w całym kraju udzielono pomocy aż 101 789 kobietom, które uciekły od sutenerów albo zostały im odebrane przez policję, kolejarzy lub działaczy społecznych. Jednak prostytutka zmuszona do pracy w innym mieście w kraju miała jeszcze szansę ucieczki, powrotu do rodziny, środowiska. Polska Żydówka na innym kontynencie była zdana na łaskę sutenerów.

SZCZĘŚCIE I NIESZCZĘŚCIE

Fajdze Cwibus w nieszczęściu, które stało się jej udziałem, zaczęło sprzyjać wyjątkowe szczęście. Była piękną dziewczyną, która znalazła miejsce w drogich burdelach, gdzie zadowoleni klienci zostawiali porządne napiwki. Kiedy po 20 latach pracy spłaciła swój dług i odłożyła przyzwoitą sumkę, ani myślała jej wydawać na powrót do sztetla, w którym zresztą pewnie nikt na nią nie czekał. Skończyła się akurat I wojna światowa, kiedy to dowóz „żywego mięsa" do Argentyny ustał, a teraz dziewczęta napływały tu znów szerokim strumieniem. Fajga wysupłała oszczędności na zakup kilku z nich i otwarcie własnego burdelu. Interes od razu szedł świetnie, można było go stale powiększać, oferować bogatszym klientom ładniejsze dziewczyny za wyższą cenę. Właścicielka zawiązała spółkę ze sprowadzającym żywy towar alfonsem należącym, jak się zdaje, do Varsovii, Cwibusem, i wyszła za niego za mąż. Oboje prowadzili jeden z większych burdeli w stolicy Argentyny, z dyskretną palarnią opium i sprzedażą kokainy.

Ambitnej kobiecie ten interes nie wystarczał i wkrótce zaczęła kursować między Buenos Aires a Polską i europejskimi miastami portowymi, organizując hurtowe dostawy żydowskich i chrześcijańskich dziewcząt z Polski. Sama i przy pomocy swoich agentek rekrutowała alfonsów. Takich jak Maks Barabander (akcja powieści Singera rozgrywa się jednak przed I wojną światową), którego stręczycielka Rejcł namawia na uwodzenie dziewcząt i wywożenie ich do Buenos Aires, gdzie „jej siostra, señora Szajewski (na imię jej było Fejgełe czy Fanie), prowadziła salon, dokąd mężczyźni zachodzili, żeby się rozerwać. A dziewczęta, jak to dziewczęta, starzały się albo więdły, co jakiś czas któraś wychodziła za mąż. Bywało, że się rozpijały. Mężczyźni są jak dzieci, wciąż potrzebują zabawek, nowych lalek. (…) Pieniądze nie są problemem, a rynek jest ogromny. Ludzie wszędzie poszukują pięknych dziewcząt – w Argentynie, w Brazylii – gdzie tylko mężczyźni wyjeżdżają w podróże bez rodzin. Oczywiście, że z każdą przyzwoitą panienką trzeba inaczej rozmawiać. Z jednymi możesz kawa na ławę, a znów inne pragną być przygruchiwane. Musisz niemal udawać, żeś się w nich zadurzył. Prawdziwy mężczyzna wie, którą kobietę pocałować, a której dać klapsa. Kiedy taka sziksa znajdzie się w obcym kraju, bez paszportu, bez grosza przy duszy, ani me, ani be, zrobi wszystko, czego się od niej zażąda. Policję można przekupić. Główna rzecz to przerzucić taką przez granicę i zapakować na statek. Reszta to furda".

FOT. NAC

eprasa.pl b97cc2f0f7

Lecz szczęście Fajgi wkrótce się skończyło. Najpierw w kłopoty wpadło towarzystwo Varsovia. Odkąd powstała wolna Polska, jej dyplomaci dobijali się do władz argentyńskich o zrobienie z nim porządku. Mieli zresztą na względzie raczej sprawy prestiżowe niż troskę o los tysięcy kobiet. Słowo *polaca* na określenie prostytutki uwłaczało narodowi, który wybił się na niepodległość. Podobną hańbą była stolica państwa w nazwie sutenerskiego syndykatu. Dyplomaci dumnego kraju otrąbili zwycięstwo, gdy organizacja zmieniła nazwę na Cwi Migdal i działała dalej w najlepsze. Ale w 1929 r. pochodząca z Polski Rachela Liberman, oszukana i okradziona przez alfonsa, poszła na posterunek argentyńskiej policji i złożyła bardzo obszerne zeznania na temat działalności Cwi Migdal. A we wrześniu 1930 r. konserwatywny i antysemicki polityk José Félix Uriburu pod hasłem odnowy moralnej Argentyny przeprowadził zamach stanu i wykorzystał zeznania dzielnej Racheli do rozprawy z organizacją, całym burdelowym biznesem, a przy okazji wszystkimi Żydami w kraju. Aresztowano setki stręczycieli, a ich majątek skonfiskowano. Wszystkie jawnie działające burdele zostały zamknięte, a niejawne rozpracowywała policja. Fajga Cwibus, już wtedy zarażona trądem, który na razie rozwijał się bezobjawowo, oraz jej mąż uniknęli aresztowania, lecz stracili wszystko. Musieli uciekać z Argentyny i jako miejsce ucieczki wybrali Polskę. Kobieta, która jeszcze niedawno obracała setkami tysięcy dolarów i była panią życia i śmierci dziesiątek młodych kobiet, teraz musiała się zatrudnić jako służąca u warszawskich mieszczan. A wkrótce dowiedziała się o strasznej chorobie. Została zamknięta w izolatce szpitala na Czystem, gdzie straciła wzrok i czucie w kończynach.

W Ameryce Południowej, Azji i Afryce najwięcej płacono za blondynki o jasnej skórze.

Do zakładu w Estonii odjeżdżała specjalnie oznakowanym autem z czarną chorągwią, zwolnionym z kontroli policyjnych i rewizji na granicach. Dwaj kierowcy, którzy mogli się zatrzymywać wyłącznie po to, by zmienić się przy kierownicy, siedzieli w szoferce oddzieleni od chorej hartowanymi szybami. Z Fajgą, ubrany w szczelny strój ochronny, jechał ofiarny pielęgniarz Franciszek Brodowski. Lekarze i pielęgniarki żegnający niebezpieczną pacjentkę, przygotowali jej na drogę kosz smakołyków, a na koniec rzucili jeszcze na posłanie garść cukierków. Reporterzy rozmawiający z lekarzami zanotowali, że chora bardzo chciała żyć i wciąż wierzyła, że w Estonii zostanie wyleczona. Jednak po kilku miesiącach nadeszła stamtąd przedrukowana przez gazety wiadomość, że Cwibusowa choruje na nieuleczalną odmianę trądu i już nigdy nie opuści leprozorium.

Jarosław Górski jest pisarzem, dziennikarzem, nauczycielem i popularyzatorem wiedzy

eprasa.pl b97cc2f0f7

POZNAŃ DLA BEZDOMNYCH

Na Osiedlu Opieki Społecznej w latach międzywojennych zamieszkało 1500 osób

Zachowany w oryginalnej formie dom przy ul. Burgundzkiej na osiedlu Naramowice w Poznaniu.

Józef Puchalski

Polska lat 20. i 30. XX w. nie była – mimo olbrzymich problemów ogólnopaństwowych – bezradna i bierna wobec problemów najbiedniejszych warstw społeczeństwa. Przykładem może być Poznań.

Ewenementem na skalę kraju był pomysł Osiedla Opieki Społecznej dla ludzi bezdomnych i bezrobotnych. Jego inicjatorem był wybitny architekt i wielki Polak – Władysław Czarnecki. Zarządca majątku w Naramowicach chętnie pozbył się ziemi VI klasy, na której z trudem mógł uprawiać owies. Szczegółowy plan opracował architekt stażysta, późniejszy marszałek Polski, Marian Spychalski. Osiedle podzielił na 170 działek po 800 m kw. Pośrodku przewidziano boisko i miejsce pod budowę świetlicy, przedszkola i szkoły powszechnej. Zaprojektował typowe domki o powierzchni 32 m kw. oraz budynki gospodarcze po 8 m kw. Na każde 10 działek przypadała studnia z ręczną pompą. Koszt zabudowy jednej działki z budynkami, ogrodzeniem i umocnieniem dróg wyniósł ok. 2 tys. zł. Źródłem finansowania były fundusze wydziału opieki społecznej poznańskiego magistratu, pożyczki Towarzystwa Osiedli Robotniczych i Fundusz Pracy. Przy pracach pomagali przyszli osadnicy. Skalkulowano, że przy czynszu 12 zł miesięcznie (w 1935 r. 1 kg chleba żytniego kosztował 0,29 zł, a 1 kg wieprzowiny 1,22 zł) osadnicy po 20 latach spłacą gminie wyłożony kapitał oprocentowany na 3% i wtedy staną się właścicielami gruntu wraz z zabudowaniami. Kwotę 12 zł mogli odpracować przy robotach miejskich, co sprawiało, że byli całkowicie wypłacalni.

Po dwóch miesiącach domki były już zamieszkane. Dyrektor Ogrodów Miejskich Władysław Marciniec przydzielił instruktora do fachowego zagospodarowania ogródków. Związek Ogródków Działkowych dostarczył bezpłatnie po dwa drzewka i cztery krzewy owocowe, nasiona warzyw i kwiatów. Zainicjowano hodowlę królików oraz chałupniczy wyrób zabawek.

Osiedlu narzucono status kolonii ogródków działkowych. Mieszkańcy wybierali zarząd. Przewodniczącym został dawny sierżant WP. Były kłopoty z jego zatwierdzeniem, gdyż miał wyrok skazujący (karę więzienia odbywał na raty). W zarządzie nie znalazł się zresztą nikt z czystą kartoteką, także większość mieszkańców miała mniejsze lub większe zatargi z prawem. Za wstawiennictwem i poręczeniem Władysława Czarneckiego starosta grodzki zatwierdził sierżanta. Oprócz niego główną osobą organizującą życie osiedla był kierownik szkoły Czesław Hawliczek. Dostał on nowy budynek szkolny z mieszkaniem służbowym. Rozumiejąc potrzeby młodzieży, zorganizował przy szkole 6. Drużynę Harcerską. Starał się podnieść poziom kulturalny osadników. Największych analfabetów uczył czytać i pisać, a przynajmniej podpisywać się. Miał ogromny autorytet wśród uczniów i mieszkańców. Ludzie przestali być marginesem. Byli dumni ze swojego osiedla.

Liczba mieszkańców po kilku latach osiągnęła 1500 osób. Na wzór osiedla w Naramowicach utworzono podobne w Szamotułach, Tczewie, Wąbrzeźnie, Ostrowie, a nawet w dalekiej Lidzie, gdzie działki miały nawet 2,5 tys. m kw., a dla ogrodników 2 ha.

Sądzę, że pomysły elit międzywojennego Poznania mogłyby być również obecnie bodźcem do rozwiązania problemu bezdomności.

Na podstawie książki Władysława Czarneckiego *To był też mój Poznań*, Wydawnictwo Poznańskie 1987.

Sprostowanie

Nieprawdziwa jest informacja podana w artykule pt. „Faktura za Solidarność" (Przegląd 11.02.2019), jakoby Ministerstwo „kilka tygodni po tragicznej śmierci Adamowicza (...) „obcięło zadeklarowaną dotację na funkcjonowanie ECS z 7 do 4 mln zł" oraz „zaproponowało rozwiązanie problemu (...) przez dokooptowanie do zarządzających ECS Kacpra Płażyńskiego". ECS otrzymało pismo o wysokości kwoty dotacji podmiotowej 25 października 2018 r. Pan Kacper Płażyński został wskazany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego do Rady ECS niezależnie od dyskusji nt. wysokości dotacji.

Anna Pawłowska-Pojawa
Dyrektor Centrum Informacyjnego MKiDN

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl b97cc2f0f7

Słowo o wyprawce Igora

Edward Mikołajczyk

W środę, 20 lutego, pewna lekarka w Belgradzie urodziła syna Igora. Matka nosi królewskie imię Milica, ale nie z tego powodu zajmuję tutaj uwagę polskiego czytelnika narodzinami nowego obywatela Serbii. Co prawda, doniosły o tym wydarzeniu wszystkie miejscowe gazety, ale to także niczego jeszcze nie tłumaczy, chociaż daje do myślenia. Dziwi tylko, że żadnemu reporterowi nie udało się dowiedzieć, ile chłopak ważył i ile mierzył, żeby choć trochę mu powróżyć, czy będzie równie sławny jak jego wielcy rodacy, np. Novak Djoković (tenisista) czy Nikola Tesla (geniusz radiotechniki).

Okoliczność, która przesądziła o żywym zainteresowaniu mediów narodzinami Igora, ma naturę rządowo-genderową. Otóż szczęśliwa matka Milica Djurdjić jest od dziewięciu lat partnerką życiową pani premier Serbii Any Brnabić.

Serbowie lubią być mistrzami świata albo przynajmniej Bałkanów we wszystkim, czym się zajmują, więc ogłoszono, że to pierwsze takie wydarzenie w historii, że urzędująca pani premier ma syna, pozostając w związku jednopłciowym. W oficjalnym komunikacie napisano jeszcze, że zapłodnienie u partnerki odbyło się drogą pozaustrojową, po polsku – in vitro.

To pierwsze takie wydarzenie w historii, że urzędująca pani premier ma syna, pozostając w związku jednopłciowym.

Reszta powinna być milczeniem, ale nie jest, bo na Bałkanach, podobnie jak w całej Słowiańszczyźnie, zawsze górą muszą być samce. Jako pierwszy odezwał się na Twitterze Sergej Trifunović, aktor. W Polsce chyba tylko raz mignął widzom w filmie „Montevideo, smak zwycięstwa". W Serbii też bardziej jest znany z innych ról – zwyzywał parę dziennikarek telewizyjnych od k… i chyba lubi ćpać, bo ktoś pytał w internecie, czy wiadomo, jak długo organizm absorbuje kokainę i jak to się ma do poczytalności w różnych fazach przyjmowania.

Bardzo niedawno aktor został prezesem PSG, nie, nie paryskiego klubu, tylko Pokreta Slobodnih Gradjana, ruchu organizującego w miastach Serbii tzw. spacery, sobotnie marsze opozycji, w których notabene od dwóch tygodni noszona jest szubienica. Piszę tak dużo o autorze pierwszego wpisu, żeby wywindować jego tweet na światowy poziom. Skromny aktor i jeszcze niedoceniany polityk z Mostaru w pełni na to zasłużył.

Na wieść, że Milica Djurdjić, partnerka pani premier Serbii, urodziła syna, obywatel tego kraju Sergej Trifunović zareagował tak: „Dzieci w Afryce głodują, a dziecko Any Brnabić opycha się pokarmem z czterech cycków".

Dostało się nowo narodzonemu, ale zaraz potem wybuchła wojna i nasz macho z PSG oberwał od internautów. Ktoś napisał, że Trifunović to szalabajzer, którego już nikt nie traktuje poważnie. Przyznam, że nie wiem, co znaczy słowo szalabajzer, ale brzmi obiecująco w towarzystwie takich komplementów jak obrzydliwiec czy nędzny tchórz. Pominę już uwagę, jaką potraktowała autora pewna znana pisarka. Bluzg, choć bezlitośnie wytworny, nie miałby szans na przekroczenie progu sekretariatu naszej redakcji.

Nowa wojna, która zaczęła się w Serbii, po raz pierwszy w tym kraju będzie bezkrwawa, za to okaże się najbardziej zbawienna. Najpierw zmiecie Trifunovicia, a zaraz potem uformuje ozdrowieńczy front walki z homofobią, bo ujawni genderową naturę większości konfliktów na ziemi Serbów. Ktoś powinien już zacząć pisać współczesną serbską epopeję „Słowo o wyprawce Igora" na wzór słynnego dzieła literatury staroruskiej o wyprawie Igora. Bo będzie potrzebne literackie świadectwo odrodzenia narodu, wreszcie otwierające przed nim pokojową, europejską perspektywę i zamykające ostatecznie wiekami roznamiętnianą traumę po klęsce na Kosowym Polu w 1389 r.

Dzisiejszy stan prawny jest taki: Igor nie ma więzów rodzinnych z Aną, przepraszam, panią premier, jeżeli komórka jajowa pochodziła od Milicy. Gdyby to była komórka Any, należałoby potraktować Milicę jako surogatkę, a na to serbskie prawo nie pozwala. Pani premier nie może być drugą matką. Nie będzie jej nazwiska w akcie urodzenia, dlatego nie zapisze Igora do przedszkola, nawet kiedy przestanie być szefową rządu, nie wyjedzie z nim za granicę ani nie odwiedzi w szpitalu jako członek rodziny.

Wszyściutko jak w Polsce! Ale Serbowie są w lepszej sytuacji, bo mają Anę Brnabić, która da radę.

W Polsce trzeba będzie zaczekać na premiera Roberta Biedronia.

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl b97cc2f0f7

ROZWOJU TRZYMAM SIĘ PAZURAMI

Można zapytać, dlaczego moich bohaterów nie stać na silny zryw, bunt. Ale przepraszam, czy kogokolwiek z nas stać?

Rozmawia Mateusz Demski

JAGODA SZELC

– absolwentka Wydziału Grafiki ASP we Wrocławiu i Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej łódzkiej Filmówki. Jej pełnometrażowy film „Wieża. Jasny dzień" został uhonorowany nagrodami za najlepszy debiut i najlepszy scenariusz na festiwalu w Gdyni. Laureatka Paszportu „Polityki".

Gdy rozmawialiśmy po premierze filmu „Wieża. Jasny dzień", przyznałaś, że nie interesuje cię uszczęśliwianie widza, spełnianie jego oczekiwań. Oglądając „Monument", miałem wrażenie, że niewiele w tej kwestii się zmieniło.

– Myślę, że nie sposób zrobić filmu dla kogoś. W moim słowniku nie istnieje pojęcie widowni. Rozumiem, że wszystko próbujemy sprowadzić do statystyki, analiz, rozkładania punktów na osi, bo tak wygląda nasza rzeczywistość. Ale nie możemy przewidzieć, kim jest osoba, która siada przed ekranem. Nie wiem, czego ten człowiek potrzebuje, co weźmie z mojej historii. To, co powiem, jest ryzykowne, na pewno spotka się z krytyką, ale chyba nie mam potrzeby przekonywać ludzi do mojego kina czy moich opinii. Gdyby ktoś dawał mi pieniądze, żebym robiła filmy, ale zabraniał pokazywania ich publiczności, chyba poszłabym na to. Może wynika to z pozycji młodego twórcy. Nie uważam, żeby najważniejsza była konfrontacja z widzem czy odbiorem, raczej uchwycenie tego, kim naprawdę jestem. Stoję na stanowisku, by nie robić filmów, ale praktykować robienie filmów. Realizować je wtedy, gdy mam do tego ważny powód.

To podejście pozwoliło ci przeżyć klątwę drugiego filmu. Nie jest tajemnicą, że po sukcesie „Wieży" koledzy po fachu straszyli, że czyha na ciebie wiele niebezpieczeństw. Że skończy się okres próbny i będziesz musiała pokazać, co potrafisz.

– Na mnie zaciążyła tylko połowa tej klątwy. Lęk przed drugim filmem zatłukłam kijem, zabiłam. Nie kalkulowałam, nie podwyższałam poprzeczki, to nie są zawody sportowe, nie zaspokoiłam czyichś związanych z tym oczekiwań. Lubię mówić, że film „Monument" powstał w pewnym sensie rykoszetem, bo najważniejsze było wszystko obok „tego najważniejszego". Zrobiłam go na moich prawach, na moim tekście, bardzo szybko. Złośliwi powiedzą, że to żaden drugi film, tylko projekt na zlecenie, które dostałam od szkoły. Że to tylko dyplom aktorski. I mają rację. Ale po

eprasa.pl b97cc2f0f7

pierwsze, sama wybrałam to zlecenie. Po drugie, dostałam je od szczególnej osoby, od Mariusza Grzegorzka. Jak mogłam odrzucić propozycję, która dała mi wolną rękę artystyczną, a narzucała tylko dwa warunki: dotyczące niskiego budżetu i debiutującej obsady? Znam filmy, które mają wyższe budżety i dużo gorsze ramy. Szefa, który przepisuje scenariusz i włazi do montażowni. Nie uważam więc, żebym sprzedała się za zlecenie. „Monument" to był raczej dar. Czy jest szansa na zrobienie filmu autorskiego w Polsce? W tym momencie to prawie niemożliwe.

Skoro tak, to co dalej? Dorastaliście pod kloszem Filmówki, otrzymaliście komfort bycia niezależnymi artystami, szansę na zrobienie czegoś niekomercyjnego. „Monumentem" uśmierciłaś się jako studentka, która pod opiekę rektora Grzegorzka już nie wróci.

– W pewnym sensie ten film uśmiercił wszystkich na planie. Sama dokonałam tego na kilku poziomach. Raz, że odcięłam się od „Wieży". Po pierwszej miłości, jaką był ten film, myślałam, że już nigdy się nie zakocham, trudno było mi się żegnać z tamtymi ludźmi. Praca z kolejnym zespołem była jak klin. Co więcej, dwa tygodnie po premierze dostałam dyplom i, jak wspomniałeś, przestałam być studentką. Ten film jest więc opowieścią o śmierci – rozumianej jako otwarcie. Umieramy jako studenci, zamykamy pewien etap i zaczynamy rozumieć, że staliśmy się artystami. Szkoła była dla mnie jednym z najważniejszych miejsc w życiu, zbudowała tożsamość, ale wiedziałam, że jeśli nie odetnę tej pępowiny, bardzo trudno będzie mi wyjść z mentalności studenta. Tak po prostu trzeba, teraz muszę iść dalej. Nie zrobię na zawołanie szpagatu i „La Cucarachy" i nie skończę małym realizmem, ponieważ on mnie nie interesuje. Nie interesuje mnie opowiadanie historii. Interesuje mnie mechanizm oddziaływania na widza. To będzie nadal kino autorskie. Chcę, żeby to było też inne kino.

Porozmawiajmy o pracy z koleżankami i kolegami z wydziału aktorskiego. Wzięłaś pod swoje skrzydła cały rok. Znalazłaś miejsce dla każdego, w sumie dla 20 osób.

– W mojej moralnej postawie chodziło przede wszystkim o obsadzenie wszystkich aktorów i danie im równych szans. To było profesjonalne i uczciwe. Jeśli jesteś reżyserem, powinieneś umieć poprowadzić każdego aktora. I wycisnąć z niego wszystko, co najlepsze. Fundamentalna zasada reżyserii: jesteś w stanie poprowadzić ludzi, dokąd chcesz, jeśli masz odpowiednie narzędzia. Poza tym każdy człowiek ma inne doświadczenia, wywodzi się z innego środowiska, dlatego scenariusz „Monumentu" powstał w technice mieszanej. Ja pisałam swoje, rzucałam aktorom do wglądu, oni to rozszarpywali, dopisywali nowe, konfrontowali z moim. Mam ograniczone zaufanie do własnej kreatywności. Wiem, że inni są ode mnie mądrzejsi, dlaczego więc miałabym im nie ukraść talentu, co oznacza: pracować na korzyść filmu, który robię?

Lęk przed drugim filmem zatłukłam kijem.

Nie myślałaś: muszę wymagać od aktorów, żeby trzymali się tekstu? Nie bałaś się, że pracując w sposób bliski improwizacji, spotkasz się na planie z zachwianiem na linii reżyser-aktor?

– Reżyser – owszem – ma liderować, ale nie musi stać na szczycie. Wolę być w centrum, skąd ode mnie odchodzą kolejne flanki, a ostatnią jest produkcja, która zamyka kształt filmu. W takim układzie każdy jest tak samo ważny. W ważnych sytuacjach mam zwyczaj mówienia do moich ludzi jako szefowa pionu. Nie mówię wtedy: Asia, Basia, Kasia. Konkretna funkcja nadaje i podkreśla ich status, który jest niezwykle ważny. Nie mam potrzeby dyktowania im każdego posunięcia, każdy z nich musi podejmować autonomiczne decyzje. Nie jestem w stanie zrobić wszystkiego sama, dlatego nie udałoby się stworzyć nic wartościowego, gdyby nie zaangażowanie aktorów. To kwestia przygotowania zespołu do pracy nad filmem.

Pokazuję dokładnie to, co widzę wokół siebie. Że nie ma lewicy, że coraz trudniej walczyć o podmiotowość.

W ten sposób ustawiasz się z ekipą, ale mam wrażenie, że z widzami jest trochę podobnie. Często za Andrzejem Wajdą powtarzasz, że jak widz nie rozumie, to się obraża. Ty nie zamierzasz niczego mu objaśniać.

– Każdy ogląda inny film, a ja nie mam potrzeby przekonywać do swoich interpretacji. Mówiąc o „Monumencie", każdy tak naprawdę mówi o sobie. Dla jednych będzie to zapis ceremonii, drudzy powiedzą, że nakręciłam psychologiczny horror. Lepiej jest, kiedy w grę wchodzi wolna wola i opinie zaczynają być podzielone. W tym filmie nie ma fizycznie żadnego monumentu. Jest tylko postument, który jest ciekawą, wręcz niemożliwą figurą. No właśnie, życie jest tytułowym monumentem. Często myślimy o nim, że jest tak zajebiście ważne, a w gruncie rzeczy okazuje się, że niewiele po sobie pozostawia.

A ty nie masz poczucia, że jesteś kimś ważnym?

– Nigdy tak nie myślałam. Oczywiście teraz jest mi bardzo dobrze. Mogę robić kino autorskie, zaczynam przygotowania do pracy nad trzecim filmem. Będzie to „Delikatny balans terroru". Na podstawowym poziomie też nie narzekam. Żyję w bezpiecznym miejscu na Ziemi, gdzie mam stały dostęp do wody pitnej. Ale czy to sprawia, że mogę się czuć ważniejsza, lepsza od kogokolwiek? Dajmy na to od uchodźcy, który śpi na ulicy we Włoszech? Niby dlaczego moje życie jest takie, a jego musi być inne? Wydaje mi się, że jestem w takim samym stopniu ważna jak każdy człowiek, ale zarazem powinnam być traktowana jako jedna z wielu. Skoro tych ludzi i ich dzieci bez żadnego wyraźnego powodu traktuje się jak śmieci, co jest szokujące, to myślę, że wszyscy się tak traktujemy.

W pewnym sensie dałaś ujście temu zaniepokojeniu światem w „Wieży". Twój pierwszy film jest opowieścią o kontroli. Tak samo zaczyna się „Monument". Uczestnicy hotelarskich praktyk tresowani są do określonych zadań. Każdy chłopak to Piotrek, każda dziewczyna to Ania. Dla dobra systemu składana jest ofiara z ich podmiotowości.

– Cóż, uważam, że ani w tym, ani w żadnym innym kraju nie można

eprasa.pl b97cc2f0f7

Jan Szmyd
Moc i niemoc edukacji i wychowania w społeczeństwie rynkowym
Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 2019

Historię edukacji i wychowania należałoby traktować jako historię narastających trudności i problemów społecznych, pedagogicznych oraz mniej lub bardziej udanych prób ich rozwiązywania – uważa autor, filozof, historyk idei, teoretyk cywilizacji i pedagog. Twierdzi, że podstawowy problem pedagogiczny oraz związany z nim współczesny ferment myśli o edukacji i wychowaniu, owocujący coraz śmielszymi i radykalizującymi się koncepcjami pedagogicznymi, jest konsekwencją przyśpieszonego procesu zasadniczych zmian cywilizacyjnych, społecznych i kulturowych w świecie.

Lem – Remuszko (korespondencja 1988-93)
Oficyna „Rękodzieło", Warszawa 2019

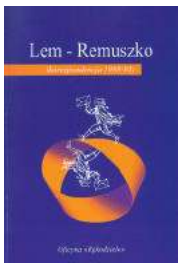

Prawie 30 listów Stanisława Lema do dziennikarza Stanisława Remuszki i tyleż listów dziennikarza do pisarza. Kiedy listy stają się coraz mniej używaną formą porozumiewania się ludzi, ten zbiorek jest tym bardziej interesującym świadectwem poglądów na aktualne sprawy, w dodatku przesiąkniętym przytykami, ironicznymi komentarzami i kąśliwymi uwagami. Oryginalne listy tu i ówdzie odbrązawiają pomnik, który Lem sam sobie za życia w głowach czytelników wystawił. Cennym uzupełnieniem są faksymilia listów pisarza.

Michał Jagiełło
Wołanie w górach
Iskry, Warszawa 2019

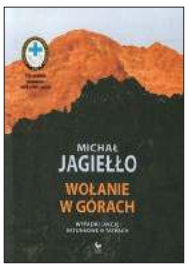

Dziewiąte wydanie książki – 40 lat od premiery, uzupełnione na podstawie notatek autora przez jego córkę. W ciągu czterech dekad zmarły 1 lutego 2016 r. prozaik, poeta, publicysta i taternik, który uczestniczył w ponad 250 akcjach ratunkowych, stale uzupełniał opowieść o wypadkach i ratowaniu ludzi w Tatrach. Dziś, w 100. rocznicę powołania TOPR, czytelnik otrzymuje ponad 900 stron wciągającej lektury.

być podmiotem. Mam poczucie, że kiedy pojawia się jakiś system, zawsze idzie za nim przemoc. Jedynym ratunkiem jest powrót do plemienności. Nie można być blisko z półtoramilionowym miastem. Oprócz potrzeb fizjologicznych każda kultura miała kiedyś potrzeby duchowe. „Monument" może pokazywać ślepą tendencję do podporządkowania się ramom systemowym. Można zadać sobie pytanie, dlaczego moich bohaterów nie stać na silny zryw, bunt. Ale przepraszam, czy kogokolwiek z nas stać? Nie uważam, żeby wyjście na ulice miało dziś jakiś wymierny efekt. A skoro nie ma, w moim filmie jest to samo. Pokazuję dokładnie to, co widzę wokół siebie. Że nie ma lewicy, że coraz trudniej o prawdziwy bunt czy walkę o podmiotowość. Uważam, że wszyscy jesteśmy Aniami i Piotrami.

Monument

Ty na brak podmiotowości w środowisku chyba nie możesz narzekać. Najlepszy debiut w Gdyni, Paszport „Polityki", pokazy na Berlinale, nagroda główna na krakowskiej Off Camerze, widoki na trzeci film. Nie czujesz, że kiedy twoje nazwisko stało się *hot*, sukces mógł uderzyć do głowy?

– Wprost przeciwnie. Poczułam, że to mnie przerasta. Bo poziom bezwładności i ciśnienia oddziałującego na ciebie jako twórcę, ludzie, których tracisz po drodze przez ich zazdrość, to wszystko jest potworne. Wracają do ciebie deficyty, a jeśli jesteś mało asertywny, okoliczności zeżrą cię na miejscu. Cieszę się tylko z jednego. Że ten cały szum zapewnia mi możliwość zrobienia trzeciego filmu. I tylko to mnie interesuje. Gdybym nagle uwierzyła, że jestem taką fajną reżyserką, uzależniłabym się od opinii innych ludzi na swój temat. A prędzej czy później zacznie się mówić, że Jagoda Szelc jest „be". I wtedy będę w d... Zacznę się bać, a strach jest podwaliną narcyzmu. Zaburzenia osobowości klastra B wynikają z tak silnego lęku, który w nas się umościł, że wytwarzamy w sobie elementy lękowej osobowości i patetycznie zaczyna nam się wydawać, że jesteśmy więksi i mamy kontrolę nad światem. Tym samym nie mam siebie ani za lepszą, ani za gorszą. Nie muszę ani się podobać, ani nie podobać. Nie muszę też być wcale reżyserką. Chcę tylko iść po własny rozwój, bo na tym polega kariera. Tego będę się trzymała pazurami.

Mówiłaś, że filmów nie będziesz robiła do końca życia, bo uważasz wykonywanie jednego zawodu za zboczenie. Serio czy to taka stylówka?

– Po tych dwóch filmach nadal nie czuję się filmowcem. Nic na to nie poradzę. I powtórzę: nie będę ich robić do końca życia, chociaż pewnie bym chciała. Przywołując to zdanie jak mantrę, ubezpieczam się na złe czasy. Bo kiedy przyjdzie kryzys i będę zmuszona zejść z planu, to równie dobrze mogę wykonywać inne zawody. I wierzę, że tam też przyjdzie rozwój osobisty. Wrócę do malarstwa, za którym tęsknię. Życie polega na tym, że jest ciągłą zmienną. To sztuka dochodzenia do tego, kim się jest, a nie stawania się kimś. Zresztą mogę też pracować w maglu.

Mateusz Demski

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA GAZETA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b97cc2f0f7

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

HOMO NEUROTICUS

Kiedy ktoś mówi: nie bój się, to wiadomo, że zaraz wyciągnie z kieszeni nóż sprężynowy albo wepchnie nas do piwnicy. „Nie bój się, czterdziestka to jest błaha rzecz, weźmiesz to lekko jak płotek – mówili mi przyjaciele. – Weźmiemy cię za rękę i razem przejdziemy NA DRUGĄ STRONĘ". Dodawali mi otuchy jak neurolog, który, przepisując przeciwlękowy pramolan, pocieszał: „Coś za coś, pani Agnieszko, coś za coś". Tylko gdzie to drugie coś???

W każdym razie cała moja ekipa od miesiąca była turbokochana i skupiona na mnie i dostawałam masy esemesów w stylu: „Jaką masz cerę, suchą czy mieszaną?", „Jaki masz gatunek włosów?". A nawet: „Rozmiar stopy???". Przy dziesiątym tego typu pytaniu wyraziłam zaniepokojenie. „Zbieramy wrażliwe informacje o tobie. Od jutra będziesz dostawać spersonalizowane reklamy na telefon!", mówili.

Taki PRZEGLĄD to nie ma czego się bać. Zaraz mu stuknie dwudziestka. Na urodziny dostanie powieść drogi i majtki Victoria's Secret. Ja dostałam głównie kremy i serum. Znak, że zaraz zaczną mnie dotyczyć SMUTNE reklamy o tym, że ktoś się posiusiał albo zjadł jeżynę (i nie może się pozbyć pestki spod protezy). Czy do mojego słownika wejdą nowe słowa, takie jak zębodół, geriavit, zanik lub przyrost? Nawiasem mówiąc, postuluję głęboką korektę tych reklam! Dlaczego smutna pani? Dlaczego muzyka funeralna? Dlaczego patrzenie w szybę? Zawsze myślę: nie dość, że się polała, to jeszcze ma mieć depresję? Wyobrażam sobie tę reklamę inaczej – wesoła siedemdziesiątka zaśmiewa się do łez, oglądając „Przyjaciół", a potem patrzy w kamerę i mówi: „Polałam się do łez i co z tego! Teraz wezmę produkt X i poleję się tylko wtedy, kiedy sama o tym zdecyduję!". A pod spodem jakaś fajna muzyczka.

Na 40. urodziny znalazłam też wśród prezentów książkę „Jak poradzić sobie z chaosem" oraz kopertę, a w niej dwie stówy. Dwóch stów w kopercie nie dostałam od wielu lat, może to już jakiś regres? „A ty w wieku 40 lat w ogóle masz jeszcze jakieś marzenia?", zapytał kumpel, kiedy dmuchałam na świeczkę. Ja na to: „*Fuck you*, marzenia nigdy nie były czymś, co mi wychodziło na dobre". Pamiętacie panią Bovary i to, dokąd ją doprowadziły MARZENIA? Na litość boską, pierwsze, czego się pozbędę po czterdziestce, to tego gówna. W zamian będzie pewnie legendarne „coś", jak chciał pan neurolog. Pewnie chodzi o nową zmarchę, typ poduchowy. Koleżanka mówi, że Chinki śpią na wznak i broń Boże do niczego się nie przytulają, dlatego są takie piękne.

Trzeba szukać innych wzorców, zmieniać temat! Jakoś inaczej kombinować. Na mejle „Jak tam po drugiej stronie?", odpowiadać: „Tu nic nie ma! To ta sama strona, nie gorsza i nie lepsza!". Magię liczb zostawmy statystykom, tymczasem zainteresujmy się książką „Jak poradzić sobie z chaosem". Stawiałabym, że to od matki, ale wiem, że kupiła ekstraserum. Któraś z reżyserek, z którymi pracuję? Przesłanie by pasowało. Ale od nich dostałam PLASTIKOWE OCZY W SIANKU. Podchodzę do wszystkich i zaglądam im podejrzliwie w oczy. Prezent uważam za bierno-agresywny, ale mam zamiar przeczytać. Liczę na poukrywane między stronami pieniądze.

> Marzenia nigdy nie były czymś, co mi wychodziło na dobre.

Kiedyś w liceum w jednej pięknej koleżance podkochiwał się klasowy cichopek. Ten cichopek był naprawdę bardzo skromny, co mu nie przeszkadzało wyciągać szóstki z połowy przedmiotów. Pewnego dnia dał klasowej piękności książkę historyczną. A w niej mnóstwo setek, których razem było ze dwa tysiące. Koleżanka zwróciła pieniądze i spytała, czemu je tam ukrył, a on na to: chciałem ci coś dać. I tyle. Składam więc tu, w tysięcznym numerze tygodnika PRZEGLĄD, postulat: „Człowieku! Jeśli nie wiesz, co mi dać, DAJ MI DWA TYSIĄCE. Mogą być ukryte w książce historycznej albo w jakiejś innej, najlepiej bardzo pięknej". I wiem, że to mi zrobi lepiej niż krem. Zmarszczki wygładzą się, włosy nabiorą blasku, a myśl będzie lotna i odleci daleko stąd, tam, gdzie nas nikt nie znajdzie.

www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b97cc2f0f7

KURTYNA W GÓRĘ

NADZIEJA TRWA

Imię bohaterki komedii Wasilija Sigariewa „Wykrywacz kłamstw" jest znaczące – Nadieżdę można przecież tłumaczyć jako nadzieję. Tak czy owak, na pierwszy rzut oka porywcza i wciąż niezadowolona żona (a powody ku temu ma), którą gra przekonująco Anna Gornostaj, nadziei nie traci. Nie po to zaprasza do domu hipnotyzera (to właśnie tytułowy „wykrywacz kłamstw"), aby potwierdził jej obawy, że mąż ją zdradza i okłamuje, ale przeciwnie – żeby rozwiał jej podejrzenia. Nadieżda chce wierzyć w przyszłość, choć przyszłość, a tym bardziej teraźniejszość, nie rysuje się w jasnych barwach. Mąż chla, zachowuje się dość obcesowo, pieniędzy brakuje, a życie ucieka. Nadieżda jednak ufa, że wizyta hipnotyzera odmieni jej życie.

Tymczasem Borisa, faceta o ograniczonych zainteresowaniach, kończących się na zabezpieczeniu czegoś płynnego do spożycia i gazetki na otarcie łez, nie bardzo już życie pociąga. Choć, jak się okaże, trawi go tęsknota za przeszłością dumną – nie tyle swoją, ile ZSRR, który potęgą był i basta. Wytwarza więc własną legendę żołnierza specnazu, choć jest raczej łamagą i ofiarą losu, nawet niezbyt chętnym do skoków w bok.

Zwabiony do mieszkania wiecznie zwaśnionych małżonków hipnotyzer czuje się w potrzasku – Kacper Kuszewski subtelnie portretuje człowieka strachliwego i łasego na zarobek. Ale Kuszewski jest jeszcze kimś w tym spektaklu – narratorem, który chce bohaterom nieba przychylić i na koniec użyczy im swojej boskiej mocy. Odegra więc rolę trochę nieporadnego anioła stróża, a trochę posłańca demiurga, mogącego wszystko.

Teatr Capitol dał tę komedię na 35-lecie szefowej Anny Gornostaj, która zawsze dobrze się czuła w rosyjskim repertuarze. Wprawdzie Sigariew to nie Czechow ani Dostojewski, ale autor inteligentny, który posiadł umiejętność opowiadania zwykłych historii z poetycką mgiełką i komediowym wigorem. Aktorom zaś stworzył szansę na psychologiczne szkice postaci: marzycielskiego, jak się okaże, pijaczyny (Olaf Lubaszenko brawurowo demonstruje swoje możliwości komika), płochliwego hipnotyzera i zrzędliwej żony, wciąż w mężu zakochanej. Dwie godziny dobrej zabawy z łezką.

Tomasz Miłkowski

Wasilij Sigariew, „Wykrywacz kłamstw", tłumaczenie Agnieszka Lubomira Piotrowska, reżyseria Robert Talarczyk, Teatr Capitol, premiera 19 lutego 2019

NA POWAŻNIE

FLORIA STRZELA SOBIE W GŁOWĘ

Opera „Tosca" w nowej inscenizacji Barbary Wysockiej jest atrakcyjna muzycznie i wizualnie, choć niezbyt poprawna historycznie. Reżyserka przeniosła akcję z czasów napoleońskich do Włoch XX w. Przeciętnemu polskiemu widzowi mówi to niewiele, ale może się zachwycać melodyjną muzyką, świetnie

graną pod batutą Tadeusza Kozłowskiego i pięknie śpiewaną belcantowymi głosami. Mimo galimatiasu polityczno-historycznego śledzimy głównie dramat miłości śpiewaczki do malarza, rozgrywajacy się w rzymskiej świątyni, a później w siedzibie włoskiej policji, co jest ukazane z rozbrajającą dosłownością. A jeśli ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości, o co w danej scenie chodzi, to krótkie hasła rzucane na ogromne dekoracje, jak dymki w komiksie, stawiają kropkę nad i. Fakt, że Floria Tosca dokonuje samobójstwa w nietypowy dla kobiety sposób, można jakoś przeboleć.

Bronisław Tumiłowicz

Giacomo Puccini, „Tosca", dyrygent Tadeusz Kozłowski, reżyseria Barbara Wysocka, scenografia Barbara Hanicka, kostiumy Julia Kornacka, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 23 lutego 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

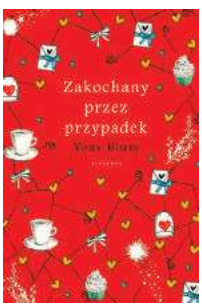

Yoav Blum

Zakochany przez przypadek

tłum. Sylwia Murawska
Albatros, Warszawa 2019

Przeznaczenie jako piętrowa instytucja, nieco zbiurokratyzowana, z solidną podbudową teoretyczną? Coś w rodzaju tajnej agencji z kolejnymi stopniami wtajemniczenia speców od różnych spraw: snów, wymyślonych przyjaciół, a przede wszystkim tworzenia przypadków i zbiegów okoliczności? Bo przypadki są precyzyjnie zaplanowane i splecione w misterną sieć – by coś wynaleźć, kogoś zeswatać, stworzyć idealny moment na miłość.

Debiutancka powieść Bluma szybko stała się bestsellerem, czemu trudno się dziwić. Jest zaskakująca, urocza jak komedie romantyczne z Meg Ryan, ma odrobinę kryminalnego dreszczyku. Ale w pewnym sensie jest przerażająca. Jeśli wyobrazić sobie tę gigantyczną układankę, której część stanowimy, wszystkie te możliwości, które uruchamia się lub niweczy tylko tym, że skręci się w lewo lub w prawo, można zamrzeć z rękami przyciśniętymi do boków. Chociaż pewnie i to zostało gdzieś wzięte w rachubę… A co z wolną wolą, skoro mimo wszystko będziemy popychani w określonym kierunku przez coraz bardziej sfrustrowanego naszym uporem kreatora przypadków? A jednak Yoav Blum zostawia nas błogo uśmiechniętych.

Aleksandra Pańko

eprasa.pl b97cc2f0f7

NA EKRANACH

Śliczny jak obrazek Lazzaro nie buntuje się przeciw ciemiężącemu go systemowi. Kiedy poborca goni do pracy w polu – pracuje. Kiedy zbuntowany markiz wymusza przypieczętowanie obietnicy krwią – kaleczy palec. Kiedy wchodzi do banku z prośbą o pieniądze dla upadłej arystokratki – spodziewa się je dostać, bo przecież mają ich tam dużo. Wierzy w deklarowane intencje, nie czyta ironii, niesie wszystkim pomoc i pocieszenie. Święty czy walnięty? Alice Rohrwacher przypomina, za co pokochaliśmy wystawne kino spod znaku Viscontiego i Pasoliniego. Walka klas w jej filmie jest równie spektakularna, a naiwny bohater perwersyjnie doświadczany przez zgniłe otoczenie. Na śmiech też jest miejsce, bo reżyserka punktuje naiwność i bierność z dystansem. Dzięki rozciągnięciu w czasie stawia znak równości między pańszczyzną a kapitalizmem, różna jest tylko twarz gnębiciela, niegdyś arystokraty, dziś banku. Komentarz polityczny nigdy nie bierze jednak góry nad filmowością – malarskie kadry, debiutującego na ekranie Adriana Tardiola i nagrodzony w Cannes scenariusz docenią i kinofile, i społecznicy.

Artur Zaborski

ZASŁUCHAJ SIĘ

Igor Cecocho, Piotr Rojek
BACH
DUX

W kościele św. Wawrzyńca w dolnośląskim Wołowie nagrano oryginalny zbiór utworów Jana Sebastiana Bacha. Specyfikę płyty oddaje okładka, na której wielką literę A tworzą organy, w które wpisana jest też trąbka. Słuchamy więc transkrypcji na organy i trąbkę w mistrzowskim wykonaniu. Obaj artyści są profesorami Akademii Muzycznej we Wrocławiu i sami dokonali opracowań różnych utworów organowych, klawesynowych, a nawet kantat, aby wyeksponować piękne brzmienie trąbki i spokrewnionego z nią flugelhornu. Każdy słuchacz bezbłędnie rozpozna różnicę między tymi instrumentami, bo trąbka ma jaśniejszy, bardziej świetlisty dźwięk. Tylko jeden utwór na płycie nie jest opracowaniem i nie występuje w nim trąbka. To słynna „Toccata i fuga d-moll", jedno z najbardziej rozpoznawalnych arcydzieł.

Bronisław Tumiłowicz

WYDARZENIE

JESUS CHRIST SUPERSTAR

Kultowa rock opera Tima Rice'a i Andrew Lloyda Webbera, którą w Rampie wyreżyserowali Jakub Wocial i Santiago Bello, jest od czterech lat hitem tego teatru. Niezwykłe wydarzenia z ostatniego tygodnia życia Jezusa opowiedziane są tu z perspektywy Judasza. Libretto Tima Rice'a stawia Jezusa i Judasza jako dwóch głównych bohaterów wydarzeń zapisanych na zawsze w historii ludzkości. w roli tytułowej widzowie zobaczą Jakuba Wociala uznanego za najlepszego wokalistę musicalowego 2018 r. Najważniejszą rolę kobiecą, Marii Magdaleny, obok znakomitej Natalii Piotrowskiej kreować będzie Agnieszka Przekupień – najlepsza wokalistka musicalowa 2018 r.

WARSZAWA, TEATR RAMPA, 8 MARCA-17 KWIETNIA

ZAJRZYJ TU

ALFONS KUŁAKOWSKI
Jestem z Warmii, Mazur

Wystawa najnowszych prac malarskich Alfonsa Kułakowskiego to zarazem wznowienie działalności Galerii Elektor w Mazowieckim Instytucie Kultury przy ul. Elektoralnej 12. Ten wyjątkowy, 90-letni artysta może się pochwalić nie tylko ogromnym dorobkiem, ale i niebanalną biografią. Po wielu latach spędzonych w ZSRR wrócił do kraju i osiadł w Olsztynie. Tam nadal tworzy mimo przeciwności losu (w lutym 2009 r. spłonął dom malarza z ponad 6 tys. prac, ocalały jedynie dzieła wystawiane wówczas w Brukseli), inspirowany urokiem warmińskich pejzaży.

WARSZAWA, GALERIA ELEKTOR, DO 4 KWIETNIA

BIEGNĄC Z WILKAMI

Przekonanie, że człowiek może za pomocą czarów przemienić się w wilka, niepozbawionego ludzkiej natury, jeszcze w XIX w. było żywe na terenie Europy, zwłaszcza wśród południowych Słowian i ludów północnych. We foyer Teatru Lalka można obejrzeć międzynarodową wystawę ilustracji, której tematem jest wilkołak – istota należąca do świata folkloru, ludowych podań, legend i baśni. Zbiór 63 prac 37 estońskich, litewskich i łotewskich artystów powstał w 2018 r. w Estońskim Centrum Literatury Dziecięcej z okazji Europejskiego Roku Dziedzictwa Kulturowego.

WARSZAWA, TEATR LALKA, 5 MARCA-15 KWIETNIA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, PAULINA CZAJOR, AURORA FILMS

eprasa.pl b97cc2f0f7

Manal asz-Szarif

ABUDŻA I KRÓL

Kiedy w Arabii Saudyjskiej chce się kogoś złamać, zaczyna się rozpowszechniać kłamstwa na jego temat, robiąc z niego tchórza albo zdrajcę

Manal asz-Szarif opowiada o swojej kampanii na Oslo Freedom Forum.

Kiedy znalazłam się w więzieniu kobiecym w Ad-Dammamie, zostałam zamknięta – dosłownie i metaforycznie – w ciemności. Mój świat zastygł, jakbym była pszczołą uwięzioną w bursztynie, 21 maja 2011 r. (…) W drugim dniu za kratkami pozwolono mi dwa razy zadzwonić z biura naczelniczki więzienia, co było prawdopodobnie skutkiem wizyty przedstawicielki saudyjskiego ruchu obrony praw człowieka. Najpierw porozmawiałam z Abd Allahem, jednym z najbliższych kolegów z Aramco. Przyszedł pod bramę więzienia razem z Hidayą, ale nie wpuszczono go jako mężczyzny, do tego niebędącego moim bliskim krewnym.

– Manal, co się stało? – zapytał. – Napisali wczoraj w gazecie, że się załamałaś, zaczęłaś sypać uczestników akcji Women2Drive i zachęcać do przesłuchiwania tych, którzy cię wspierali.

Nie mieściło mi się w głowie, że prasa może rozpowszechniać takie łgarstwa. Skąd oni to wytrzasnęli?

Uruchomiłam swój logiczny, komputerowy mózg.

– Potrzebuję prawnika.

Abd Allah podał mi numer telefonu i imię: Adnan. Adwokatów obdzwaniała już wcześniej dwójka moich znajomych, lecz gdy tylko wspominali o mnie, każdy z zagadniętych wycofywał się rakiem. Adnan przyjął zlecenie. Potem zadzwoniłam do Muniry, mojej bratowej. Brata zatrzymano na 24 godziny, po czym wypuszczono za kaucją wpłaconą przez znajomych. (…) Zapytałam, czy na profilach akcji puszczono wiadomości o moim zatrzymaniu. Odpowiedziała twierdząco, po czym dodała:

– Manal, musieliśmy skasować wydarzenie na Facebooku.

Ogarnęła mnie fala gniewu i frustracji. Chęć udziału w wydarzeniu zgłosiło 120 tys. osób. Czy po to siedziałam w więzieniu, żeby tak się to skończyło? Czemu władza zawsze ostatecznie zwyciężała? (…) Czułam się zdradzona. Bratowa próbowała mnie uspokoić.

– Nie, nie, nie, robimy to dla twojego bezpieczeństwa. Właściwie dobrze się stało. Teraz ważne jest już tylko to, żebyś jak najszybciej wyszła z więzienia – powtarzała.

To było nie do zniesienia.

– Nie możecie się wycofać tylko dlatego, że wtrącono mnie do więzienia. Musicie walczyć dalej, ponosząc koszty tej walki. (…)

•

Na początku trzeciej doby pobytu za kratkami dotarło do mnie, że nieprędko stąd wyjdę, więc ustaliłam sobie plan dnia. (…) Przez wiele dni władze więzienia zabraniały mi widzenia z prawnikiem pod nieobecność mojego opiekuna czy mahrama (mężczyzny będącego członkiem bliskiej rodziny, którego kobieta nie może poślubić, a więc ojca, brata, wuja, syna – przyp. red.), odmawiały mi również prawa porozmawiania z nim przez telefon. Pozwalali mi natomiast kontaktować się telefonicznie z bratową. Z perspektywy czasu sądzę, że mogłam wybierać: albo jedno, albo drugie. (…)

Nadszedł czwartek, mój pierwszy oficjalny dzień odwiedzin. Pod bramą pojawiła się Munira w towarzystwie mojej matki. Nie mogąc dostać biletów na samolot, mama przez 18 godzin tłukła się autobusem z Dżuddy do Ad-Dammamu i prosto z dworca przyszła do więzienia. (…)

Nie chciałam, żeby mama oglądała mnie w takim stanie. Nie chciałam, żeby stała wśród tego smrodu i zgiełku. (…)

Podczas piątkowych modlitw w meczetach imamowie z całego kraju entuzjastycznie pochwalili moje aresztowanie. Potępili mnie w żarliwych kazaniach, zarzucając mi zły wpływ na inne kobiety. Napiętnowali za „deprawowanie społeczeństwa", oskarżyli o bluźnierstwo i dążenie do zniszczenia islamu. Nazywano mnie „ladacznicą" i „dziwką". Zdaniem imamów więzienie było dla Manal asz-Szarif jedynym odpowiednim miejscem. (…)

•

Zostałam zaprowadzona do niewielkiego pomieszczenia w budynku sąsiadującym z blokiem kobiecym.

– Zaczekasz tu.

(…) Do środka wszedł jakiś żołnierz z plikiem kartek i długopisem w ręku. Zapytał mnie o nazwisko i rozpoczął przesłuchanie. Tym razem pojawiły się nowe pytania. Wszystkie pochodziły z załganych artykułów opublikowanych w saudyjskich gazetach „Al-Jaum" i „Al-Watan". Słyszałam już te zarzuty (…). Prasa przed-

eprasa.pl b97cc2f0f7

stawiła to tak, jakbym była agentką obcego wywiadu, a moja jazda – spiskiem wymierzonym w stabilność królestwa. (…)

Wyglądało na to, że źródłem informacji saudyjskiego wywiadu stała się prasa brukowa. Chciałam zrobić jakiś przytyk, ale ugryzłam się w język. Cierpliwie udzieliłam wszystkich odpowiedzi, po czym podpisałam kolejne zobowiązanie. W chwili, gdy to robiłam, do pomieszczenia weszła Munira. Twarz miała zasłoniętą i była okryta od stóp do głów na czarno, ale rozpoznałam jej głos. Zalała mnie fala ulgi. Kiedy jednak Munira odsłoniła twarz, zobaczyłam pot na jej czole i policzki zarumienione tak, jakby biegła.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Munira zapewniła mnie, że tak.

– Twoja matka uparła się, żeby przyjść tu razem ze mną – powiedziała. – Pamiętam, że prosiłaś, żeby jej tu nie zabierać, ale co mogłam zrobić? (…)

Omiatane spojrzeniem żołnierza, usiadłyśmy, by porozmawiać spokojnie o zwykłych sprawach (…), gdy nachyliłam się do niej i ujęłam jej dłoń. W ręku ukryłam skrawek papieru wyrwanego z notatnika. Udając, że poprawiam sobie chustę i abaję, pośpiesznie nagryzmoliłam kilka linijek długopisem, którym wcześniej podpisałam zeznania. Wyczuwając, że jej coś wciskam, Munira zwinęła dłoń i wsunęła świstek pod abaję, po czym, jakby poprawiając na sobie odzież, przecisnęła go przez bluzkę i wetknęła za stanik. Żołnierz się nie zorientował; przynajmniej w więzieniu tacy jak on zwykle się nie gapili.

Na papierku napisałam: *„Abudża* [ojciec] powinien spotkać się z królem. Jeśli nie poprosi o ułaskawienie mnie, zostanę tu na zawsze”.

•

Gdy *abudża* dowiedział się, że zostałam aresztowana, jeszcze tego samego dnia poleciał z Dżuddy do Ad-Dammamu. Nie wiedział, jak zarezerwować bilet lotniczy, nigdy wcześniej tego nie robił, więc zrobiła to za niego moja znajoma Israa, zapewniwszy go przy tym, że na lotnisku będzie na niego czekał kierowca. Kiedy Munira powiedziała mi przez telefon o przyjeździe ojca, pomyślałam: „O Boże, *abudża* tu jest! Koniec żartów, sprawa zrobiła się poważna”. Teraz bałam się już nie tylko o siebie i syna. Byłam przerażona, że coś może się stać mojemu ojcu.

Moje aresztowanie awansowało na pierwsze strony gazet. Donoszono o nim na całym świecie.

Abudża nie zawracał sobie głowy wycieczką do więzienia, żeby czekać bezczynnie na to, co się wydarzy. Dekady obcowania z saudyjską tradycją i niepisanymi zasadami nauczyły go, kiedy odwoływać się bezpośrednio do wyższej instancji. I kiedy ja w pierwszym odruchu zaczęłam szukać prawnika, *abudża* postąpił dokładnie odwrotnie. Kodeksy, sądy, nawet prawnicy to dla Saudyjczyka obce konstrukty. W królestwie Saudów o sprawiedliwości decyduje często wola władcy. Wszystko zależy od kontekstu, niebagatelny wpływ mają też powiązania plemienne i rodowe koligacje. W związku z tym ojciec zaczął co dzień pielgrzymować pod drzwi zarządcy Prowincji Wschodniej, księcia Muhammada Bin Fahda, bratanka króla Abd Allaha i syna nieżyjącego króla Fahda. Co dzień szedł czekać pod bramą Imary, rezydencji zarządcy w Ad-Dammamie, dopóki o godz. 14 jej nie zamknięto. Zawsze odchodził jako ostatni i za każdym razem błagał o widzenie z księciem, by prosić w moim imieniu o wybaczenie i zwolnienie mnie z więzienia. Książę nie udzielił mu jednak audiencji.

Kodeksy, sądy, nawet prawnicy to dla Saudyjczyka obce konstrukty.

Abudża zaczął więc rozmawiać z pracownikiem społecznym Imary, mężczyzną o imieniu Ghazi, posługującym się tytułem doradcy do spraw relacji rodzinnych. Jako mężczyzna pobożny nosił długą brodę i od razu zapytał ojca, jak mógł dopuścić do tego, by jego córka, kobieta rozwiedziona, mieszkała samotnie na osiedlu z Amerykanami i niewiernymi. „Oni piją – powiedział. – A kobiety chodzą tam bez abai”. I dalej wyliczał wszystkie występki religijne i kulturowe, na które byłam narażona – i które zapewne sama popełniałam. Wreszcie zapytał, jak ojciec mógł mi pozwolić mieszkać samej, bez mężczyzny. (…)

Czwartego dnia mojego pobytu za kratkami Ghazi przyszedł do więzienia. Kiedy poinformowano mnie o jego przybyciu, nie miałam pojęcia, kto zacz. Strażniczka kazała mi zasłonić twarz, uprzedzając, że to człowiek pobożny. W pierwszej chwili odmówiłam, ale w końcu naciągnęłam zasłonę – cienką i przejrzystą. Na nogach miałam czerwone buty.

Podczas spotkania zarzucił mi, że jestem „egoistką”, że nawołuję do drugiego „dnia gniewu” i prowokuję do demonstracji wymierzonych w króla. (Pierwszy „dzień gniewu” miał miejsce w marcu, kiedy to Saudyjczycy walczący o demokrację zagrozili zorganizowanymi demonstracjami; prawie wszystkie zostały zdławione). Ghazi twierdził, że ponad 300 obywateli pojawiło się przed Imarą, domagając się osądzenia mnie, inni zaś gotowi byli wnieść przeciw mnie sprawy o pogwałcenie saudyjskiego kodeksu moralnego.

– Chcesz przenieść swoje życie w Aramco poza mury osiedla – powiedział.

Słuchałam całej tej jego diatryby, ani na moment nie tracąc spokoju.

– Nie zna mnie pan – odparłam wreszcie. – Nie nawoływałam do organizowania demonstracji. Mam prawo jazdy. Kocham mój kraj. I nie zgadzam się z pana osądem, że przemawia przeze mnie egoizm. Jedynymi

Manal asz-Szarif (ur. 1979) – aktywistka walcząca o prawa kobiet w Arabii Saudyjskiej. Z wykształcenia jest informatykiem, przez prawie 10 lat pracowała w koncernie Aramco, zajmując się bezpieczeństwem systemów komputerowych. W 2011 r. mimo obowiązującego w Arabii Saudyjskiej zakazu prowadzenia samochodów przez kobiety usiadła za kierownicą i wyjechała na ulice. Za swój protest została aresztowana. Zwolniono ją po nagłośnieniu sprawy przez międzynarodowe media i organizacje. Manal stała się ikoną walki o prawa kobiet w Arabii Saudyjskiej. Magazyn „Time” umieścił ją na liście stu najbardziej wpływowych osób 2012 r.

FOT. WIKIPEDIA, AP IMAGES/EAST NEWS

eprasa.pl b97cc2f0f7

osobami zaangażowanymi w te działania są saudyjskie dziewczyny.

Nie wiem, czego spodziewał się Ghazi, ale na pewno nie tego.

– Jesteś kimś innym niż odmalowana przeze mnie kobieta: wściekła i pragnąca łamać prawo – zgodził się wreszcie. A potem powiedział mi, że wniósł dla mnie o publiczną chłostę, która byłaby przestrogą dla innych. Po tych słowach zakończyłam spotkanie.

Rzeczywiście Ghazi nawoływał w prasie do wychłostania mnie i to właśnie doprowadziło go do zguby. Jego słowa wystawiły na pośmiewisko w mediach zagranicznych Imarę i cały saudyjski rząd. Został uciszony, ale nigdy nie zdementowano żadnego z jego kłamstw. To niestety typowa taktyka. Kiedy w Arabii Saudyjskiej chce się kogoś złamać, zaczyna się rozpowszechniać kłamstwa na jego temat, robiąc z niego tchórza albo zdrajcę. (…)

Ojciec siedział pod bramą rezydencji zarządcy, ja siedziałam w więzieniu, tymczasem w prasie i w internecie codziennie pojawiały się nowe wpisy, wiadomości i artykuły, w których szkalowano mnie, oczerniano i poniżano, tak by żadnej innej kobiecie czy dziewczynie nie zachciało się więcej siadać za kierownicą. (…)

Moje aresztowanie nie przeszło niezauważone, lecz awansowało na pierwsze strony gazet. Donoszono o nim na całym świecie i to zainteresowanie międzynarodowych mediów było dla saudyjskiego reżimu wysoce kłopotliwe. Uwaga na temat chłosty przelała czarę. Nawet król był zażenowany, gdy Stany Zjednoczone wypomniały Arabii Saudyjskiej uwięzienie kobiety pod zarzutem prowadzenia samochodu.

Gdy tylko Munira przekazała mój liścik, ojciec poleciał do Dżuddy, gdzie mieszkał król. Wszystkie moje nadzieje skupiły się na drugim końcu królestwa. (…)

Kompleks pałacowy zajmuje powierzchnię 34 ha i obejmuje lądowiska dla helikopterów, pomosty do cumowania łodzi, rozległe ogrody i rozliczne namioty. (…) Stolica Arabii Saudyjskiej znajduje się w Rijadzie i to tam król ma swoją siedzibę, lecz z myślą o przyjmowaniu gości zbudowano pałac królewski w Dżuddzie. Choć posiada on pewne współczesne atrybuty, niektóre tradycje zakorzenione są równie głęboko jak w czasach, gdy królowie przyjmowali gości w swoich namiotach. Król nadal udziela *madżlis* – audiencji; wówczas przyjmuje i wysłuchuje gości i poddanych, którzy przedstawili uprzednio swoje sprawy w formie oficjalnej petycji. W olśniewającym wejściu na teren kompleksu tłoczą się skrybowie: mężczyźni, którzy za 100 riali piszą petycje do króla; tradycja ta sięga bez wątpienia czasów, gdy przytłaczającą większość saudyjskich poddanych stanowili analfabeci. Ale i dziś nawet osoby wykształcone wynajmują skrybę, który najlepiej wie, jak przedstawić sprawę lub prośbę. W przypadku mojego ojca skryba był koniecznością, gdyż *abudża* nadal nie potrafił czytać.

Podczas piątkowych modlitw w meczetach imamowie z całego kraju entuzjastycznie pochwalili moje aresztowanie.

W towarzystwie trzech współplemieńców ojciec podszedł do skryby siedzącego przy biurku, który nie wykazywał specjalnego zainteresowania, póki ojciec nie podał nazwy swojego rodu (…). *Abudża* wyłuszczył moją sprawę, skryba ją powtórzył i kiedy wreszcie po kilku kolejnych iteracjach uzgodnili ostateczną wersję, skryba jak najstaranniej przepisał ją na papier, który miano przekazać królowi. Kiedy skończył, ostatni raz odczytał podanie na głos, a ojciec przycisnął kciuk do poduszeczki z tuszem i odcisnął go na papierze, składając w ten sposób swój podpis. Ojciec wręczył skrybie 100 riali i otrzymał w zamian dużą kopertę z zaklejonym w niej podaniem. Usługę wykonano i opłacono – nie pozostało nic do zrobienia. A dzień jeszcze na dobre się nie zaczął.

W królestwie Saudów o sprawiedliwości decyduje często wola władcy.

Z dokumentem w dłoni ojciec podszedł do bramy prowadzącej na dziedziniec, gdzie jeden ze strażników zapytał go, po co przyszedł. *Abudża* relacjonował mi to później następująco:

– Zupełnie jakby mnie oczekiwał. Skwapliwie wyjął mi z rąk kopertę i kazał czekać. Nie było go jakiś czas. Stałem w słońcu, tuż pod bramą, i pierwszy raz naprawdę miałem nadzieję. Strażnik po jakimś czasie wrócił i powiedział: „Dobry człowieku, sekretarz Jego Królewskiej Mości może was dziś przyjąć, ale musicie poczekać na swoją kolej”.

Król – ten, który akurat jest u władzy – przyjmuje poddanych w pałacu w Dżuddzie. Tradycyjnym dniem udzielania audiencji jest piątek. Tego dnia może wejść do pałacu bez zaproszenia każdy – o ile jest mężczyzną. Przed bramą główną ustawiają się w długich kolejkach setki ludzi czekających na spotkanie z królem. Chociaż był poniedziałek, długi ogonek interesantów czekał na załatwienie rozmaitych spraw z monarchą i jednym z jego głównych doradców. Mój ojciec, jego kuzyni i wódz plemienia zajęli miejsce na samym końcu. (…)

Jak wszyscy poprzedni goście, czterej mężczyźni z plemienia Asz-Szarif po kolei podchodzili do króla i całowali go w czoło, życząc mu długiego życia. Następnie przemówił wódz plemienia. Pochwaliwszy Boga i proroka Mahometa, potwierdził lojalność swojego plemienia wobec króla i kraju, po czym przeszedł do sedna sprawy: przeprosił za moje działania, które zaburzyły porządek publiczny, i obiecał, że więcej się to nie powtórzy. Swoją kwestię zamknął wyszukanymi oficjalnymi przeprosinami plemienia za prowadzenie przeze mnie samochodu. Po jego przemowie nastąpiła krótka przerwa, po której odezwał się król. *Abudża* powiedział mi później, że król wypowiedział tylko trzy słowa:

– Służcie jej radą.

Powtórzył te słowa trzykrotnie.

Mój ojciec, jego kuzyni i wódz plemienia odchodzili z obietnicą, że wkrótce otrzymają pomyślną wiadomość.

•

Tego samego dnia, a był to poniedziałek, 30 maja 2011 r., wywołano mnie o godz. 17 z celi i odprowadzono do pokoju strażników, gdzie za biurkiem oczekiwał ubrany po cywilnemu naczelnik więzienia. Obok niego stał umundurowany żołnierz z jakimiś papierami w ręku.

eprasa.pl b97cc2f0f7

24 czerwca 2018 r. w Arabii Saudyjskiej został zniesiony zakaz prowadzenia samochodów przez kobiety.

– Manal – powiedział generał. – Miło ci się u nas siedzi? Chciałabyś zostać dłużej?

Natychmiast wzmogłam czujność. Nie wiedziałam, gdzie jest haczyk, ale postanowiłam się nie płaszczyć i nie jęczeć.

– Nie chciałabym, by zabrzmiało to obraźliwie – odparłam – ale gdyby zechciał pan na jeden dzień do nas dołączyć, znałby pan moją odpowiedź.

– Wiem, że budynki są stare i zdewastowane, ale na razie nic lepszego nie mamy – powiedział naczelnik. – Mogę obiecać, że za kilka miesięcy przeniesiemy się do nowszego, czystszego zakładu, więc właściwie szkoda, że nie przełożyłaś o kilka miesięcy swojej samochodowej kampanii. Mogę ci jednak obwieścić, że jesteś wolna. Właśnie otrzymałem polecenie, by cię zwolnić. (…)

Uśmiechnęłam się lekko i chcąc upewnić się, czy dobrze zrozumiałam, zapytałam:

– To znaczy, że mogę w tej chwili wyjść?

– Chyba że masz ochotę spędzić tu jeszcze jeden dzień?

– Nie, proszę pana – odparłam. Z nadmiaru ulgi i adrenaliny aż zakręciło mi się w głowie.

– Czy mogę o coś zapytać, zanim wyjdziesz? – rzucił naczelnik, jakby coś mu się przypomniało.

Skinęłam głową.

– Proszę. Dobrze mnie pan traktował.

– Wiem, że sporo rozmawiałaś ze strażniczkami o panujących w więzieniu warunkach, i obiecuję dołożyć wszelkich starań, może również z twoją pomocą, by poprawić sytuację bytową osadzonych. Nie możesz nas winić za wszystkie ograniczenia, z którymi musimy się mierzyć. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Wiem, że po wyjściu stąd chcesz nagłośnić sprawę tych kobiet, ale proszę, żebyś tego nie robiła. Jest to żenujące dla wszystkich.

– Czy pozwoli mi pan pomóc kobietom, które potrzebują biletów lotniczych, by móc wrócić do domu?

– Jeśli znajdziesz ludzi gotowych kupić im bilety, oddasz nam wielką przysługę. Ograniczając zagęszczenie, poprawimy panujące tu warunki. Zrobię, co w mojej mocy!

Naczelnik więzienia polecił stojącej pod drzwiami strażniczce, by przyniosła moje rzeczy, po czym życzył mi szczęścia.

– Nie pakuj się w żadne kłopoty – brzmiała jego ostatnia rada.

Kiedy wyszedł, dałam upust łzom. Odmówiłam *sudżud*, specjalną modlitwę dziękczynną. (…) Gdy po modlitwie uniosłam głowę, oczy mając wciąż jeszcze pełne łez, zobaczyłam, że płacze i strażniczka.

Uścisnęła mnie mocno.

– Będziemy za tobą tęsknić, Manal – powiedziała.

•

Musiałam zadzwonić do brata i poprosić, żeby po mnie przyjechał i podpisał dokumenty zezwalające na wypuszczenie mnie z więzienia. Jako Saudyjka nie mogłam opuścić zakładu bez podpisu opiekuna, lecz ponieważ polecenie przyszło od samego króla, w moim przypadku wystarczał *mahram*. W milczeniu przyjął wiadomość, że zostałam uwolniona. (…)

Przyjechał mój brat, ubrany w tradycyjny biały *saub*, choć bez chusty na głowie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam go w tradycyjnym stroju. Do pracy w Aramco zakładał zawsze ubiór zachodni, tak samo w domu. Uśmiechnął się i uściskał mnie, nie zwracając uwagi na zaskoczenie stojących obok nas strażników. (Saudyjczycy znani są z tego, że publicznie nie okazują uczuć). (…)

Zapytałam brata, czy mogę skorzystać z jego telefonu; swój dostałam z powrotem, ale bateria padła, a poza tym truchlałam na myśl o tym, że mój numer pojawi się na wyświetlaczu osoby, do której chciałam zadzwonić.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Ojcze – powiedziałam, gdy tylko się odezwał. – To ja, Manal. Wyszłam z więzienia.

Urwałam, czekając na oskarżycielskie kazanie.

Tymczasem usłyszałam podniecony głos ojca:

– Córko! Wszystko w porządku?

– Tak, tato. Wszystko w porządku.

– A zatem i u mnie wszystko w porządku. Do widzenia.

I tyle. Wszystkie słowa, które padły w tej – bardzo krótkiej – rozmowie. (…)

Odchyliłam się na siedzenie, obserwując drogę umykającą mi spod kół i kierującego samochodem brata. Nie siedzieliśmy w jego azerze, bo ta cały czas znajdowała się w policyjnym sekwestrze. Wiózł mnie na osiedle Aramco moim własnym autem.

Fragmenty książki Manal asz-Szarif *Saudyjka za kierownicą*, przeł. Dorota Konowrocka-Sawa, W.A.B., Warszawa 2019

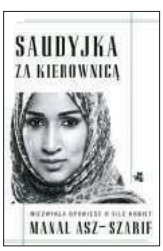

eprasa.pl b97cc2f0f7

Nicolas Boyer, Francja, 1. miejsce w kategorii open, podróże. Kobieta w shiromuku, stroju, który japońska panna młoda nosi podczas tradycyjnego szintoistycznego ślubu.

Sony World Photography Awards

Najlepsze zdjęcia kobiet

Nyree Cox, Australia, 1. miejsce w kategorii narodowej. Przedsiębiorczynie z Rijadu.

eprasa.pl b97cc2f0f7

Ranko Djurović, Serbia, 1. miejsce w kategorii narodowej. Siostry, Ivanovo, Serbia.

1) Alfred Mahlangu, RPA, 1. miejsce w kategorii narodowej. Zdjęcie jest częścią kampanii zrobionej w okolicach Johannesburga z wykorzystaniem naturalnego światła.

2) Gisela Filc, Argentyna, 1. miejsce w kategorii narodowej. Portret z serii przypominającej melancholijne kobiety Botticellego, skoncentrowane na swoich myślach i życiu wewnętrznym.

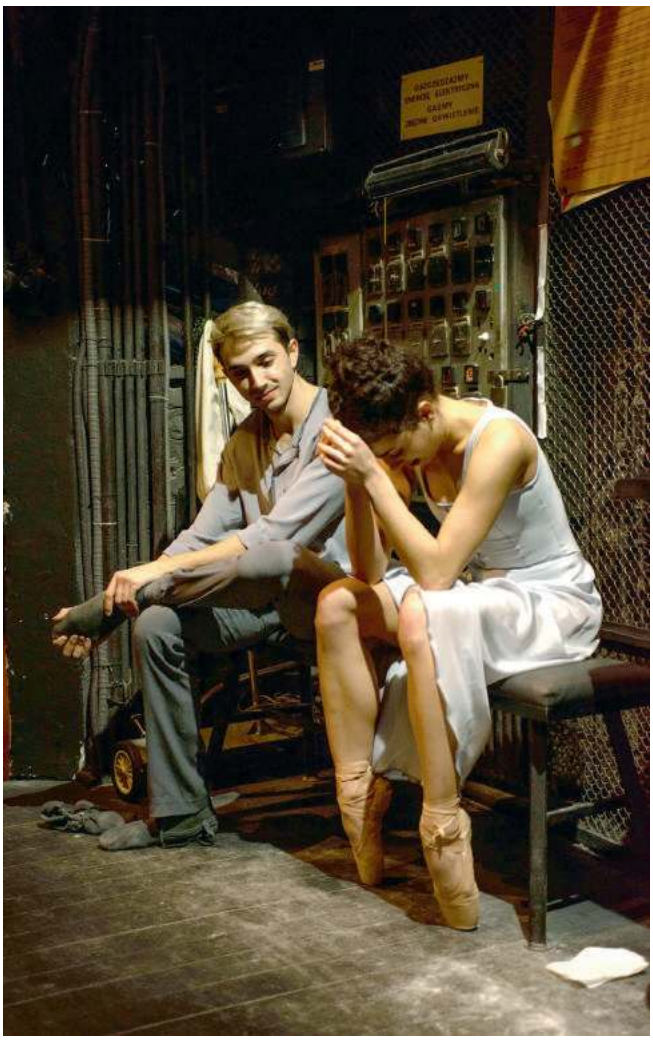

Piotr Leczkowski, Polska, 1. miejsce w kategorii narodowej. Magiczny moment za kulisami podczas próby Polskiego Baletu Narodowego.

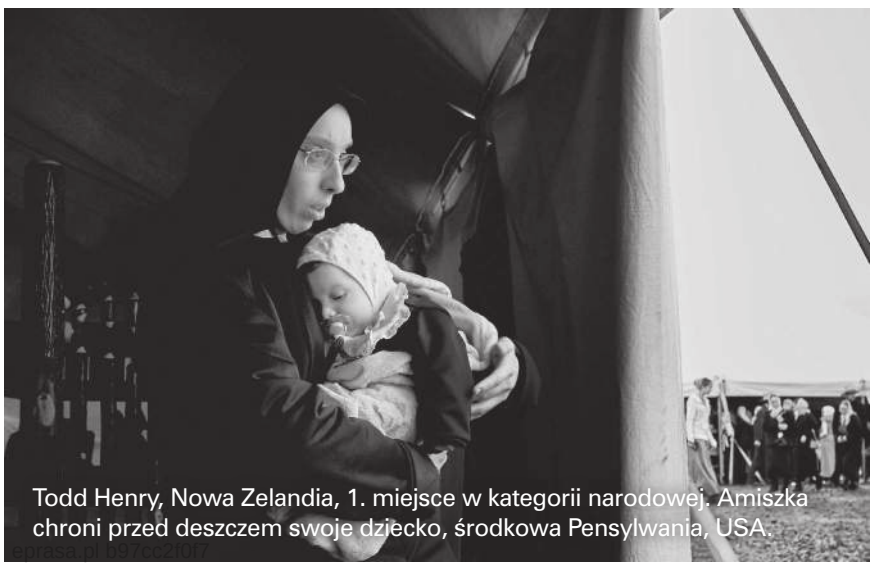

Todd Henry, Nowa Zelandia, 1. miejsce w kategorii narodowej. Amiszka chroni przed deszczem swoje dziecko, środkowa Pensylwania, USA.

eprasa.pl b97cc2f0f7

Wiesław Kot

Idy, Barbie i viagra

Marzec w dziejach Polski i świata

Skończmy z tyranią doniosłych rocznic! Ostatecznie to nie one, lecz wydarzenia drobne i niezauważalne meblują nam historię. Na przykład te, do których doszło w marcu...

1 marca

W roku 1957 ukazał się pierwszy numer tygodnika „Ekran". W roku 1986 Janusz Gajos dostał nagrodę Złotego Ekranu za rolę w filmie „Big Bang". To opowieść o tym, jak UFO wylądowało na wsi pod Sochaczewem. Gajos – wioskowy głupek – kombinuje, jak by tu godnie podjąć gości z odległej galaktyki: „To tera tak: jak im będzie nie w smak czysta, to jest kolorowa. A jak i to nie, to się dorobi tatę z mamą...".

2 marca

W roku 1864 car Aleksander II Romanow wydał dekret o uwłaszczeniu chłopów w Królestwie Polskim, czyli o zniesieniu pańszczyzny. Gdybyśmy przywiązywali do tej daty taką wagę, jaką Amerykanie przywiązują do zniesienia niewolnictwa (w tym samym czasie), nakręcilibyśmy wreszcie nasze „Przeminęło z wiatrem". A tak kręcimy tylko kolejne komedie romantyczne...

4 marca

W 1966 r. John Lennon powiedział w wywiadzie dla brytyjskiej gazety „Evening Standard", że Beatlesi są popularniejsi od Jezusa. 14 lat później Pan powołał Johna przed swoje oblicze wprost z nowojorskiej ulicy. I teraz gruntownie dyskutują kwestię, jak to właściwie jest z tą popularnością.

W 2001 r. Szwajcarzy w referendum nie wyrazili zgody na przystąpienie ich kraju do UE. Cóż, niektóre narody odgradzały się od Unii znacznie wcześniej, nim stało się to modne.

5 marca

W 2006 r. odbyła się premiera pierwszego odcinka serialu „Ranczo". 97% ocen pozytywnych od widzów! Nagrywają go w niewielkiej mazowieckiej miejscowości Jeruzal. Tam przed sklepem stoi słynna ławeczka, na której miejscowi panowie krzepią się winem Mamrot i oceniają sprawy tego świata jak chór w dramacie greckim, z należytego dystansu. A gdyby kto był spragniony, to w sklepiku w centrum Jeruzala wino sławnej marki jest do nabycia za niewygórowaną cenę. Przybyłem, nabyłem, degustowałem.

W 2006 r. odbyła się premiera serialu „Ranczo". 97% ocen pozytywnych od widzów!

7 marca

W 2007 r. Sejm RP przyjął przez aklamację uchwałę w sprawie ogłoszenia 2007 Rokiem Artura Rubinsteina. Znany pianista pochodził z Łodzi i dziś na Piotrkowskiej można się przysiąść do żeliwnego Artura nieopodal bramy domu, w którym mieszkał. Zwłaszcza że pianista tęsknie spogląda w stronę pobliskiego całodobowego sklepu monopolowego. Gdyby taki działał w jego czasach, młody Artur zamiast piłować nudnego Chopina, zapewne poświęcałby więcej czasu improwizacjom jazzowym. A wiadomo – bez gazu nie ma jazzu.

9 marca

Właśnie tego dnia roku 1497 student prawa w Bolonii, nazwiskiem Mikołaj Kopernik, obserwował zakrycie gwiazdy Aldebaran przez Księżyc. I coś wyraźnie mu się nie zgadzało w panującej powszechnie teorii, że Ziemia jest centrum wszechświata. Ale żeby to sobie poukładać i wyrazić na piśmie, student Mikołaj potrzebował aż 46 lat. Inna rzecz, że na Warmii czas płynie wyjątkowo powoli...

W roku 1959 w Nowym Jorku zaprezentowano publiczności lalkę Barbie. Minęło tyle lat, ale jakoś nie słychać: „Żegnaj, laleczko!".

13 marca

W 2002 r. w Warszawie odsłonięto pomnik Tarasa Szewczenki. I słusznie, niech miliony Ukraińców mają tu także kawałek swojego poety, a nie tylko harówę od świtu do nocy, a potem stanie po 10 godzin w kolejce do kontroli granicznej. Zwłaszcza że Szewczenko lubił się szastać po świecie: „Nie w twoimż to zbożu, / Ukrajno śród żniwa, / Tarasa Szewczenki Papacha spoczywa? / Więc skąd, przyjacielu, / W piosence twej łka: Grenada, Grenada, Grenada majá!".

14 marca

W roku 1990 Główny Urząd Statystyczny podał, że inflacja w ciągu minionych 12 miesięcy wyniosła 1360% i była najwyższa w historii Polski. Tego dnia bułka kosztowała w Poznaniu 920 zł. Ekonomiści twierdzą, że właśnie czynimy w kierunku tego rekordu pierwsze nieśmiałe kroki.

15 marca

W roku 44 p.n.e. Juliusz Cezar w dniu id marcowych został zamor-

eprasa.pl b97cc2f0f7

dowany przez senatorów pod przywództwem Marka Brutusa i Gajusza Kasjusza. Zwłaszcza z Brutusem pozostawał Juliusz Cezar w bliskiej przyjaźni. Nie przestrzegał jednak zasady, którą 20 wieków później sformułuje inny przywódca, zresztą wywodzący się również z Italii, don Vito Corleone: „Trzymaj swoich przyjaciół blisko, ale jeszcze bliżej swoich wrogów".

16 marca

Tego dnia w roku 1901 w Krakowie uruchomiono pierwszą linię tramwaju elektrycznego. A wieczorem w Teatrze Miejskim odbyła się premiera „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego. Trudno rozstrzygnąć, który fakt miał dla kultury polskiej donioślejsze znaczenie. Chyba jednak ta premiera, bo przecież pozostawiła w spadku kolejnym pokoleniom Polaków jakże doniosłą wskazówkę z zakresu mody i etykiety: „Trza być w butach na weselu".

W 1971 r. Telewizja Polska nadała pierwszy program w kolorze. Z tym że nadawanie programu w kolorze było po nic, bo kolorowych telewizorów prawie u nas nie było. Dopiero rok później Warszawskie Zakłady Telewizyjne rozpoczęły produkcję kolorowych odbiorników na bazie radzieckich telewizorów Rubin. A użytkownicy tych ostatnich nie mogli się doprosić, by każdy egzemplarz był zaopatrzony w gaśnicę...

17 marca

W 1945 r. w Mrzeżynie odbyły się zaślubiny Polski z morzem. O weselu, o poprawinach i nocy poślubnej annały milczą. Za to anegdot z rybą – mnóstwo! Pewnego dnia Władysław Broniewski wszedł do sklepu na górnym Mokotowie i poprosił o śledzia. Bo lubił sobie strzelić pod śledzika. Bez śledzika zresztą też. Ekspedienta wyciągnęła rybę z beczki za ogon i podała poecie. Ten poprosił o papier. „Śledzi nie zawijamy", brzmiała odpowiedź. Broniewski na to: „Proszę o książkę zażaleń". Ekspedientka podała, poeta otworzył, wyrwał kilka kartek, zawinął w nie śledzia i wyszedł bez słowa. Cóż, socjalistyczny poeta umiał się znaleźć w socjalistycznym sklepie.

19 marca

W 1885 r. w tygodniku „Wędrowiec" ukazał się pierwszy odcinek powieści „Placówka" Bolesława Prusa. W mojej ulubionej scenie Józef Ślimak idzie do dworu załatwiać sprawę z jaśnie dziedzicem: „Odszedłem se od okna i postojałem krzynę czasu wedle kuchni. Słyszę, rwetes okrutny, ogień palą jak w kuźni, masło skwierczy. Naraz patrzę – wylatuje z kuchni Ignac Kempiarz, co jest we dworze za kuchtę, ale taki ci nieborak pojuszony, jakby go kto siekierą dziabnął. Wołam: »Ignac! La Boga, a z ciebie kto tak farbę puścił?«. »Nie ze mnie to – on mówi – ino mi kucharz dał w pysk zarżniętym kaczorem i tak mnie osmarowało«".

20 marca

W roku 1957 z taśm montażowych zjechała królowa polskich szos, syrena, zwana też skarpetą lub kurołapką. Prędkość maksymalna 80 km, do – teoretycznej – setki rozpędzała się w 10 minut. W tamtych zamierzchłych czasach samochód bardzo radykalnie decydował o statusie społecznym. Minister: mercedes, whisky i artystki, dyrektor zjednoczenia: wołga, koniaki i kociaki, dyrektor przedsiębiorstwa: fiat, starka i sekretarka, kierownik: syrenka, wyborowa i koleżanka biurowa.

W 1957 r. z taśm montażowych zjechała królowa polskich szos, syrena.

W 1959 r. w Nowym Jorku zaprezentowano publiczności lalkę Barbie.

21 marca

Urodziny obchodzi Włodzimierz Szaranowicz (rocznik 1949), największy poeta wśród naszych sprawozdawców sportowych. Ach, te jego nieprzepłacone strofy... Przypomnijmy te, które przeszły do historii:

„Crouch wygląda na paralityka, ale podobno sporo ćwiczy".

„Na boisko wychodzą Beldzy i Holendrowie".

„Trzeba zwijać narty i myśleć o innej karierze".

„Uuu, nie wyszedł mu ten strzał. Teraz kręci głową, mam nadzieję, że nie skręci sobie karku".

„Widzę pewne ożywienie w kroku naszego chodziarza".

„Końcówka Ciby nie wyglądała imponująco".

No i wreszcie: „Nikt na świecie nie będzie przecież pracował za 3 tys. zł".

eprasa.pl b97cc2f0f7

Może i nie, ale poezja pana Włodzimierza warta jest każdych pieniędzy.

22 marca

W roku 1895 bracia Lumière pokazali w filmie, jak robotnicy wychodzą z ich fabryki po zakończeniu zmiany. Oczywiście kazali robotnikom ubrać się nie jak do roboty, lecz odświętnie. Bo film miał być reklamówką firmy. Już wówczas robotników powinno tknąć, że kino to jedna wielka ściema i propaganda.

W 1919 r. Japonia uznała niepodległość Polski. Po latach Lech Wałęsa nawiązał do tego przełomowego faktu, zapowiadając, że będziemy drugą Japonią. Sprawdziło się co do joty – jak większość przepowiedni Lecha.

W 1963 r. ukazał się pierwszy album grupy The Beatles „Please Please Me". Było to o tyle dziwne, że rok wcześniej eksperci z wiodącej firmy płytowej Decca Records orzekli, że czterej młodzieńcy z Liverpoolu „brzmią fatalnie i ich muzyka nie ma żadnej przyszłości". Te oceny znawców powtarzały się. Kiedy czwórka z Liverpoolu koncertowała w Stanach w 1964 r., gazeta „New York World Telegram And Sun" pisała, że „Beatlesi to nieszkodliwa i przemijająca moda młodzieżowa, jak zabawa hula-hoop". Okazało się, że fachowcy mieli absolutną rację. Obręczą hula-hoop dzieciaki jeszcze czasem się bawią, ale Beatlesów to już nie słucha zupełnie nikt.

I jeszcze smutna data. Oto bowiem 22 marca 2000 r. nasz transatlantyk „Stefan Batory" został przekazany na złom do stoczni tureckiej (!). A przecież to w kaplicy na „Batorym" Kazimierz Pawlak („Kochaj albo rzuć") przeżył szok, gdy się zorientował, że ksiądz, który ma go spowiadać, jest czarnoskóry. Kargul pośpieszył z wyjaśnieniami: „Dziki też człowiek!". Może Kargul powinien powtarzać to różnym Pawlakom także dziś?

W 1895 r. bracia Lumierè pokazali w filmie, jak robotnicy wychodzą z fabryki.

23 marca

W 1945 r. Armia Czerwona zajęła Sopot, a właściwie Zoppot. Ale w mieście ten fakt nie jest odnotowany. Nawiasem mówiąc, rzadko kto zwraca uwagę, że słynne sopockie molo ma jedynego stosownego patrona, Jana Pawła II. A przy wejściu jest stosowna tablica.

W roku 1998 „Titanic" w reżyserii Jamesa Camerona zdobył 11 statuetek Amerykańskiej Akademii Filmowej. Kapitan do podróżnych: „Mam dla państwa dwie wiadomości, dobrą i złą. Zła jest taka, że za chwilę idziemy na dno. A dobra, że jak to pokażą w durnym i ckliwym filmie, to dostaniemy aż 11 Oscarów!".

26 marca

W 1956 r. Telewizja Polska wyemitowała premierowe wydanie pierwszego polskiego *talk-show* „Tele-Echo". Irena Dziedzic przed programem spotykała się z gośćmi, pisała z nimi całą rozmowę, kazała uczyć się jej na pamięć, po czym odpytywała zaproszonych na wizji. Czasami zdarzały się wpadki. Pani Irena zaprosiła Andrzeja Wajdę, a on się pogubił i wypalił na antenie: „Pani Ireno, ale ja zapomniałem wszystkie odpowiedzi". Tak, najgorzej pracować z amatorami.

27 marca

W 1968 r. radziecki kosmonauta i pierwszy człowiek w kosmosie Jurij Gagarin zginął w katastrofie lotniczej. Jak podano w oficjalnym komunikacie, „z powodu fatalnej organizacji lotu i zaniedbań popełnionych na lotnisku". Nieprawda! To był zamach!

W 1998 r. w USA została dopuszczona do handlu viagra.

29 marca

W 1959 r. odbyła się premiera komedii filmowej „Pół żartem, pół serio" Billy'ego Wildera. Warto pamiętać, że Marilyn Monroe grała tam Polkę nazwiskiem Kowalczyk. „Szczeniaczka" z whisky nosiła za podwiązką i powtarzała, że wprawdzie popija, ale zawsze może przestać. Cóż, „nikt nie jest doskonały".

Wiesław Kot

W 1956 r. na antenę weszło „Tele-Echo".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ARCHIWUM/FOTONOVA, FERRARI PRESS/EAST NEWS, WIKIPEDIA, CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

eprasa.pl b97cc2f0f7

PiS kontra PiS, czyli walki pod dywanem

Za Prawa i Sprawiedliwości narodził się nam nowy świecki zwyczaj odstrzeliwania kandydatów na ambasadorów na oczach publiczności.

Do tej pory w III RP te sprawy – na pewno skomplikowane, bo wymagające porozumienia prezydenta, premiera i szefa MSZ – załatwiano w zaciszach gabinetów. Przesłuchanie przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych było już w zasadzie formalnością. Przed komisją stawał kandydat, który był uzgodniony w ramach trójkąta Mały Pałac-Duży Pałac-aleja Szucha oraz miał zgodę państwa przyjmującego.

I oto PiS, chociaż ma wszystkie ośrodki decyzyjne w swoich rękach, ten system rozwaliło. Ostatnią ofiarą tego bałaganu okazał się Tomasz Szatkowski, wiceminister obrony, który był kandydatem na szefa polskiego przedstawicielstwa przy NATO, w Brukseli. Nie spadł z nieba – o tym, że jest murowanym kandydatem, prawicowe media informowały już jesienią.

Ostatecznie Szatkowski stanął przed komisją w lutym i… poległ wynikiem 6:7. Większość posłów była przeciwko niemu. mimo że PiS ma w komisji większość. Ale posłowie partii rządzącej z komisji wyszli, podobno – jak zapewniała posłanka Małgorzata Gosiewska – przypadkowo.

Trudno w takie przypadki uwierzyć. Zwłaszcza że utarł się zwyczaj, że szef MSZ nie wysyła na placówkę kandydata, który został odrzucony przez posłów.

Powód jest prosty – negatywna opinia jest uważana za skandal, za sygnał, że kandydat nie ma mandatu do reprezentowania Polski, i za nieprzyjazny gest wobec państwa przyjmującego (które wcześniej, kanałami dyplomatycznymi, na tę osobę już się zgodziło). Poza tym źle świadczy o Polsce, że rządzący nie potrafią ustalić prostych rzeczy.

I już nie wnikajmy, dlaczego kandydaturę Szatkowskiego posłowie PiS odrzucili. Czy dlatego, że to człowiek Macierewicza, ostatni z jego wiceministrów, który ostał się w MON? A może dlatego, że nie chciał go prezydent? Nie wiemy i nie jest to zresztą ważne. A to dlatego, że w tej kadencji podobne przypadki zdarzały się już kilkakrotnie.

Najgłośniejsze było odrzucenie kandydatury Barbary Stanisławczyk-Żyły, byłej prezes Polskiego Radia (z nadania PiS). Wysuwana była na stanowisko ambasadora w Izraelu. I nie wiadomo, czy to z powodu wyjątkowo marnego wystąpienia przed posłami, czy też z jakichś innych względów, związanych z wewnątrzpisowską bijatyką, przegrała głosowanie – posłowie PiS nie oddali na nią głosu. To było 13 grudnia 2017 r.

Ciekawa też była historia związana z kandydaturą Karoliny Ostrzyniewskiej, którą minister Czaputowicz chciał wysłać na ambasadora do Szwecji. Tego, że zrobi się wokół Ostrzyniewskiej gorąco, można było się domyślić, czytając prawicowe media. Zarzucano jej tam, że jako szefowa departamentu Unii Europejskiej była zbyt zblatowana z PO. Hejt szedł na całego, że to zdrada itd.

Było więc tak, że najpierw Ostrzyniewska musiała przyjść na komisję 2 października 2018 r. Ale jej prezentację przełożono. Dwa tygodnie później już wystąpiła. Ale wówczas Małgorzata Gosiewska zaproponowała, żeby głosowanie nad kandydaturami ambasadorów (przesłuchiwano trójkę kandydatów) przełożyć. W końcu w styczniu 2019 r. minister Czaputowicz jej kandydaturę wycofał. Nie trzeba było więc nad nią głosować, wystarczyła groźba sejmowego weta.

Podobnych sytuacji, nagłych zwrotów było więcej. Ale o tym przy innej okazji.

Attaché

Donald Trump i Kim Dzong Un na kolacji w hotelu Sofitel Legend Metropole w Hanoi.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b97cc2f0f7

JOLKA

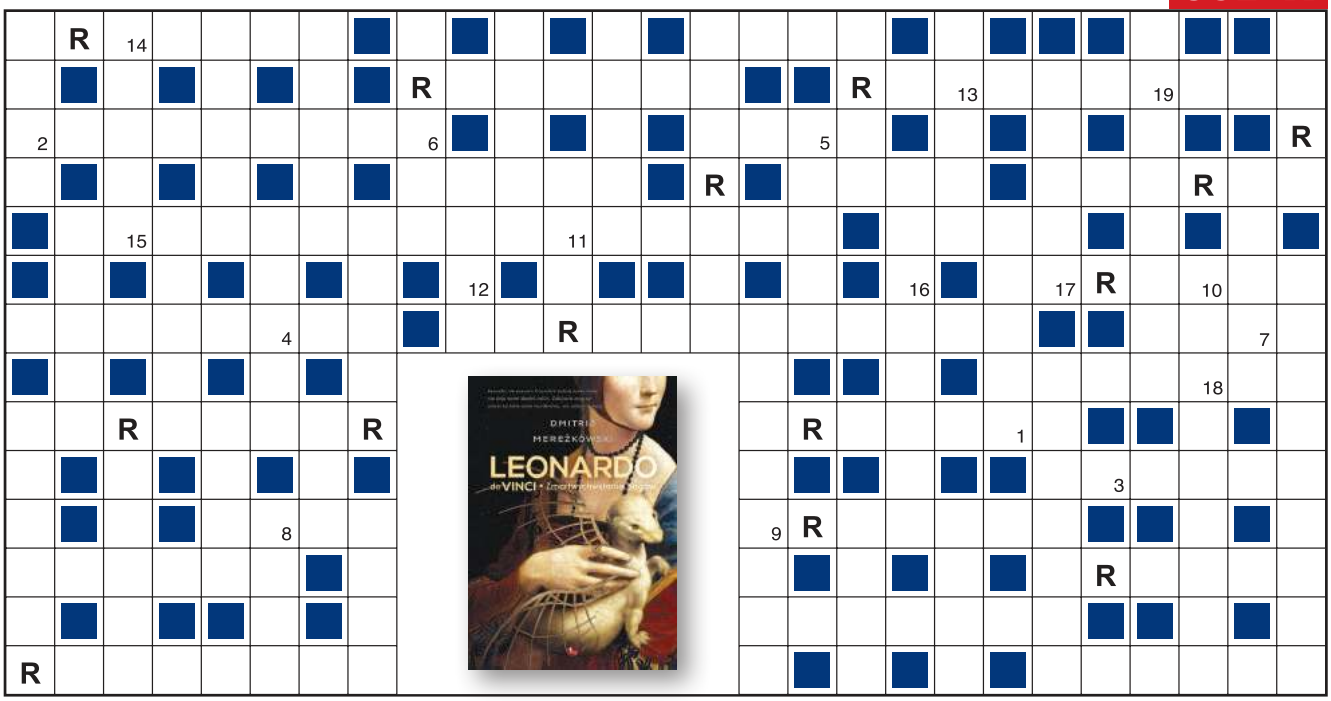

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- dział fizyki bliski konstruktorom samolotów
- w partii się udziela
- czarno-białe ptaki morskie
- imię nauczyciela kleksografii
- żona Aleksieja Karenina
- Stasiek nim był, „w krąg znały go ulice”
- argument do umiejętnego wykorzystania
- druczek z godzinami otwarcia poczty
- …Tuhajbejowicz
- z podziałką w hektopaskalach
- wypadowa lub noclegowa
- długi, luźny żakiet z wełny
- drżenie z zimna
- klimat miłości zmysłowej
- np. mrówczan etylu
- imię założyciela dynastii Wazów
- ze stolicą w Port-au-Prince
- dziedziczny znak rodowy szlachty
- przyświeca działaczowi
- państwo niezaproszone na konferencję w Warszawie
- najmniejsza cząstka ruchomego obrazu filmowego
- ubiega się o stanowisko, wybór
- Nemo lub Ameryka
- tnie materiał na ubrania
- o przysiadzie na zgiętych nogach
- i drzewo, i oszustwo
- mocne uderzenie, trzaśnięcie
- zarazek
- angielska lub morska
- samoprzylepny obrazek, etykietka
- siekana i dodawana do rosołu
- państwo w Himalajach
- Echo z mitologii
- rok przed złożeniem ślubów zakonnych
- resztka (może trafić do recyklingu)
- trzeba ją brać za swoje słowa
- syn Edwarda Lindego-Lubaszenki
- załoga łodzi wioślarskiej
- z niej kołki na wampiry
- szczepienia przeciw niej wynalazł Edward Jenner
- film taki jak „Kosmiczne jaja”
- miasto lub łańcuchowa
- beletrysta
- chybiony strzał
- pragmatyzm
- do wykonania bez gadania
- stawia wszystko na jedną kartę
- miny albo włosów
- mocne włókno z agawy
- „gimnastyczny” sznurek
- wzorzysty papier na ścianę
- za ojczyzną to nostalgia
- tip…
- tendencja rozwojowa
- np. sztablatura
- ojciec Kronosa
- lejce
- tajemnicza istota z Himalajów
- zmętnienie soczewki oka
- o stówkę, że nasi wygrają
- I Stary, II August lub III Waza

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-899”. Do rozlosowania książki „Leonardo da Vinci. Zmartwychwstanie bogów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 marca 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-896” z 17 lutego: *Nadmiar dumy to garb głupców.* Nagrody otrzymują: Ewa Krameris z Jeżowa Sudeckiego, Teresa Szczęśniak z Warszawy, Mariusz Traczewski z Warszawy.

eprasa.pl b97cc2f0f7

PENETRACJE

STEFAN ZGLICZYŃSKI, DYREKTOR PUBLIKACJI

Jeśli jesienią Wiosna dostałaby się do parlamentu, byłaby szansa na wspólne z liberałami zrobienie tego, co jeszcze niedawno wydawało się niewyobrażalne – odsunięcie PiS od władzy. To jasny scenariusz, za który trzymam kciuki. Niestety, istnieje też inny – Biedroń urywa kilka procent antypisowskiej koalicji, wzmacniając tym samym PiS i utrwalając jego władzę na kolejne lata, a może i dekady. Jestem przekonany, że Robert Biedroń, wyjątkowo inteligentny polityk, zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje. To ryzyko, że może być jeszcze gorzej. Ale podjęcie go świadczy, że Biedroń ma to coś i że może mu się udać.

PROF. TOMASZ MARUSZEWSKI, PSYCHOLOG

Coraz więcej czynności wykonywanych przez człowieka mogą realizować komputery, wykorzystujące własne doświadczenia. Programy komputerowe rozpoznają naszą ekspresję mimiczną i mogą odpowiednio reagować na przejawiane przez nas stany emocjonalne. Obawiam się jednak, że nie będą ich poruszały nasze emocje, czyli trudno będzie oczekiwać od nich np. empatii. Zapewne będą umiały wysyłać empatyczne komunikaty typu: „Dzielę z tobą twój smutek". Jeden z bohaterów filmu Woody'ego Allena „Inna kobieta", zawsze kiedy na jaw wychodzi jego kolejna zdrada, mechanicznie stwierdza: „Wiem, że cię zraniłem. Jest mi przykro i proszę o wybaczenie. Rozumiem, że mnie potępiasz".

ANDRZEJ STASIUK, PISARZ

Mnie czytelnik w ogóle nie interesuje, z całym szacunkiem dla moich wielbicieli, ale jak się myśli o czytelniku, to się robi naprawdę kiepską literaturę. O którym czytelniku miałbym myśleć? O tym czy o tamtym? Człowiek zaczyna kombinować, żeby się wszystkim podobało, i wtedy nic z tego nie wychodzi. Proza tak naprawdę składa się z mięsa, więc z detali, z zapachów, ze szczegółów i zmysłowości. Na tym polega epika, żeby pisać o rzeczach bardzo ważnych za pomocą tego szczegółu i detalu, proza nie może być złożona z samych idei i wymysłów, bo ktoś musi nam w nią uwierzyć.

ILONA ŁEPKOWSKA, SCENARZYSTKA

Chodzę na terapię. Bo faktem jest, że bardzo wielu osobom daję sobie wchodzić na głowę. A naprawdę to w sytuacjach osobistych sama tę głowę nadstawiam. Ktoś mnie jeszcze nawet nie poprosi, żebym zajęła się jego sprawami, a ja już się zajmuję. Ponieważ czuję się odpowiedzialna za cały świat i ludzie pewnie to wyczuwają. Że można się na mnie elegancko uwiesić. Przyciągałam osoby, które albo chciały się na mnie wozić, albo skrzywdzić, bo miały jakieś kompleksy czy problemy. Po dwóch rozwodach spróbowałam trzeci raz i długo lizałam rany. Potem znów byłam sama i nie paliłam się do związku.

Posterunek policji w Ahmedabadzie w Indiach. Nasilająca się konfrontacja między Indiami a Pakistanem podsyca obawy przed konfliktem zbrojnym.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

JAN ŚPIEWAK O TOMASZU LISIE

Jest czirliderką Schetyny i opowiada się po jednej stronie sporu politycznego.

JOLANTA KWAŚNIEWSKA O TRAKTOWANIU POLAKÓW

Zadziwia mnie, że politycy próbują traktować Polaków jak idiotów.

JUSTYNA KOWALCZYK O WYCISKANIU SOKU

Wstaję o piątej. Obieram dziewczynom, swoim podopiecznym, trzy kilo buraków. Potem wyciskam z nich sok.

APOLONIUSZ TAJNER PRZED MISTRZOSTWAMI ŚWIATA W SEEFELD

Inni odczuwają trudy sezonu, a my rośniemy w siłę.

PIOTR ŻYŁA O BUJANIU W OBŁOKACH

Nie myślę, co się stało. Patrzę pod nogi. Bo jak człowiek buja w obłokach, to zazwyczaj ląduje na tyłku.

KAMIL SIPOWICZ O KORZE

To, co przeszła jako dziewczynka, naznaczyło ją na całe życie. Wyzwoliło w niej siłę przetrwania, ale i zniszczyło.

ANNA MUCHA O HOLLYWOOD

Nie podzielam polskiego entuzjazmu. Dla mnie Los Angeles jest brzydkie, nieatrakcyjne, nieinteresujące.

STANISŁAW SOYKA O NAIWNOŚCI

Kiedyś naiwnie uważałem, że jako ludzie jesteśmy lepsi. O sobie też tak myślałem. Myliłem się.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O HYDRAULIKU

Pytam go, czy chce jakieś szmaty, czy wiadro, a on na to, że nie, ale gdybym mógł mu dać chęci do roboty, to weźmie.

MARIA PAKULNIS O SWOICH OCZACH

Zawdzięczam je przodkom z Litwy. I oni mają takie oczy: przepastne, niebieskie, przeźroczyste. Wyraziste. Można w nich się zagubić.

JANUSZ CHABIOR O MIESZKANIU

Mógłbym mieszkać w każdym miejscu na ziemi, tylko żeby mi cały czas zimno nie było.

eprasa.pl b97cc2f0f7

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Wiedza, która zaprocentuje

Szkoły w Brandenburgii kolejny rok prowadzą program profilaktyczny „Lepiej mądry niż pijany". Podczas zajęć pozalekcyjnych uczniowie, których rodzice wyrażą na to zgodę, uczą się kontrolowanej konsumpcji alkoholu. Ma on ponadto pokazać nieletnim, którzy tej używki jeszcze nie próbowali, jak działa ona na organizm, czemu służą testy koncentracji i koordynacji „po spożyciu".

W orbicie luksusu

Firma Space Roasters zamierza zaproponować bogatym snobom małą czarną z... kosmosu. Przedsiębiorstwo przygotowuje się do wysłania na wysokość 200 km specjalnej kapsuły. Ciepło generowane podczas jej ponownego wejścia w atmosferę zostanie wykorzystane do palenia zawartych w środku ziaren kawy, a bardzo niewielka grawitacja ma zapewnić idealną równomierność tego procesu. Przewidywana cena napoju też będzie z kosmosu: za filiżankę trzeba będzie zapłacić 200-400 dol.

Najmniejsze szkoły świata

Władze amerykańskiego hrabstwa Albany jesienią ponownie uruchomią jedną ze szkół, aby mógł do niej chodzić jeden uczeń. Prawo stanu Wyoming nakazuje bowiem zapewnienie dzieciom z odizolowanych okolic edukacji w miejscu zamieszkania. Co ciekawe, będzie to już druga jednoosobowa szkoła w okręgu szkolnym niezbyt gęsto zaludnionego hrabstwa. Obie są zresztą od siebie odległe o parę kilometrów, jednak łączące je drogi są przez większą część zimy nieprzejezdne.

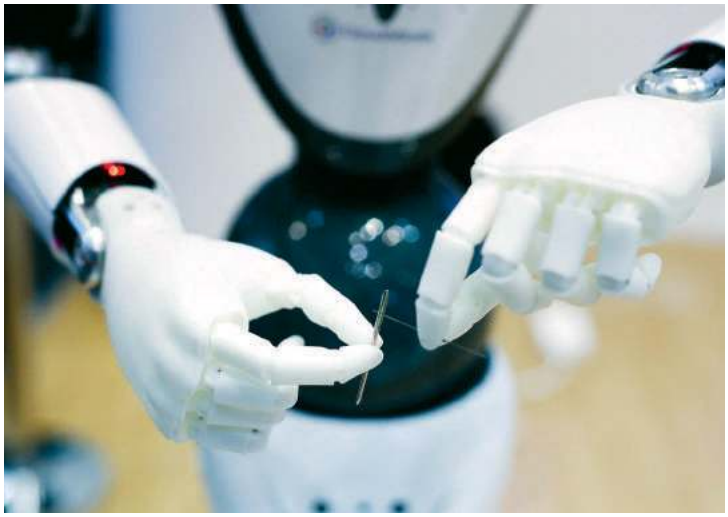

Robot dobry na wszystko – zagra na fortepianie i przyszyje guzik. Pokaz w czasie Mobile World Congress w Barcelonie.

Biegiem po piwo

Znany producent butów sportowych, New Balance, uruchomił w Londynie pub The Runaway. Od innych przybytków tego typu odróżnia go wyposażenie w siłownię oraz miejsce do gimnastyki, ale przede wszystkim to, że można w nim zapłacić za piwo… kilometrami przebiegniętymi lub przejechanymi na rowerze, zarejestrowanymi przez aplikację Strava. W ten sposób obie marki chcą zachęcić jak największą liczbę osób do udziału w wiosennym maratonie.

Pieniądze albo życie

Górnictwo węgla i branża tytoniowa generują więcej zgonów niż miejsc pracy, przynajmniej w USA – obliczył Joshua Pearce z Michigan Technological University. Pierwszy z wymienionych sektorów zatrudnia 51,8 tys. Amerykanów, ale jednocześnie, przyczyniając się do zanieczyszczenia powietrza, każdego roku wywołuje przedwczesną śmierć 52 tys. osób. Drugi daje pracę 124 tys. obywateli, ale corocznie 522 tys. umierają z powodu aktywnego lub biernego palenia.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Przegląd
„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

eprasa.pl b97cc2f0f7

Atomowa rewolucja

Możliwe, że już wkrótce do historii odejdzie kłopot z zasilaniem smartfonów i tabletów, które przeważnie rozładowują się już po kilku godzinach intensywnego użytkowania. Podczas moskiewskich targów Atomexpo rosyjscy badacze zaprezentowali miniaturowe ogniwa jądrowe. Mają one zapewniać energię nawet przez pół wieku, a przy tym być całkowicie bezpieczne dla użytkowników i otoczenia. Dla nas bomba!

Wnuczek na godziny

Aplikacja Join Papa pozwala samotnym seniorom na zamawianie odwiedzin młodych ludzi, którzy pomogą im w zakupach czy sprzątaniu lub po prostu spędzą z nimi czas na rozmowie. Za każdą godzinę takiej usługi „wnuczek" inkasuje 10 z 17 dol. płaconych przez „babcię" czy „dziadka". Zapewne nierzadko załapuje się na także na inne korzyści, np. szarlotkę.

FOT. FB/NIEPOKORNI NIEBOIMYSIEMYSLECPODPRAD, MEMNEWS.PL, WIOCHA.PL, AFP/EAST NEWS (2)

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl b97cc2f0f7

Akt w malarstwie Józefa Wilkonia

Te obrazy zostały stworzone z wykorzystaniem nowoczesnych technologii – namalowane palcem na tablecie. Wydała je Galeria Limited Edition z Warszawy z okazji 89. urodzin Józefa Wilkonia jako grafikę kolekcjonerską. 30 wyselekcjonowanych obiektów zostało wydrukowanych w technologii Digigraphie, na płótnie o wielkości 100 x 75 cm. Niektóre akty narysowane są w wielkim uproszczeniu, niczym znak wyłaniający się z ciemności. Inne, niepozbawione narracji i atrybutów dnia codziennego, zachwycają poetyką prostoty i harmonii. Mamy tu do czynienia ze swoistym dialogiem artysty z wizerunkami aktu na przestrzeni historii sztuki.

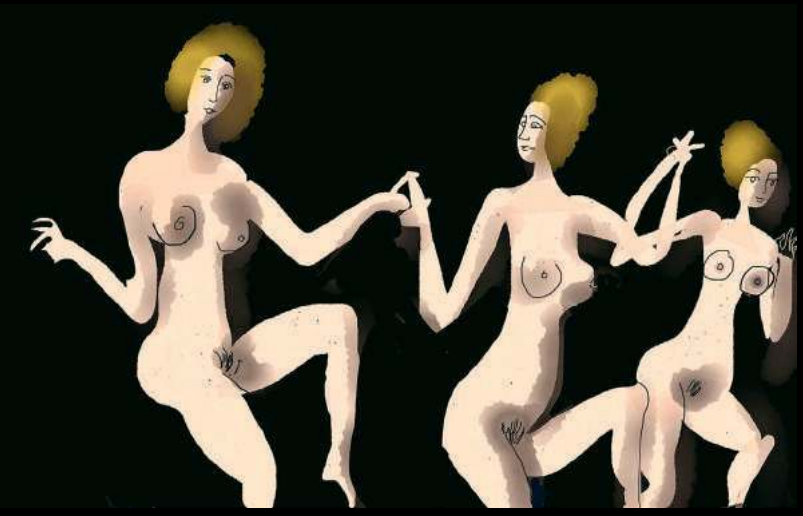

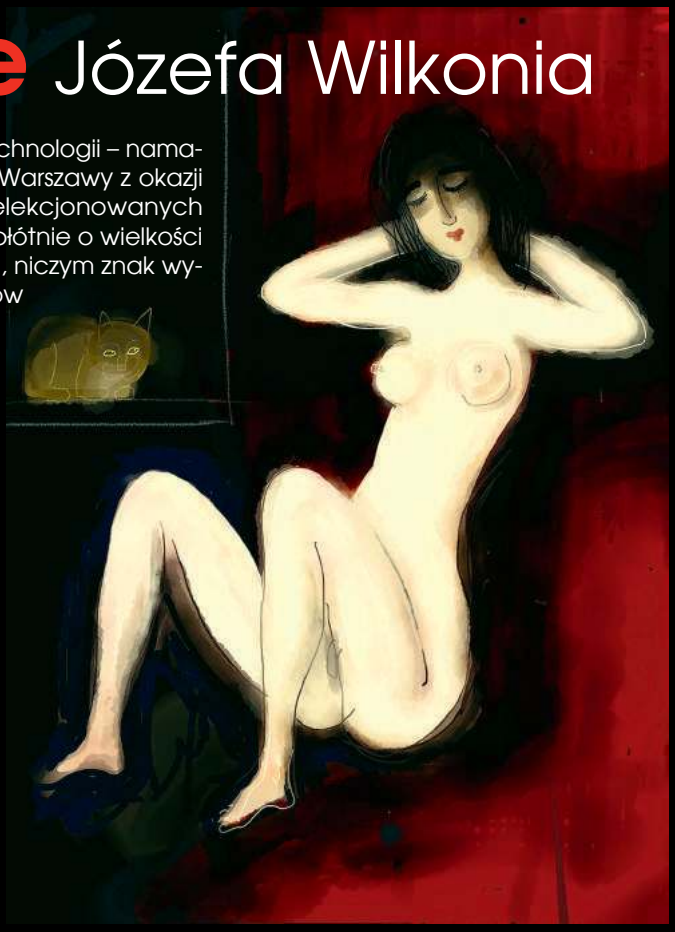

Nowy Dom Sztuki
Pałac w Radziejowicach, ul. Sienkiewicza 4
do 7 kwietnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MFF W JEROZOLIMIE
NAJLEPSZY FILM

MFF W LONDYNIE
KONKURS GŁÓWNY

NAJLEPSZY SCENARIUSZ
KONKURS GŁÓWNY
CANNES

KATALOŃSKI
MFF W SITGES
NAGRODA SPECJALNA JURY
NAJLEPSZY FILM
NAGRODA KRYTYKÓW

MFF W MONACHIUM
NAJLEPSZY FILM
ZAGRANICZNY

SZCZĘŚLIWY LAZZARO

ALBA ROHRWACHER
ADRIANO TARDIOLO AGNESE GRAZIANI LUCA CHIKOVANI

Oszałamiająco piękny
FILMWEB

Esencja kina
INTERIA

Niezwykłe osiągnięcie
CAIMÁN CUADERNOS DE CINE

W KINACH OD 8 MARCA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

eprasa.pl b97cc2f0f7

ROCK & ROLL HALL OF FAME
INDUCTEES

BON • JOVI

THIS HOUSE IS
NOT FOR SALE

• 2019 TOUR •

12 LIPCA PGE NARODOWY, WARSZAWA

wp cojestgrane24 wprost cgm.pl STRÖER RMF BILETY NA: LIVENATION.PL LIVE NATION

BONJOVI.COM @BONJOVI